

AGATHA CHRISTIE

**PIERWSZE,
DRUGIE...
ZAPNIJ MI OBUWIE**

**TŁUMACZYLI JAN S. ZAUS, IRENA
CIECHANOWSKA-SUDYMONT
TYTUŁ ORYGINAŁU ONE, TWO, BUCKLE MY SHOE**

SCAN-dal

Nowe releasy

Dorocie North,
która lubi powieści kryminalne i śmietanę,
w nadziei, że te pierwsze zastąpią brak
tej drugiej!

WSTĘP PIERWSZE, DRUGIE, ZAPNIJ MI OBUWIE

I

Pan Morley nie był w najlepszym humorze w czasie śniadania.

Narzekał na boczek, zastanawiał się, dlaczego kawa musi wyglądać jak płynne błoto, i zrobił uwagę, że płatki zbożowe są coraz gorsze.

Pan Morley był szczupłym mężczyzną o mocno zarysowanej szczęce i wojowniczym podbródku. Siostra, która prowadziła mu dom, była roslą kobietą podobną do grenadiera. Spojrzała z troską na brata i spytała, czy woda do kąpieli była znów zimna.

Pan Morley niechętnie odparł, że nie.

Zerknął do gazety i stwierdził, że rząd zdaje się przechodzić ze stanu niekompetencji do rzeczywistego upośledzenia na umyśle.

Panna Morley rzekła basowym głosem, że to haniebne.

Jako prawdziwa kobieta zawsze twierdziła, że bez względu na to, jaki rząd był właśnie przy władzy, był on wyraźnie użyteczny. Nalegała więc, aby brat wyjaśnił dokładnie, dlaczego uważa, że obecna polityka rządu jest niezdecydowana, idiotyczna, kretyńska i otwarcie samobójcza.

Kiedy pan Morley wyczerpująco wypowiedział się w powyższych sprawach, wziął drugą filiżankę tej znienawidzonej kawy i zrzucił z siebie ciężar swego prawdziwego niezadowolenia.

- Te dziewczyny - powiedział - wszystkie 54 takie same! Niesolidne, egocentryczne, w żadnym razie nie można na nich polegać.

Panna Morley zapytała:

- Gładys?

- Dostałem właśnie wiadomość, że jej ciotka miała udar i ona musiała pojechać do Somerset.

- Rozumiem, że cię to denerwuje, mój drogi, ale to przecież nie jest jej wina - zauważyła panna Morley.

Pan Morley ze smutkiem pokiwał głową.

- A skąd mogę mieć pewność, że jej ciotka dostała udaru? Może cała ta sprawa została zaaranżowana pomiędzy dziewczyną a tym bardzo niemiłym młodzieńcem? To najbardziej nie pasujący do niej człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałem. Prawdopodobnie zaplanowali sobie na dzisiaj jakąś wycieczkę.

- O nie, mój drogi. Nie sądzę, aby Gładys zrobiła coś podobnego. Przecież zawsze uważała ją za bardzo sumienną.

- Tak, tak.

- Dziewczyna inteligentna i oddana swej pracy, mawiałeś.

- Tak, tak, Georgino, ale to wszystko było, zanim pojawił się ten młodzieniec. Ostatnio zupełnie się zmieniła... zupełnie się zmieniła... stała się roztargniona... nerwowa.

Kobieta westchnęła ciężko i powiedziała:

- No cóż, Henry, ostatecznie dziewczyny się zakochują. Na to nie ma rady.

Morley warknął:

- Nie powinna pozwolić, aby wpłynęło to na jej wydajność jako mojej sekretarki. Dziś jestem szczególnie zajęty! Mam kilku niezmiernie ważnych pacjentów. To bardzo męczące!

- Wiem, że to musi być dla ciebie nadzwyczaj irytujące, Henry. A przy okazji, jak się zapowiada ten nowy służący?

Morley odparł ponuro:

- Gorszego jeszcze nie miałem! Nie może zapamiętać żadnego nazwiska i ma potworne maniery. Jeżeli się nie zmieni, wyrzucę go i spróbuję przyjąć innego. Doprawdy, nie wiem, co dobrego daje dzisiejsza edukacja. Wytwarza kolekcję półgłówków, którzy nie rozumieją, co się do nich mówi, i tym bardziej tego nie pamiętają.

Spojrzał na zegarek.

- No, trzeba się zbierać. Mam zapełniony ranek i jeszcze muszę wcisnąć gdzieś tę pannę Sainsbury Seale, ponieważ ma bóle. Zaproponowałem jej, żeby poszła do Reilly'ego, ale ona nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Georgina lojalnie.

- Reilly jest bardzo zdolny... rzeczywiście bardzo zdolny. Ma dyplom z wyróżnieniem. Leczy według najnowszych metod.

- Ręce mu się trzęsą - rzekła panna Morley. - Według mnie on pije.

Jej brat roześmiał się, wrócił mu dobry humor.

- Wróć na kanapkę jak zwykle o wpół do drugiej.

II

W hotelu "Savoy" pan Amberiotis dłużej wykałaczką w zębach i uśmiechał się do siebie. Wszystko układało się bardzo dobrze. Miał jak zwykle szczęście. I kto by pomyślał, że opłaci nam się kilka uprzejmych słów, które powiedział tej idiotycznej kwoce. Och, no więc "rzucę chleb na wody płynące". Zawsze był szczodry, Wizje dobroczynności płynęły mu przed oczami. Mały Dimitri... I dobry Constantopolus, męczący się ze swoją małą knajpką... Jaka to będzie przyjemna niespodzianka dla nich.

Pan Amberiotis drgnął, wepchnąwszy za głęboko wykałaczkę. Różowe wizje zbladły, dając miejsce obawom o najbliższą przyszłość. Delikatnie badał ząb językiem i wyjął z kieszeni notes. "Godzina 12, Queen Charlotte Street 58".

Starał się przywołać poprzedni, radosny nastrój. Niestety, na próżno. Horyzont skurczył się do sześciu pustych słów: "Queen Charlotte Street 58, godzina 12".

III

W hotelu "Glengowrie Court", w South Kensington, śniadanie dobiegło końca. W holu siedziała panna Sainsbury Seale, rozmawiając z panią Bolitho.

Zajmowały przylegające do siebie stoliki w części obiadowej i zaprzyjaźniły się w dzień po przyjeździe panny Sainsbury Seale, a więc tydzień temu.

Panna Sainsbury Seale powiedziała:

- Wiesz, moja droga, naprawdę przestało boleć! Już nie rwie! Myślę, że może zatelefonuję...

Pani Bolitho przerwała stanowczo:

- Nie bądź niemądra, moja droga. Musisz iść do dentysty i pozbyć się tego.

Pani Bolitho była wysoką, imponującą, energiczną kobietą, obdarzoną niskim głosem. Panna Sainsbury Seale miała około czterdziestu lat, niechlujnie ułożone włosy, ufarbowane na blady jasny kolor. Jej ubranie było bezkształtne i raczej artystyczne, a pince-nez stale jej spadały. Była bardzo gadatliwa.

Powiedziała teraz tęsknie:

- Ale naprawdę, wierz mi, to już zupełnie nie boli.

- Nonsens, sama mówiłaś mi, że ostatniej nocy nie zmrzyłaś oka.

- No tak... rzeczywiście nie spałam... Ale może teraz nerw jest już martwy.

- Tym bardziej należy iść do dentysty - oświadczyła stanowczo pani Bolitho. - Wszyscy lubimy odkładać te sprawy, ale to po prostu tchórzostwo. Lepiej zdecydować się i pozbyć tego kłopotu.

Wargi panny Sainsbury Seale drgnęły. Był to buntowniczy szept: "Tak, ale to nie jest twój ząb!"

Jednak powiedziała tylko:

- Sądzę, że masz rację. Pan Morley jest niezwykle delikatny.

IV

Zebranie Rady Nadzorczej Dyrektorów dobiegło końca. Minęło zupełnie gładko. Sprawozdanie było zadowalające. Nie powinno tam być żadnego zgrzytu. Jednak wrażliwemu panu Samuelowi Rothersteinowi zdawało się, że był jakiś podtekst w zachowaniu przewodniczącego. Raz czy dwa zjawiły się w tonie jego głosu szorstkość i cierpkość, których procedura nie wymagała.

Może miał jakieś ukryte zmartwienie? Ale Rotherstein jakoś nie umiał połączyć ukrytego zmartwienia z Alistairem Bluntem, który był człowiekiem pozbawionym emocji, takim bardzo normalnym. Brytyjczykiem do szpiku kości.

Mogła to być oczywiście wątroba... Jemu, Rothersteinowi, wątroba od czasu do czasu sprawiała trochę kłopotów. Ale nigdy nie słyszał, aby Alistair Blunt skarżył się na wątrobę. Zdrowie Alistaira było tak solidne jak jego umysł i jego znajomość spraw finansowych. Miał dobre zdrowie, ale się nim nie afiszował.

A jednak... Jednak było coś, co spowodowało, że ręka przewodniczącego parę razy wędrowała ku twarzy. Siedział, podpierając podbródek. To nie była jego normalna pozycja. I kilka razy wydawał się rzeczywiście roztargniony.

Wyszli z pokoju konferencyjnego i skierowali się na schody.

Rotherstein powiedział:

- Sądzę, że nie ma potrzeby odwiezienia pana? Alistair uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Czekaj na mnie samochód. - Spojrzał na zegarek. - Nie wracam do miasta. Wybieram się do dentysty.

Tajemnica została wyjaśniona.

V

Herkules Poirot wysiadł z taksówki, zapłacił szoferowi i nacisnął dzwonek przy Queen Charlotte Street pod numerem 58. W chwilę później drzwi otworzył poważnie zachowujący się rudy i piegowaty służący w uniformie gońca.

Poirot zapytał:

- Zastałem doktora Morleya?

W duszy miał śmieszna nadzieję, że pan Morley jest nieobecny lub chory i że dziś nie będzie mógł przyjmować pacjentów... Daremnie. Służący cofnął się, Herkules Poirot przekroczył próg i drzwi spokojnie zamknęły się za nim ze stanowczością nie dającego się odmienić losu.

Służący zapytał:

- Pańskie nazwisko?

Poirot podał nazwisko. Drzwi po prawej stronie holu otworzyły się nagle szeroko i Poirot wszedł do poczekalni.

Był to pokój umeblowany ze smakiem, lecz Herkulesowi Poirot wydał się nieopisanie ponury. Na lśniącym stole w stylu Sheratona (podrobionym) leżały starannie poukładane gazety i czasopisma. Na bocznym bufecie w stylu Hepplewhite'a (podrobionym) stały dwa platerowane, sheffieldzkie lichtarze i patera. Na gzymsie kominka stał zegar z brązu i dwa brązowe wazony. Okna okrywały błękitne, aksamitne kotary. Krzesła obite były materiałem w deseń z czerwonych ptaków i kwiatów z okresu Jakuba I.

Na jednym z krzesel siedział wyglądający na wojskowego dżentelmen o żółtawej cerze, ze srogimi wąsami. Spojrzał na Poirota takim wzrokiem, jakby badał szkodliwego owada. Wyglądał, jakby pragnął mieć przy sobie nie tyle swój rewolwer, ile rozpylacz na insekty. Poirot przyjrzał mu się z obrzydzeniem i mruknął do siebie: "Zaprawdę, niektórzy Anglicy, są tak nieprzyjemni i śmieszni, że powinno im się oszczędzić istnienia". "Wojskowy" dżentelmen, po przydługim wlepianiu wzroku w Poirota, porwał ze stołu "Timesa", usuwając na bok krzesło, i zatopił się w czytaniu.

Poirot wziął "Punch".

Przeczytał go dokładnie, ale nie znalazł żadnych śmiesznych dowcipów.

Do pokoju wszedł służący i rzekł:

- Pułkownik Arrowbumbly? - I dżentelmen o wyglądzie wojskowego został wyprowadzony.

Poirot zastanawiał się nad możliwością istnienia takiego nazwiska, gdy otworzyły się drzwi i do poczekalni wszedł młody mężczyzna około trzydziestki. Kiedy stanął przy stole, niespokojnie przerzucając tygodniki, Poirot patrzył na niego z ukosa. "Jakiś niemiły i niebezpiecznie wyglądający młodzieniec - pomyślał - niewykluczone, że to morderca". W każdym razie wyglądał bardziej na mordercę niż ci wszyscy zbrodniarze, których Herkules aresztował w ciągu całej swej kariery.

Otworzyły się drzwi i służący wymówił w przestrzeń:

- Pan Peerer.

Domyślając się, że to wezwanie jest skierowane do niego, Poirot wstał. Służący zaprowadził go na koniec holu, skręcili za narożnik i weszli do małej windy, która zawiozła ich na drugie piętro. Tam poprowadził go wzdłuż korytarza, otworzył drzwi prowadzące do niewielkiego przedpokoju, zapukał do drugich drzwi i, nie czekając na odpowiedź, otworzył je i cofnął się odrobinę, aby przepuścić Poirota.

Wchodząc Poirot usłyszał szum bieżącej wody i, obszedłszy drzwi, ujrzał pana Morleya z zawodowym zapałem myjącego ręce w umywalce, umieszczonej na ścianie.

VI

W życiu największych ludzi zdarzają się czasem upokarzające momenty. Mówi się, że nikt nie jest bohaterem dla swego służącego. Niech mi będzie wolno dodać, że niewielu ludzi stać na bohaterstwo w momencie, gdy stają oko w oko z dentystą.

Herkules Poirot był chorobliwie świadom tego faktu.

Był człowiekiem przyzwyczajonym mieć o sobie dobrą opinię. On był Herkulesem Poirot, przewyższającym innych prawie we wszystkim. Lecz w tym momencie nie był w stanie czuć się, niestety, w niczym doskonalszy od innych i wewnętrznie wydawał się sobie kompletnym zerem. Był zwykłą, tchórzliwą figurą, człowiekiem bojącym się dentystycznego fotela.

Pan Morley skończył myć ręce i powiedział w swój zachęcający, zawodowy sposób:

- Jest tak ciepło, jak powinno być o tej porze roku, prawda?

I łagodnie wskazał drogę prowadzącą na spotkanie - z Fotelem! Zręcznie regulował wysokość zagłówek, podnosząc go, to znów opuszczając.

Poirot zaczerpnął głęboko powietrza, wdrapał się na fotel i poddał głowę sprawnym dłoniom pana Morleya.

- Teraz - rzekł pan Morley z obrzydliwą radością - jest panu całkiem wygodnie, prawda?

Grobowym głosem Poirot odparł, że jest mu zupełnie wygodnie.

Pan Morley przysunął bliżej stoliczek, następnie chwycił małe lustro i zaczął przygotowywać narzędzia do pracy.

Herkules Poirot ścisnął kurczowo poręcz fotela, zamknął oczy i otworzył usta.

- Jakieś specjalne kłopoty? - spytał pan Morley.

Z niewyraźnych dźwięków, ze względu na "trudność w wymawianiu spółgłosek z powodu otwartych ust, można było zrozumieć, że Herkules Poirot nie ma specjalnych kłopotów. Aby właśnie nie mieć tych kłopotów, co pół roku, z poczucia obowiązku i porządku, musiał znosić podobne męczarnie. Być może obędzie się bez komplikacji, może nie będzie nic, co by... Pan Morley może jednak ominie ten drugi ząb od tyłu, od którego promieniował ból... Może... chociaż to prawie nieprawdopodobne dla tak doświadczonego dentysty jak pan Morley.

Pan Morley przechodził wolniutko z zęba na ząb pukając, sondując i mrucząc do siebie następujące komentarze:

- Ta plomba jest trochę zniszczona od spodu, jednak to nic poważnego. Dziaśła w dobrym stanie, jestem z nich zupełnie zadowolony. - Przerwał przy tym podejrzanym i skrzywił sondą w bok... Ale nie! Spróbował jeszcze raz... Fałszywy alarm! Przeszedł na dolną część... Pierwszy, drugi, może na trzecim? Nie... "Jak pies - pomyślał Poirot, łącząc dwa przysłowia - którego wytropił królik!"

- A tu mały kłopot. Nie boli? Hm, jestem zaskoczony - Sonda badała dalej.

Kończąc pan Morley cofnął się z zadowoleniem.

- Nic poważnego. Kilka plomb, a poza tym niewielki ubytek w górnym zębie trzonowym. Możemy to wszystko wykonać jeszcze dzisiaj.

Włączył wiertarkę, która zaczęła cicho pomrukiwać, zdjął prostnicę z uchwytu i z uwagą wmontował na jego końcu wiertło.

- Proszę dać mi znak - rozkazał krótko i zabrał się do swojej strasznej roboty.

Poirot nie musiał korzystać z pozwolenia, by podnosić rękę, krzywić się lub nawet krzyżeć. W odpowiednim momencie pan Morley zatrzymał wiertło i powiedział rozkazująco:

- Splukać. - Założył mały tampon, wybrał świeże wiertło i rozpoczął na nowo. Rzecz jasna, że te wszystkie zabiegi były bardziej przerażające niż bolesne.

W czasie gdy pan Morley przygotowywał plombę, zaczęli znów rozmawiać:

- Dziś przed południem wszystko muszę robić sam - wyjaśnił. - Panna Nevill wyjechała. Pamięta pan pannę Nevill?

Poirot przytaknął niezgodnie z prawdą.

- Wyjechała na wieś do chorej krewnej. Że też zdarzyło się to w tak zajęтым dniu. Mam już zaległości. Pacjent przed panem spóźnił się. Coś takiego wywraca cały ranek do góry nogami. A do tego będę jeszcze musiał przyjąć dodatkową pacjentkę z silnym bólem zęba. Zawsze mam w rezerwie kwadrans na takie nieprzewidziane wypadki. Tym bardziej muszę się spieszyć.

Pan Morley zajrzał do małego mieszadełka, aby sprawdzić; czy dobrze się miesza. Następnie dodał:

- Powiem panu coś, panie Poirot. Zauważyłem, że wielcy ludzie. - znani ludzie - są zawsze punktualni. Nigdy na nich nie czekam! Na przykład członkowie rodziny królewskiej. Bardzo dokładni. Tak samo ci wielcy ludzie interesu z City. Dziś przychodzi bardzo ważny człowiek - Alistair Blunt!

Pan Morley wypowiedział to nazwisko triumfująco.

Poirot nie mógł mówić z powodu kilku tamponów z ligniny i szklanej rurki wetkniętej pod język. Wydał tylko jakiś nieokreślony gulgot.

Alistair Blunt! To było nazwisko, które obecnie wszystkich przejmowało dreszczem. Nie książęta, nie hrabiowie, nawet nie premierzy. Ale po prostu pan Alistair Blunt. Człowiek, którego twarz była prawie nieznaną, człowiek, o którym tylko od czasu do czasu były jakieś małe wzmianki. Żadna nadzwyczajna postać. Spokojny, nieskazitelny Anglik, człowiek, który był szefem największego banku angielskiego. Człowiek niezmiernie bogaty. Człowiek, który może powiedzieć "tak" lub "nie" rządowi. Żył spokojnie, nigdy nie występował na forum publicznym, nigdy nie przemawiał. A jednak był to człowiek skupiający w swych rękach

najwyższą władzę. Pan Morley powiedział poważnym tonem, stojąc nad Poirotem i ubijając plombę:

- Zawsze przychodzi na spotkanie absolutnie punktualnie. Często odsyła swój samochód i wraca do biura pieszo. Przyjemne, spokojne i bezpretensjonalne chłopisko! Lubi golfa i zajmuje się ogrodem. Nigdy by pan nie przypuszczał, że on mógłby kupić pół Europy! Wygląda tak jak pan albo ja.

W momencie kiedy połączył te dwie osoby, chwilowe oburzenie poderwało Poirota z miejsca. Pan Morley był dobrym dentystą, w Londynie było wielu dobrych dentystów, ale Herkules Poirot był tylko jeden.

- Proszę wyplukać - rzekł pan Morley.

- Wie pan to jest odpowiedź, dla tych wszystkich Hitlerów, Mussolinich i całej reszty - kontynuował pan Morley, zajmując się drugim zębem. - My się tu tak nie wygłupiamy. Spójrzmy, jacy demokratyczni są nasi król i królowa. Oczywiście, taki Francuz jak pan przywykł do idei republikańskich.

- Ja... chch... ne... ne-estem... Franchhh... Jes... Belgh... em.

- Spokojnie... spokojnie - przerwał pan Morley niecierpliwie. - Nie można zaślinić otworu, który wywierciłem. - Następnie dokładnie przedmuchał ząb strumieniem ciepłego powietrza. Potem ciągnął dalej: - Nie wiedziałem, że jest pan Belgiem. Bardzo ciekawe. Jak słyszałem, król Leopold to bardzo sympatyczny człowiek. Ja osobiście jestem wielkim zwolennikiem tradycji monarchistycznych. Dobrze ich ćwiczą. Proszę przypomnieć sobie, jak doskonale pamiętają nazwiska i twarze. A wszystko to jest wynikiem ćwiczeń. Oczywiście, niektórzy mają do tego wrodzone zdolności. Jeżeli o mnie chodzi, to zapominam nazwiska, ale, co jest nadzwyczajne, nigdy nie zapominam twarzy. Na przykład pewnego dnia miałem pacjenta i zaraz przypominałem sobie, że gdzieś go już widziałem. Jego nazwisko nic mi nie mówiło, zadałem sobie jednak pytanie, czy go już gdzieś widziałem? Nie pamiętałem, ale coś mi zaczęło świtać, powoli nabierałem pewności... Proszę wyplukać.

Po wyplukaniu pan Morley spojrzał krytycznie w usta pacjenta.

- Dobrze, mam wrażenie, że teraz jest już wszystko w porządku. Proszę zamknąć usta... bardzo ostrożnie. Czy plomba nie przeszkadza? Proszę jeszcze raz otworzyć. Nie, wydaje się, że wszystko doskonale pasuje.

Stoliczek wrócił na swoje miejsce, fotel zakręcił półkole.

Poirot nareszcie był wolny.

- Pięknie, do zobaczenia, monsieur Poirot. Mam nadzieję, że nie odkrył pan żadnego kryminalisty w moim domu?

Poirot odparł z uśmiechem:

- Zanim tu wszedłem, każdy wydawał mi się kryminalistą! Teraz być może będzie inaczej.

- O tak, to wielka różnica między przedtem a teraz! W istocie, my dentyści, nie jesteśmy tak straszni, za jakich nas kiedyś uważano. Czy mam zadzwonić po windę dla pana? - Nie, nie, wolę zejść schodami.

- Jak pan woli, winda jest tuż przy schodach. Poirot wyszedł. Zamykając za sobą drzwi, usłyszał szmer odkręcanego kurka.

Zszedł już dwa piętra i gdy mijał ostatni zakręt, ujrzał wychodzącego pułkownika z Indii. Nie wyglądał już tak strasznie, co Poirot skonstatował z prawdziwą przyjemnością. Prawdopodobnie celnie strzelał i zabił w Indiach mnóstwo tygrysów. Pożyteczny człowiek - jedna z prawdziwych podpór Imperium!

Wszedł do poczekalni i zabrał pozostawioną tam laskę i kapelusz. Zaskoczony zauważył, że nerwowy młodzian jeszcze tam był. Inny pacjent czytał "Fielda".

Poirot przyjrzał się teraz łaskawiej młodemu człowiekowi. Wydawał mu się nadal bardzo zdenerwowany - zupełnie tak, jakby chciał popełnić morderstwo - "lecz nie wygląda już jak prawdziwy morderca" - pomyślał życzliwie Poirot. Bez wątpienia wkrótce i ten młodzieniec

zejdzie schodami zupełnie odmieniony, szczęśliwy i uśmiechnięty, nikomu nie życząc nic złego.

Wszedł służący i oznajmił wyraźnie i z patosem:

- Pan Blunt.

Człowiek czytający "Fielda" odłożył go i wstał. Był średniego wzrostu, w średnim wieku, ani otyły, ani szczupły. Dobrze ubrany, spokojny.

Poszedł za służącym.

Jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Anglii - musiał iść do dentysty jak każdy inny i niewątpliwie czuł się jak każdy człowiek w podobnej sytuacji!

Z tymi myślami Poirot włożył kapelusz na głowę, ujął laskę i skierował się ku drzwiom. Obejrzał się jeszcze i pomyślał ze zdumieniem, że tego młodego człowieka rzeczywiście muszą bardzo boleć zęby.

W holu Poirot przystanął przed lustrem i przyglądał wąsy, nieco wzburzone zabiegami pana Morleya. Właśnie kończył, zadowolony, gdy znów zjechała winda i z głębi holu wynurzył się pogwizdujący fałszywie służący. Na widok Poirota przerwał i podbiegł otworzyć drzwi frontowe.

Przed domem zatrzymała się taksówka, a z niej wysunęła się stopa, którą Poirot obejrzał z uprzejmym zainteresowaniem. Zgrabna kostka w eleganckiej pończosze... Całkiem niezła! Lecz, niestety, w brzydkim bucie! Takich butów Poirot nie lubił. Nowe lakierki, na których połyskiwała duża klamerka. Potrząsnął głową.

- Nic sztywnego - bardzo prowincjonalne! Wsiadając z samochodu kobieta zahaczyła drugą nogą o drzwi. Oderwana klamerka upadła z brzękiem na chodnik. Poirot podskoczył z galanterią i podniósł ją, podając z ukłonem właścicielce.

Niestety! Była to kobieta bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki. Pince-nez. Niechlujnie ułożone żółtosiwe włosy. Niegustowne ubranie w jakimś przygnębiającym artystycznym stylu! Dziękując, upuściła pince-nez, a potem torebkę.

Poirot, nadal uprzejmy, lecz już nie szarmancki, podniósł to wszystko.

Weszła po stopniach do drzwi pod numerem 58, Queen Charlotte Street, a Poirot przerwał pełne zdegustowania zamyślenie kierowcy taksówki nad małym napiwkami.

- Halo, jest pan wolny? Taksówkarz odrzekł ponuro:

- O tak, jestem wolny.

- Tak jak i ja - rzekł Poirot. - Wolny od trosk! Taksówkarz przyglądał mu się podejrzliwie.

- Nie, mój przyjacielu, nie jestem pijany. Byłem dziś u dentysty i nie muszę tam wracać przez sześć miesięcy. To cudowna myśl!

TRZECIE, CZWARTE, ZAMKNIJ DRZWI OTWARTE

I

Telefon zadzwonił na kwadrans przed trzecią.

Herkules Poirot siedział w wygodnym fotelu i spokojnie trawił wspaniały lunch.

Nie podszedł do telefonu, czekał, aż odbierze wierny George.

- Eh bien?* - rzekł, kiedy George, ze słowami "chwilczkę, sir" wręczył mu słuchawkę.

- To nadinspektor Japp, sir.

- Tak?

Poirot przytknął słuchawkę do ucha.

- Eh bien, mon vieux* - powiedział. - Jak ci idzie?

- Czy to ty, Poirot?

- Naturalnie.

- Słyszałem, że dziś rano byłeś u dentysty. Czy to prawda?

Poirot zamruczał:

- Scotland Yard wie wszystko!
- Człowiek nazwiskiem Morley, ulica Queen Charlotte 58?
- Tak. - Głos Poirota zmienił się. - Dlaczego pytasz?
- Czy byłeś tam jako pacjent? Nie poszedłeś tam chyba po to, żeby go wystraszyć?
- Oczywiście, że nie. Jeżeli chcesz wiedzieć, to zaplombował mi trzy zęby.
- Czy zachowywał się tak jak zwykle?
- Naturalnie. Ale o co chodzi?

Głos Jappa stał się sztucznie bezbarwny i urzędowy.

- Ponieważ trochę później pan Morley się zastrzelił.
- Co?

Japp zapytał:

- Czy to cię zaskoczyło?
- Szczerze mówiąc, tak.

Japp rzekł:

- Jeśli o mnie chodzi, też nie jestem tym uszczęśliwiony... Muszę koniecznie z tobą porozmawiać, przypuszczam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu?
- Gdzie jesteś w tej chwili?
- Na ulicy Queen Charlotte. Poirot rzekł:
- Zaraz tam będę.

II

Policjant, który otworzył drzwi pod numerem 58, przywitał Poirota z szacunkiem.

- Monsieur Poirot?
- We własnej osobie.
- Nadinspektor jest na górze. Drugie piętro - zna pan drogę?
- Byłem tu dziś rano - powiedział Poirot.

W pokoju było trzech mężczyzn. Japp, ujrawszy wchodzącego Poirota, rzekł:

- Cieszę się, że cię widzę, Poirot. Właśnie go mamy wynieść. Chciałbyś go najpierw zobaczyć?

Kłęczący mężczyzna z aparatem fotograficznym wstał. Poirot podszedł bliżej. Ciało leżało blisko kominka.

Po śmierci Morley wyglądał prawie tak samo jak za życia. Tylko niewielka dziura czerniła się poniżej prawej skroni. Mały pistolet leżał na podłodze obok odrzuconej w bok prawej ręki.

Poirot powoli pokręcił głową.

- Możecie go zabrać - rzekł Japp.

Wyniesiono ciało pana Morleya. Japp i Poirot pozostali sami.

- Ukończyliśmy już wszystkie rutynowe badania - powiedział Japp. - Zebraliśmy odciski palców i tak dalej...

Poirot usiadł.

- Opowiadaj - rzekł.

Japp zacisnął wargi. Po chwili rzekł:

- On mógł się sam zastrzelić. I prawdopodobnie zrobił to. Na pistolecie znaleźliśmy tylko jego odciski palców, ale to mnie nie przekonuje.

- Jakie są twoje zastrzeżenia?

- Otóż wydaje mi się, że nie miał żadnego powodu, aby popełnić samobójstwo... Cieszył się dobrym zdrowiem, dobrze zarabiał i - o ile wiemy - nie miał kłopotów. No i wreszcie: nie był związany z kobietą...

- Japp poprawił się ostrożnie: - Naturalnie, według informacji, jakie posiadamy... Nie był w stanie depresji i zachowywał się jak zazwyczaj. Dlatego byłem ciekaw usłyszeć, co ty sądzisz o tym wszystkim. Widziałeś go dziś rano i mam nadzieję, że coś spostrzegłeś.

Poirot potrząsnął głową.

- Absolutnie nic. Mógłbym powiedzieć, że zachowywał się zupełnie naturalnie.

- To tym dziwniejsze? Poza tym kto by przypuszczał, że zabije się, że się tak wyrażę, w godzinach urzędowania? Nie mógł poczekać do wieczora? Byłoby to bardziej naturalne.

Poirot zgodził się.

- Kiedy wydarzyła się ta tragedia?

- Dokładnie nie wiadomo. Nikt nie słyszał strzału. Jednak nie sądzę, aby można go było usłyszeć. Pomiędzy korytarzem a gabinetem są podwójne drzwi, do tego uszczelnione filcem. Wyobrażam sobie, że po to, aby zagłuszyć krzyki ofiar fotela dentystycznego.

- Tak, to możliwe. Pacjenci zachowują się czasami bardzo głośno.

- Istotnie. Ponadto na ulicy jest duży ruch i musiałbyś mieć dużo szczęścia, żeby dotarły do ciebie odgłosy z gabinetu.

- Kiedy odkryto, że Morley nie żyje?

- Około pierwszej trzydzieści. Odkrył to służący, Alfred Biggs. Chłopak pod każdym względem nierozgarnięty. O dwunastej trzydzieści pewna pacjentka mocno hałasowała i denerwowała się, że musi tak długo czekać. Około pierwszej dziesięć chłopak podszedł do drzwi gabinetu i zapukał. Nie otrzymał odpowiedzi i widocznie nie śmiał wejść do środka. Dostał już przedtem nieco po nosie od Morleya, był zdenerwowany i bał się zrobić coś niewłaściwego. Zszedł znów na dół, a pacjentka, poirytowana, wyszła o pierwszej piętnaście. Nie można jej się dziwić, gdyż czekała trzy kwadransy i nie jadła lunchu.

- Kim była ta pacjentka? Japp uśmiechnął się.

- Według relacji służącego była to panna Shirty - lecz według książki pacjentów nazwisko jej brzmiało Kirby.

- Jaki był system wprowadzania pacjentów na górę?

- Kiedy Morley był gotów na przyjęcie następnego pacjenta, naciskał na dzwonek i chłopak przyprowadzał pacjenta na górę.

- O której Morley nacisnął dzwonek po raz ostatni?

- Pięć minut po dwunastej. Chłopiec zaprowadził na górę kolejnego pacjenta. Według książki pacjentów był to pan Amberiotis z hotelu "Savoy".

Na wargach Poirota zaigrał słaby uśmiech.

- Ciekawe, jak przerobił to nazwisko! - zamruczał.

- Ładny pasztet, można by powiedzieć. Ale jeśli chcemy się pośmiać, to możemy go o to zapytać.

- Po jakim czasie ten Amberiotis wyszedł? - zapytał Poirot.

- Chłopiec nie wyprowadził go, więc nie wie... Większość pacjentów schodziła schodami bez korzystania z windy i później wychodzili sami.

Poirot przytaknął. Japp kontynuował:

- Dzwoniłem do hotelu "Savoy". Pan Amberiotis był dokładny. Powiedział, że spojrzął na zegarek, zamykając drzwi frontowe. Była wtedy dwunasta dwadzieścia pięć.

- Czy mógł powiedzieć ci coś istotniejszego?

- Nie, wszystko, co mógł mi powiedzieć, to fakt, że dentysta wydawał się zupełnie normalny i zachowywał się zupełnie spokojnie.

- Eh bien - rzekł Poirot. - To wydaje się zupełnie jasne. Pomiędzy dwunastą pięć a wpół do pierwszej coś się wydarzyło - przypuszczalnie bliżej dwunastej dwadzieścia pięć.

- Oczywiście. W przeciwnym bowiem razie...

- W przeciwnym razie zadzwoniłby po następnego pacjenta.

- Zgadza się. Wykazało to również badanie lekarskie. Chirurg zbadał ciało o drugiej dwadzieścia. Nie mógł dać jednak wiążącej odpowiedzi - zawsze tak robią w dzisiejszych czasach - mówią, że w grę wchodzi zbyt wiele indywidualnych czynników. Lekarz powiedział jednak, że Morley nie mógł zostać zastrzelony później niż o pierwszej, że musiało to nastąpić prawdopodobnie wcześniej, ale nie może tego określić z większą dokładnością.

Poirot powiedział w zamyśleniu:

- Zatem dwadzieścia pięć minut po dwunastej nasz dentysta jest normalnym dentystą, wesołym, uprzejmym, kompetentnym. A potem co? Desperat... nieszczęśliwiec... co tylko chcesz... i strzela do siebie.

- To zabawne - rzekł Japp. - Musisz przyznać, że to zabawne.

- Zabawne - powiedział Poirot - to nie jest właściwe słowo.

- Wiem, że niewłaściwe... ale jedyne, które oddaje sytuację. A zatem, to dziwne, jeśli bardziej ci to odpowiada.

- Czy to był jego pistolet?

- Nie, nie jego. Nie posiadał pistoletu. Nigdy go nie miał. Zgodnie z oświadczeniem jego siostry, niczego takiego w tym domu nie było. Tak jak w większości domów. Oczywiście mógł go kupić, jeśli nosił się z zamiarem skończenia ze sobą. Jeśli tak, to wkrótce będziemy o tym wiedzieli.

Poirot spytał:

- Czy jeszcze coś cię niepokoi?

Japp wytarł nos.

- Tak, pozycja, w jakiej leżał. Nie twierdzę, że człowiek nie może upaść w ten sposób... ale jakoś nie wyglądało to jak należy! Na dywanie były dwa wyraźne ślady... jakby coś wleczono.

- To zdecydowanie coś sugeruje.

- Tak. Chyba, że ten przeklęty chłopak przesunął ciało w momencie, gdy je znalazł. Oczywiście z uporem temu zaprzecza, ale był przerażony. To taki rodzaj oślecia. Zawsze popełnia jakieś omyłki, przeklina się go za to, i dlatego kłamie niemal odruchowo.

Poirot uważnie oglądał pokój.

Umywalka na ścianie za drzwiami, wysoka, wypełniona szafka po drugiej stronie drzwi. Fotel dentystyczny i otaczające go narzędzia stojące blisko okna, dalej kominek i miejsce, w którym leżały zwłoki, i drugie drzwi w pobliżu kominka.

Japp podążał za jego wzrokiem.

- Tam jest małe biuro. - Otworzył drzwi.

Był to, jak powiedział, mały pokój, w którym znajdowały się: biurko, stół z maszynką do gotowania herbaty oraz kilka krzeseł. Poza drzwiami do gabinetu nie było innego wyjścia.

- Tu pracowała jego sekretarka - wyjaśnił Japp. - Panna Nevill. Zdaje się, że jest dzisiaj nieobecna.

Spotkał wzrok Poirota.

- Przypomniałem sobie, że mówił mi o tym - powiedział Poirot. - Czy to ma coś wspólnego z samobójstwem?

- Myślisz, że została w ten sposób usunięta?

Japp przerwał. Po chwili dodał:

- Jeżeli to nie było samobójstwo, w takim razie został zamordowany. Ale dlaczego? Morderstwo jest tak samo niezrozumiałe jak samobójstwo. Morley wydawał się zupełnie spokojny i zrównoważony. Kto chciałby go zamordować?

Poirot powiedział:

- Kto mógł go zamordować? Japp odparł:

- Odpowiedź brzmi: prawie każdy! Mogła zejść z góry jego siostra i zastrzelić go, mógł przyjść ktoś ze służby i zastrzelić go, mógł go zastrzelić jego wspólnik, Reilly. Alfred też

mógł go zastrzelić. Mógł to wreszcie zrobić któryś z pacjentów - Przerwał i dodał: - Również mógł go zastrzelić Amberiotis... on najłatwiej ze wszystkich.

Poirot skinął głową.

- Tak, ale w tej sprawie... musimy zadać sobie pytanie, dlaczego?

- Istotnie. Wróciliśmy do zasadniczego problemu. Dlaczego? Amberiotis zatrzymał się w "Savoyu". Dlaczego bogaty Grek miałby przyjeżdżać tu po to, aby mordować spokojnego dentystę?

- I o to właśnie się potkniemy. Motywy!

Poirot wzruszył ramionami i dodał:

- Wydaje się, jakby śmierć zupełnie bez fantazji wybrała niewłaściwą ofiarę. Tajemniczy Grek, Bogaty Bankier, Znany Detektyw - jakże naturalne byłoby zamordowanie jednego z nich! Tajemniczy obcokrajowcy mogą być zamieszani w szpiegostwo, ze śmierci bogatych bankierów płyną korzyści finansowe, znani detektywi mogą być niewygodni dla przestępców.

- Podczas gdy nasz biedny, stary Morley nie był dla nikogo niebezpieczny - zauważył ponuro Japp.

- Coś mi przyszło na myśl.

Japp szybko odwrócił się do Poirota.

- Co tam znów ukrywasz?

- Nic. Przypadkowa uwaga.

Powtórzył Jappowi słowa, które Morley wypowiedział o rozpoznawaniu twarzy i wzmiankę o pacjentach. Japp nie był przekonany.

- Sądzę, że to możliwe, ale trochę naciągane. Musiałby to być ktoś, kto nie chciał być rozpoznany i kto chciałby trzymać się w cieniu. Czy tego przedpołudnia widziałeś jeszcze jakichś pacjentów?

Poirot zamruczał:

- Zauważyłem w poczekalni młodzieńca, który wyglądał dokładnie jak morderca!

Japp wytrzeszczył oczy.

- Co takiego?! Poirot uśmiechnął się.

- Mon cher*, to było zaraz po moim przybyciu tutaj! Byłem zdenerwowany, nadwrażliwy... enfin*, uległem nastrojowi. Wszystko wydawało mi się ponure: poczekalnia, pacjenci, nawet dywan na schodach! Teraz sądzą, że tego młodego człowieka po prostu bardzo bolały zęby. I to wszystko!

- Tak, wiem, co to może być - rzekł Japp. - Mimo wszystko musimy przesłuchać tego twojego "mordercę". Musimy przesłuchać wszystkich, bez względu na to, czy to było samobójstwo, czy nie! Myślę, że pierwszą rozmowę odbędziemy z panną Morley. Dotychczas zamieniłem z nią tylko parę słów. To był, oczywiście, dla niej szok, ale należy do kobiet, które szybko odzyskują równowagę. Pójdziemy teraz do niej.

III

Wysoka i ponura Georgina Morley słuchała, co do niej mówili dwaj mężczyźni i odpowiadała na ich pytania. Powiedziała z emfazą:

- Absolutnie nie mogę w to uwierzyć - nie wierzę, że mój brat popełnił samobójstwo!

Poirot spytał:

- Widzi pani jakieś inne rozwiązanie, mademoiselle?

- Pan ma na myśli morderstwo. - Przerwała i dodała wolno: - To prawda, taka alternatywa wydaje się prawie tak niemożliwa jak samobójstwo.

- Ale niezupełnie tak niemożliwa?

- Nie, ponieważ... O, w pierwszym wypadku, widzi pan, mówię o tym, co wiem... to znaczy, o stanie umysłu mego brata. Wiem, że niczym się nie martwił i wiem, że nie było żadnego powodu... w ogóle żadnego powodu, aby odbierał sobie życie!
 - Pani widziała się z nim dziś rano... przed rozpoczęciem pracy?
 - Tak, przy śniadaniu.
 - I był normalny jak zwykle, nie był wyprowadzony czymś z równowagi?
 - Był wyprowadzony z równowagi, ale nie tak, jak pan myśli. Był po prostu rozdrażniony!
 - Dlaczego?
 - Miał w perspektywie bardzo pracowity ranek, a do tego wyjechała jego sekretarka, a zarazem asystentka.
 - Panna Nevill?
 - Tak.
 - Czym zajmowała się panna Nevill?
 - Oczywiście prowadziła całą korespondencję, a poza tym książkę pacjentów i wypełniała ich kartoteki. Ponadto zajmowała się sterylizowaniem narzędzi, przygotowywała materiał na plombę i podawała mu go, gdy plombował zęby.
 - Jak długo u niego pracowała?
 - Trzy lata. To godna zaufania dziewczyna i jesteśmy... byliśmy oboje bardzo z niej zadowoleni.
- Poirot wtrącił:
- Została wezwana do swojej chorej krewnej, jak powiedział pani brat.
 - Tak, otrzymała telegram, że jej ciotka dostała udaru. Wczesnym pociągiem pojechała do Somerset.
 - I to właśnie tak bardzo rozdrażniło pani brata?
 - Ttt... tak. - W jej głosie dało się odczuć lekkie wahanie, po czym szybko dodała: - Pan... Niech pan nie sądzi, że mój brat pozbawiony był uczuć. On tylko myślał... że właśnie w tym momencie...
 - Tak, panno Morley?
 - Otóż, on myślał, że panna Nevill może celowo opuścić pracę. Och, proszę mnie źle nie zrozumieć... Jestem głęboko przekonana, że Gladys nigdy by tego nie zrobiła! Powiedziałam to Henry'emu. Ale rzecz w tym, że zaręczyła się z raczej nieodpowiednim młodzieńcem. Henry był tym bardzo wzburzony i przypuszczał, że ten młody człowiek mógł ją namówić do wyjazdu.
 - Czy to było możliwe?
 - Nie, jestem pewna, że nie. Gladys to bardzo sumienna dziewczyna.
 - Ale to było coś, co ten człowiek mógłby jej zasugerować?
- Panna Morley bąknęła:
- Sądzę, że to zupełnie prawdopodobne.
 - Czym się zajmuje ten młody człowiek, przy okazji, jak on się nazywa?
 - Carter, Frank Carter. Zdaje się, że on jest... a raczej, że był urzędnikiem ubezpieczeniowym. Kilka tygodni temu stracił pracę i nie może dostać innej. Henry mówił, a ja uważam, że miał rację, że to zupełny nicpoń. Gladys nawet pożyczyła mu trochę pieniędzy z własnych oszczędności i Henry był bardzo zagniewany.
- Japp wtrącił nagle:
- Czy pani brat próbował ją namawiać, aby zerwała zaręczyny?
 - Tak, wiem, że tak.
 - Wobec tego, całkiem możliwe, że ten Frank Carter mógł mieć żal do pani brata?
- Kobieta odparła stanowczo:
- Nonsens... pan sugeruje, że Frank Carter zastrzelił Henry'ego. Henry odradzał tej dziewczynie Cartera, ale ona nie przyjęła jego rad... jest ślepo oddana Frankowi.

- Czy przychodzi pani na myśl jeszcze ktoś, kto mógłby żywić urazę do brata?

Panna Morley potrząsnęła głową przecząco.

- Czy był w dobrych stosunkach ze swoim współlnikiem, panem Reillym?

Panna Morley odrzekła kwaśno:

- W tak dobrych, jak tylko można kiedykolwiek mieć nadzieję, że się je ma z Irlandczykiem!

- Co pani przez to chce powiedzieć, panno Morley?

- Irlandczycy mają gorący temperament i lubią awanturować się o byle głupstwo. Pan Reilly lubił spierać się w sprawach politycznych.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko. Pan Reilly jest niedoskonały pod wieloma względami, lecz w opinii mego brata był bardzo zręcznym fachowcem.

Japp podchwycił.

- Pod jakimi względami jest niedoskonały?

Panna Reilly zawahała się i powiedziała z niesmakiem:

- Za dużo pije... Tylko proszę tego dalej nie powtarzać.

- Czy były jakieś nieporozumienia pomiędzy nim a pani bratem?

- Henry uczynił mu kilka uwag w sprawach zawodowych - kontynuowała panna Morley tonem nauczycielki. - Niezbędne są spokojne ręce, a i oddech przepojony alkoholem nie wzbudza zaufania.

Japp skinął głową z aprobatą, po czym powiedział:

- Czy może nam pani coś powiedzieć o sytuacji finansowej pani brata?

- Henry dobrze zarabiał i miał pewne oszczędności. Każde z nas miało trochę własnych pieniędzy ze spadku po ojcu.

Japp mruknął z lekkim chrząknięciem: - Nie wie pani przypadkiem, czy brat zostawił testament?

- Tak, i mogę panu powiedzieć, co zawiera. Zapisał sto funtów Gladys Nevill, a całą resztę - mnie.

- Rozumiem. Teraz...

Ktoś gwałtownie zastukał do drzwi. Ukazała się twarz Alfreda. Jego wytrzeszczone oczy badawczo przyglądały się gościom, wreszcie wykrztusił:

- Jest panna Nevill! Wróciła. Jest w kiepskim nastroju. Chce wiedzieć, czy może wejść?

Japp skinął głową, a panna Morley powiedziała:

- Powiedz jej, że może tu przyjść, Alfredzie.

- Okay - rzekł Alfred i zniknął.

Panna Morley westchnęła i powiedziała tak, jakby każde słowo podkreślała wielką literą:

- Ten Chłopak To Ciężka Próba Cierpliwości.

IV

Gladys Nevill była Wysoką, ładną, trochę anemiczną dziewczyną, około dwudziestu ośmiu lat. I chociaż wyraźnie była zdenerwowana, wyglądała na bystrą i inteligentną.

Pod pretekstem przejrzenia papierów Morleya, Japp wraz z Poirotem opuścili pannę Morley i udali się z panną Nevill na dół, do jej małego biura przy gabinecie dentystycznym.

Powtarzała bez końca:

- Ja po prostu nie mogę w to uwierzyć! To zupełnie nieprawdopodobne, żeby pan Morley mógł zrobić taką rzecz!

Podkreśliła, że Morley nie wydawał się ani zmartwiony, ani zaniepokojony.

- Czy wyjechała pani dziś rano na wezwanie, panno Nevill... - zaczął Japp.

- Tak - przerwała mu - i okazało się, że był to złośliwy dowcip! Że też ludzie mogą robić takie okropne żarty. Tak, naprawdę dziwię się.

- Co pani chce przez to powiedzieć, panno Nevill?

- Otóż zastałam ciotkę zupełnie zdrową. Nigdy nie czuła się lepiej. Nie rozumiała, dlaczego tak nagle się u niej zjawiłam. Byłam oczywiście bardzo z tego zadowolona, ale równocześnie i wściekła. Już przedtem ten telegram wyprowadził mnie z równowagi.

- Czy ma pani ten telegram, panno Nevill?

- Wyrzuciłam go, pewnie na dworcu. Ale pamiętam treść: "Twoja ciotka dostała ostatniej nocy udaru. Proszę natychmiast przyjechać".

- Czy jest pani całkowicie pewna... no... - Japp delikatnie kaszlnął - że nie nadał go pani przyjaciel, pan Carter?

- Frank? W jakim celu? O, rozumiem, pan myśli, że... umówiliśmy się na spotkanie? Nie, inspektorze... żadne z nas nie zrobiłoby czegoś podobnego.

Jej oburzenie wydawało się dostatecznie szczerze i Japp miał trochę kłopotu, aby ją uspokoić. Dopiero pytanie o pacjentów, którzy byli umówieni na to szczególne przedpołudnie, przypomniało jej o obowiązkach.

- Wszyscy są zapisani w książce. Sądzę, że pan już czytał. Znam większość z nich. Godzina dziewiąta, pani Soames - miała mieć wstawioną protezę. Godzina dziesiąta trzydzieści, lady Grant - to starsza pani - mieszka przy Lowndes Square. Godzina jedenasta, monsieur Herkules Poirot, on przychodzi regularnie... Och, oczywiście, przecież to pan, przepraszam, monsieur Poirot, ale jestem taka zdenerwowana! Jedenasta trzydzieści, pan Alistair Blunt - jak panowie wiedzą - jest bankierem - krótka wizyta, ponieważ pan Morley wcześniej przygotował plombę. Następnie panna Sainsbury Seale - ona dzwoniła dziś - dostała ataku bólu i pan Morley zgodził się ją dodatkowo przyjąć. Straszliwa z niej gaduła, nigdy nie może przestać. I ciągle narzeka. Następnie mamy godzinę dwunastą, pan Amberiotis - to nowy pacjent, uzgodnił wizytę z hotelu "Savoy". Pan Morley przyjmował wielu obcokrajowców, nawet Amerykanów. Godzina dwunasta trzydzieści, panna Kirby. Ona przyjeżdża z Worthing.

Poirot spytał:

- Kiedy przyszedłem, był tu taki wysoki dżentelmen, wyglądający na wojskowego. Kto to mógł być?

- Przypuszczalnie jeden z pacjentów pana Reilly'ego. Czy mam pójść po spis jego pacjentów?

- Bardzo proszę, panno Nevill.

Wróciła po kilku minutach. Trzymała w ręku książkę podobną do tej, w której znajdowały się nazwiska pacjentów pana Morleya.

Zaczęła czytać:

- Godzina dziewiąta, Betty Heath (dziewięcioletnia dziewczynka). Godzina jedenasta - pułkownik Abercrombie.

- Abercrombie! - mruknął Poirot. - C'était ça*!

- Jedenasta trzydzieści, pan Howard Raikes. Godzina dwunasta, pan Barnes. I to już wszyscy pacjenci pana Reilly'ego. Jest ich oczywiście mniej niż u pana Morleya.

- Czy może nam pani coś powiedzieć o pacjentach pana Reilly'ego?

- Pułkownik Abercrombie jest pacjentem od dłuższego czasu i wszystkie dzieci pani Heath przychodzą do pana Reilly'ego. Nie mogę nic powiedzieć o panu Raikesie ani o panu Barnesie, chociaż wydaje mi się, że już słyszałam te nazwiska. Odbieram wszystkie telefony, więc...

Japp powiedział:

- Sami możemy o to spytać pana Reilly'ego. Chciałbym się z nim zobaczyć jak najszybciej.

Panna Nevill wyszła i Japp powiedział do Poirota:

- Wszyscy byli starymi pacjentami Morleya. Z wyjątkiem Amberiotisa. Teraz chciałbym jak najszybciej udać się na interesującą rozmowę z panem Amberiotisem. Wygląda na to, że on ostatni widział Morleya żywego i musimy uzyskać całkowitą pewność, że Morley wtedy żył.

Poirot powiedział wolno, potrząsając głową:

- Pamiętaj, że musisz znaleźć motyw.

- Wiem. I to będzie nasz największy kłopot. Może mamy coś o Amberiotisie w Scotland Yardzie. - Przerwał i dodał szybko: - Widzę, że o wszystkim myślisz, Poirot!

- Zastanawiałem się nad czymś.

- Nad czym?

Poirot odparł ze słabym uśmiechem.

- Dlaczego nadinspektor Japp?

- Hm?...

- Powiedziałem: dlaczego nadinspektor Japp? Dlaczego tak wysoko postawiona osoba zajmuje się sprawą samobójstwa?

- Po prostu byłem w tym czasie w pobliżu, u Lavenhama, przy ulicy Wigmore. Mieli tam przypadek z wyjątkowo pomysłowym oszustwem. Zatelefonowano tam po mnie, abym tu przyszedł.

- Ale dlaczego telefonowano akurat po ciebie?

- O, to zupełnie jasne. Alistair Blunt. Jak tylko inspektor okręgowy dowiedział się, że on tu był dziś rano, natychmiast skontaktował się z Yardem. Pan Blunt należy do osób, które otaczamy w tym kraju specjalną ochroną.

- Przypuszczasz, że są ludzie, którzy chcieliby go... usunąć?

- Mogę się o to założyć. Przede wszystkim komuniści, a także nasi sympatycy .faszystów. Blunt i jego stronnicy to ludzie, którzy stanowią solidną podporę obecnego rządu. Są zabezpieczeniem finansowym dla konserwatystów. Jeżeli dziś rano zdarzyło się coś, co mogłoby mu w najmniejszym stopniu zagrażać, musieliśmy to dokładnie zbadać.

Poirot skinął głową.

- Tak, i ja też mniej więcej się tego domyślałem. Czuję jednak - zamachał nerwowo rękoma - że to mogła być... pomyłka i że właściwą ofiarą miał być... Alistair Blunt. Albo jest to tylko początek... początek kampanii, czy coś takiego? Czuję... - wciągnął powietrze przez nos - w tym wszystkim wielkie pieniądze!

Japp odparł:

- Jesteś trochę zbyt pewny.

- Sugeruję, że ce pauvre* Morley był tylko pionkiem tej grze... Być może coś wiedział... może coś powiedział Bluntowi... albo oni bali się, że mógłby coś powiedzieć Bluntowi...

Przerwał w chwili, gdy do pokoju weszła Gladys Nevill.

- Pan Reilly zajęty jest wrywaniem zęba - powiedziała. - Będzie wolny mniej więcej za dziesięć minut. Czy to panom odpowiada?

Japp wyraził zgodę. Tymczasem poprosił o powtórny rozmowę z Alfredem.

V

Stan psychiczny Alfreda oscylował pomiędzy uczuciem zdenerwowania, radości i chorobliwego strachu przed obwinieniem go za wszystko, cokolwiek się stało! Był u Morleya dopiero od dwóch tygodni. W tym czasie ciągle i niezmiennie wszystko robił źle. Ta stała kompromitacja poderwała w nim zaufanie do samego siebie.

- Być może był bardziej roztrzęsiony - odpowiedział a pytanie Alfred - poza tym nic nie pamiętam. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że mógłby do siebie strzelić!

- Musisz nam opowiedzieć wszystko, co przypominasz sobie z tego przedpołudnia. - Wmieszał się Poirot. - Jesteś bardzo ważnym świadkiem i twoje wspomnienia mogą mieć dla nas ogromne znaczenie.

Twarz Alfreda pokryła się silnym rumieńcem, zaczerpnął tchu i wypiął pierś. Już przedtem zdał Jappowi krótką relację z porannych wypadków. A teraz będzie mógł się wygadać. Zaczęło go ogarniać przyjemne uczucie ważności.

- Mogę panom wszystko dokładnie opowiedzieć - rzekł. - Tylko pytajcie.

- Na początek: czy dziś rano zdarzyło się coś niezwykłego?

Alfred zastanawiał się przez minutę i odpowiedział żalonym głosem:

- Nie mogę powiedzieć, żeby coś się zdarzyło. Wszystko było jak zwykle.

- Czy do domu nie przyszedł nikt obcy?

- Nie, sir.

- Nawet ktoś spośród pacjentów?

- Nie wiem, jakich pacjentów ma pan na myśli. Nie było nikogo, kto nie byłby uprzednio umówiony, jeśli o to panu chodzi. Wszyscy byli zapisani w książce.

Japp przytaknął.

- Czy z zewnątrz mógł wejść ktoś nie zauważony? - spytał Poirot.

- Nie, nie mógł. Chyba że miałby własny klucz.

- Jednak wyjść z domu, bez zwrócenia uwagi, było łatwo?

- O tak, proszę pana, wystarczyło chwycić za klamkę, otworzyć drzwi i zatrzaskać je za sobą. Większość z nich tak robiła. Często schodzili po schodach, podczas gdy ja wjeżdżałem windą na górę z następnym pacjentem, rozumie pan?

- Rozumiem. A teraz powiedz. nam, kto pierwszy przyszedł dziś rano i tak dalej. Opisz ich, jeśli nie pamiętasz nazwisk.

Alfred zastanawiał się przez minutę, potem powiedział:

- Jakaś pani z dziewczynką do pana Reilly'ego i pani Soap, czy coś takiego, do pana Morleya.

- Zgadza się. Dalej - ponaglił Poirot.

- Potem taka starsza dama... pewnie gruba ryba... Przyjechała daimlerem. Kiedy wyszła, przyszedł wysoki facet, sztywny niczym wojskowy, a zaraz po nim pan. - Wskazał na Poirota.

- Dobrze.

- Następnie przyszedł ten Amerykanin...

- Amerykanin? - przerwał szybko Japp.

- Tak, sir. Młody facet. To był na pewno Amerykanin, poznałem po akcencie. Przyszedł wcześniej, chociaż był umówiony dopiero na jedenastą trzydzieści albo trochę później. Mogła być jedenasta czterdzieści i wtedy go nie było, pewnie się wystraszył i uciekł. - Po czym dodał z miną znawcy: - Czasem tak robią.

- A zatem musiał wyjść wkrótce po mnie? - zapytał Poirot.

- To prawda, sir. Zanim pan wyszedł, zajęty byłem gościem, który przyjechał rollsem. Klasa! To był samochód! A więc pan Blunt - jedenasta trzydzieści. Potem zszedłem na dół, wypuściłem pana i wpuściłem jakąś panią. Panna Some Berry Seal, czy coś takiego... a potem... Tak, następnie po prostu skoczyłem na dół wziąć moje drugie śniadanie z kuchni i kiedy tam byłem, usłyszałem dzwonek - dzwonek pana Reilly'ego - wróciłem więc na górę i zobaczyłem, że ten Amerykanin dał nogę. Powiedziałem o tym panu Reilly'emu i on jak zwykle zaklął.

- Dalej - ponaglił Poirot.

- Chce pan wiedzieć, co było dalej? A więc pan Morley zadzwonił po tę pannę Seal, zaprowadziłem więc tę, jak tam się nazywa, do windy. Kiedy znów zjechałem na dół, przyszło dwóch dżentelmenów - jeden mały, ze śmiesznie skrzeczącym głosem - nie pamiętam jak się nazywał. Przyszedł do pana Reilly'ego. Drugim był jakiś gruby obcokrajowiec do pana Morleya. Panna Seal nie była długo - najwyżej piętnaście minut. Wyprowadziłem ją, a następnie zaprowadziłem na górę owego grubego obcokrajowca, bo tego drugiego dżentelmena, jak tylko przyszedł, zaprowadziłem do pana Reilly'ego.

- Wobec tego nie widziałeś, jak ten obcokrajowiec wychodził? - spytał Japp.

- Nie, sir, nie mogę powiedzieć, że widziałem. On musiał wyjść sam. Nie widziałem, jak ci dwaj wychodzili.

- Gdzie byłeś od godziny dwunastej?

- Zawsze siedzę w windzie, czekam, aż ktoś zadzwoni do drzwi frontowych lub na jeden z dzwonek dentystów.

- I prawdopodobnie coś czytałeś - wtrącił Poirot.

Alfred znów spłonął rumieńcem.

- To przecież nie jest zabronione. Nie wiem, co innego mógłbym w tym czasie robić.

- Dobrze. A co czytałeś?

- "Śmierć o 11.45". Taką amerykańską powieść kryminalną. Naprawdę ciekawa, sir. O rewolwerowcach!

Poirot uśmiechnął się lekko i powiedział:

- Czy z tego miejsca mogłeś słyszeć odgłos zamykania drzwi frontowych?

- Wtedy, gdy ktoś wychodził? Nie sądzę, sir. Myślę, że mogłem nie zwrócić na to uwagi. Winda mieści się z tyłu holu i trochę za narożnikiem. Wszystkie dzwonki są za windą. I te, naturalnie, słyszeć bardzo dobrze.

Poirot skinął głową i Japp zapytał:

- Co było dalej?

Alfred ściągnął brwi w ogromnym wysiłku pamięci.

- Została tylko ostatnia pacjentka, panna Shirty. Czekałem na wezwanie pana Morleya, ale nic się nie działo i o godzinie pierwszej ta pani zaczęła się trochę denerwować.

- Czy nie przyszło ci do głowy, aby pójść tam i zobaczyć, czy pan Morley jest gotowy?

Alfred stanowczo potrząsnął głową.

- Naturalnie, że nie, sir. Nawet mi się to nie śniło. Wiedziałem, że jest u niego pacjent i musiałem czekać na dzwonek. Oczywiście, gdybym wiedział, że pan Morley rąbnął do siebie...

Alfred potrząsnął głową z niezdrową rozkoszą.

- Czy dzwonek wzywający odzywał się, zanim pacjent zszedł z góry, czy też było na odwrót?

- spytał Poirot.

- To zależy. Zwykle pacjenci woleli schodzić po schodach i wówczas słyszałem dzwonek później. Jeżeli jednak zdecydowali się jechać windą, wówczas być może dzwonek odzywał się w momencie, gdy wiozłem ich na dół. Ale to nie było dokładnie ustalone. Czasem pan Morley chciał mieć kilka minut wolnego czasu przed następnym pacjentem. Jeżeli się spieszył, to dzwonił natychmiast po wyjściu pacjenta z gabinetu.

- Rozumiem... - Poirot przerwał i po chwili ciągnął dalej: - Alfredzie, czy samobójstwo pana Morleya zaskoczyło cię?

- Całkowicie mnie ogłupilo. Nie mogę sobie wprost wyobrazić, aby miał powód to zrobić, chyba że... O! - Oczy Alfreda zrobiły się okrągłe. - O... on chyba nie został zamordowany.

Poirot przerwał Jappowi, który zamierzał właśnie odpowiedzieć:

- Przypuścimy, że został zamordowany. Czy to cię mniej zaskoczyło?

- No, nie jestem pewien. Nie wiem, kto mógłby zamordować pana Morleya. Był przecież... no, był zwyczajnym dżentelmenem, sir. Czy on naprawdę został zamordowany, sir?

Poirot odparł poważnie:

- Bierzemy pod uwagę każdą możliwość. Oto dlaczego liczę na to, że ty, jako bardzo ważny świadek, postarasz się przypomnieć sobie wszystko, co się wówczas wydarzyło.

Silnie zaakcentował ostatnie słowa i Alfred ściągnął brwi, wysilając pamięć.

- Nie mogę już sobie nic więcej przypomnieć. Naprawdę, sir nie mogę.

Głos Alfreda był żalony.

- No dobrze już, Alfredzie. Jesteś całkiem pewny, że dziś przed południem, poza pacjentami, nie było tu nikogo?

- Nie było nikogo obcego, sir. Do panny Nevill przyszedł jej przyjaciel i był bardzo zawiedziony, że jej nie zastał.

- Kiedy tu był? - spytał szybko Japp.

- Krótco po dwunastej. Kiedy powiedziałem mu, że panna Nevill wyjechała na cały dzień, wydawał się tym bardzo zaskoczony i oświadczył, że zaczeka, aby zobaczyć się z panem Morleyem. Powiedziałem mu, że pan Morley jest aż do lunchu bardzo zajęty, ale on na to odparł: "Nieważne, zaczekam".

Poirot spytał:

- I czekał?

We wzroku Alfreda pojawiło się zdumienie.

- Nnn... nie pomyślałem o tym! - odparł. - Wszedł do poczekalni, ale potem już go tam nie było. Może znudziło mu się czekanie i postanowił przyjść kiedy indziej.

VI

Kiedy Alfred zniknął za drzwiami, Japp powiedział z wymówką do Poirota:

- Myślisz, że dobrze zrobiłeś, sugerując temu chłopakowi myśl, że to było morderstwo?

Poirot wzruszył ramionami.

- Myślę, że dobrze. Pod wpływem takiej sugestii mógł sobie przypomnieć coś, co widział lub słyszał, i będzie baczniej zwracał uwagę na wszystko, co się tu dzieje.

- Mimo wszystko nie chcemy, żeby to za wcześnie się rozeszło.

- Mon cher, nie rozejdzie się, Alfred czyta powieści kryminalne - jest zakochany w kryminałach. Cokolwiek mu się wymknie, zostanie przypisane jego chorobliwie wybujałej wyobraźni.

- Niech będzie, może masz rację, Poirot. Teraz porozmawiajmy z Reillym.

Gabinet i biuro Reilly'ego znajdowały się na pierwszym piętrze. Gabinet był tak samo duży, lecz ciemniejszy i nie tak bogato urządzone jak ten, który znajdował się piętro wyżej.

Wspólnik pana Morleya był wysokim, młodym człowiekiem, z czarną, bujną czupryną opadającą w nieładzie na czoło. Miał miły głos i przenikliwe oczy.

- Miałem nadzieję, panie Reilly - powiedział Japp po przedstawieniu się - że będzie pan w stanie rzucić trochę światła na tę sprawę.

- Mylą się panowie, ponieważ nie będę mógł - odparł Reilly. - Mogę tylko stwierdzić, że Morley był ostatnim człowiekiem, który targnąłby się na swoje życie. Ja mógłbym to zrobić, ale nie on!

- Dlaczego pan mógłby to zrobić? - spytał Poirot.

- Ponieważ mam morze zmartwień! - odrzekł. - Po pierwsze, kłopoty finansowe! U mnie nigdy jeszcze nie zgadzały się wydatki z dochodami. Natomiast Morley był człowiekiem roztropnym. Nie miał długów, nie miał kłopotów finansowych. Tego jestem pewien.

- A może jakaś sprawa miłosna? - podsunął Japp.

- Morley? On w ogóle nie zajmował się takimi sprawami! Biedny chłop, był pod pantoflem siostry!

Japp zapytał Reilly'ego o jego porannych pacjentów.

- O, sądzę, że wszyscy są poza podejrzeniami. Mała Betty Heath to miła dziewczynka - leczę ją, tak jak i całą rodzinę. Pułkownik Abercrombie - to też mój stały pacjent.

- Co pan wie o Howardzie Raikesie? - zapytał Japp.

Reilly uśmiechnął się szeroko.

- To ten, który uciekł przede mną? Nigdy przedtem nie był u mnie. Nic o nim nie wiem. Zatelefonował do mnie i umówił się na wizytę dziś rano.

- Skąd telefonował?

- Z hotelu "Holborn Palace". Przypuszczam, że to Amerykanin.

- Alfred też tak twierdzi.
 - Alfred powinien wiedzieć - odparł Reilly. - Ten nasz Alfred to kinoman.
 - A inni, pańscy pacjenci?
 - Barnes? Śmieszny, mały pedant. Jest emerytowanym urzędnikiem państwowym. Mieszka gdzieś w Ealing.
 Japp milczał przez chwilę, po czym spytał:
 - Co może nam pan powiedzieć o panie Nevill?
 Reilly uniósł brwi.
 - Ta ładna blond sekretarka? Nic szczególnego. Jej stosunki ze starym Morleyem były zupełnie niewinne... Tego jestem pewien.
 - Nie sugerowałem panu, że było inaczej - powiedział Japp, rumieniąc się lekko.
 - Mój błąd - powiedział Reilly. - Może mi pan wybaczyć sprośne myśli? Sądzę jednak, że na pańskim miejscu próbowałbym w myśl zasady *cherchez la femme**.
 - Proszę mi wybaczyć, że posługuję się pańskim ojczystym językiem - dodał, zwracając się do Poirota. - Mam piękny akcent, prawda? To skutki wychowania przez zakonnice.
 Japp niecierpliwie przerwał te wynurzenia i spytał:
 - Czy wie pan coś o tym młodym człowieku, z którym zaręczona jest panna Nevill? Nazywa się Carter, Frank Carter.
 - Morleyowi nie bardzo się podobał - odrzekł Reilly.
 - Próbował odciągnąć od niego pannę Nevill.
 - To znaczy, że mogło to zdenerwować Cartera?
 - Prawdopodobnie bardzo go to zdenerwowało. - Wesoło zgodził się Reilly.
 Przerwał i dodał po chwili:
 - Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym wiedzieć, czy panowie przesłuchują mnie w sprawie samobójstwa czy morderstwa?
 Japp odpowiedział szybko:
 - A jeżeli to byłoby morderstwo, to miałby pan jakieś podejrzenia?
 - Nie! Ale chciałbym, żeby to była Georgina! To ponura kobieta, ma bzika na punkcie wstrzeźliwości. Ale, niestety, obawiam się, że Georgina jest pełna moralnej prawości. Oczywiście, ja sam mogłem wejść na górę i zastrzelić starego Morleya, jednak tego nie zrobiłem. Nawet nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś chciałby go zamordować albo że sam się zastrzelił.
 I dodał zmienionym głosem:
 - Jeżeli chodzi o ścisłość, to jest mi bardzo przykro... Proszę mi wybaczyć moje zachowanie. Jestem bardzo zdenerwowany. Czuję słabość do starego Morleya i będzie mi go brakować.

VII

Japp odłożył słuchawkę i obrócił się do Poirota. Jego twarz przybrała ponury wyraz.
 - Amberiotis nie czuje się zbyt dobrze - powiedział - i wolałby dziś po południu z nikim się nie spotykać. Ale zobaczy się ze mną... i nie wykręci się od tego spotkania. Mamy w "Savoyu" naszego człowieka, który będzie miał na niego oko, gdyby chciał prysnąć.
 - Myślisz, że Amberiotis zastrzelił Morleya? - spytał Poirot w zamyśleniu.
 - Nie wiem. Jednak był ostatnią osobą, która widziała Morleya żywego. Ponadto był jego nowym pacjentem. Zgodnie z jego relacją rozstał się z Morleyem o dwunastej dwadzieścia pięć. Może to prawda, może i nie. Jeżeli Morley wtedy żył, wówczas musimy zrekonstruować to, co wydarzyło się potem. Panowała tam przez pięć minut cisza, zanim przyszedł następny pacjent. Czy ktoś wszedł i widział się z nim w ciągu tych pięciu minut? Powiedzmy Carter? Albo Reilly? Co się wydarzyło? Możemy założyć, że po dwunastej trzydzieści, a co najmniej trzydzieści pięć, Morley już nie żył - gdyby było inaczej, mógłby nacisnąć dzwonek lub

posłać na dół słówko do panny Kirby, że nie może jej przyjąć. Nie, w tym czasie został zastrzelony albo ktoś powiedział mu coś takiego, że popełnił samobójstwo. Przerwał i dodał:

- Chciałbym porozmawiać z każdym pacjentem, który widział się z nim dziś rano. Istnieje możliwość, że Morley coś powiedział jednemu z nich, co mogłoby naprowadzić nas na właściwy trop.

Spojrzał na zegarek.

- Alistair Blunt oświadczył, że może poświęcić mi kilka minut o czwartej piętnaście. Udamy się więc najpierw do niego, na Chelsea Embankment. Następnie, po drodze do Amberiotisa, wstąpimy do panny Sainsbury Seale. Zanim jednak zabierzemy się za tego Greka, chciałbym dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe. Potem chciałbym zamienić kilka słów z tym Amerykaninem, który według ciebie wyglądał jak morderca.

Poirot potrząsnął przecząco głową.

- Nie jak morderca... jak człowiek cierpiący na ból zęba.

- Nieważne, tak czy inaczej musimy się widzieć z tym Raikesem. Jego zachowanie było, delikatnie mówiąc, dziwne. Potem trzeba sprawdzić ten telegram panny Nevill, jej narzeczonego i chorobę ciotki. Prawdę mówiąc, musimy sprawdzić wszystko i wszystkich.

VIII

Alistair Blunt nie był postacią ogólnie znaną. Być może dlatego, że prowadził spokojny tryb życia, a może dlatego, że przez wiele lat pełnił raczej funkcje księcia małżonka niż króla.

Rebecca Sanseverato, z domu Arnholt, przybyła do Londynu jako pozbawiona iluzji, czterdziestopięcioletnia kobieta. Po rodzicach odziedziczyła królewskie wprost bogactwo. Jej matka była spadkobierczynią europejskiej rodziny Rothersteinów. Ojciec był głową wielkiego amerykańskiego banku Arnholtów. Rebecca Arnholt po tragicznej śmierci obu braci i kuzyna w katastrofie lotniczej stała się jedyną spadkobierczynią olbrzymiej fortuny. Wyszła za mąż za europejskiego arystokratę o znanym nazwisku, za księcia Felipe di Sanseverato. W trzy lata później, po spędzeniu dwóch okropnych lat z dobrze wychowanym łajdakiem, którego złe zachowanie było ogólnie znane, otrzymała rozwód i przyznano jej opiekę nad dzieckiem z tego małżeństwa. W kilka lat później dziecko zmarło.

Rozgoryczona cierpieniami, Rebecca Arnholt zainwestowała swoje niewątpliwe zdolności w sprawy finansowe - co zresztą miała we krwi. Przyłączyła się do swego ojca-bankiera.

Po jego śmierci postanowiła godnie go zastąpić w świecie finansjery. Kiedy przybyła do Londynu, przysłano do niej, do Clarige'a młodszego współnika z filii londyńskiej z dokumentami. W sześć miesięcy później świat zelektryzowała wieść, że Rebecca Sanseverato poślubiła Alistaira Blunta, człowieka młodszego od niej o prawie dwadzieścia lat!

Jak zwykle w takich wypadkach ludzie śmiali się i szydzili. Rebecca - mówili jej przyjaciele - była nieuleczalnie szalona, jeśli chodzi o mężczyzn. Pierwszy, Sanseverato... a teraz ten młodzieniaszek! Rzecz jasna, żenił się z nią wyłącznie dla pieniędzy! Oczywiście, grozi jej drugie nieszczęście! Jednak, ku powszechnemu zaskoczeniu, to małżeństwo okazało się udane. Ludzie, którzy prorokowali, że Alistair Blunt przepuści jej pieniądze na inne kobiety, mylili się. Pozostał jej wierny do końca. W dziesięć lat po jej śmierci, kiedy odziedziczył jej ogromny majątek, sądzono, że ożeni się powtórnie. Nie zrobił tego, pozostał wdowcem. Żył samotnym, spokojnym i zamkniętym życiem. Po śmierci żony Alistair Blunt nie przestawał zajmować się sprawami finansowymi, którym poświęcał wszystkie swoje, wybitne zdolności, nie ustępując w tym zmarłej żonie. Jego posunięcia były zawsze rozsądne, a uczciwość nie budziła wątpliwości. Kierował interesami Arnholtów i Rothersteinów z właściwym sobie talentem.

Bardzo mało udzielał się towarzysko, miał domy w Kent i Norfolk, gdzie spędzał weekendy - nie na wesołych przyjęciach, lecz w niewielkim gronie dystygowanych przyjaciół. Lubił grać w golfa, chociaż grał przeciętnie. Ponadto zajmował się ogrodem.

Taki był człowiek, do którego zmierzali teraz nadinspektor Japp i Herkules Poirot, trzęsąc się w rozklekotanej taksówce.

Gothic House był dobrze znanym budynkiem przy Chelsea Embankment. Wewnątrz urządzone były luksusowo, zarazem z kosztowną prostotą. Nie był nowoczesny, ale niezwykle wygodny.

Alistair Blunt nie kazał na siebie-czekać. Przyszedł prawie natychmiast.

- Nadinspektor Japp? - spytał.

Japp zrobił krok naprzód i przedstawił Herkulesa Poirot. Blunt przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

- Znam, oczywiście, pańskie nazwisko, monsieur Poirot. Z pewnością... Gdzieś... Zupełnie niedawno... - Przerwał i zmarszczył brwi.

- Spotkaliśmy się dziś rano w poczekalni ce pauvre monsieur* Morley - przypomniał Poirot.

Czoło Alistaira Blunta wygładziło się.

- Oczywiście - rzekł. - Przypominam sobie. Wiedziałem, że gdzieś już pana widziałem. - Zwrócił się do Jappa: - Czym mogę panu służyć? Z prawdziwą przykrością usłyszałem o biednym Morleyu.

- Był pan zaskoczony, panie Blunt?

- Bardzo. Oczywiście, znałem go bardzo słabo, ale myślę, że był człowiekiem, do którego samobójstwo nie pasuje.

- Czy wydawał się tego ranka zdrowy i miał dobre samopoczucie?

- Myślę, że... tak. - Alistair Blunt przerwał, a następnie powiedział z chłopięcym uśmiechem:

- Prawdę mówiąc, bardzo się boję chodzić do dentysty. Przede wszystkim nienawidzę tego piekielnego wiertła, z którym się na człowieka rzucają. Oto dlaczego nie zwracałem na nic uwagi. Przynajmniej dopóty, dopóki stamtąd wyszedłem. Muszę jednak stwierdzić, że Morley wydawał się całkowicie naturalny. Wesoły i pracowity.

- Często go pan odwiedzał?

- Wydaje mi się, że to była moja trzecia albo czwarta wizyta. Aż do ubiegłego roku nie miałem kłopotów z zębami. Ale teraz wygląda na to, że się już rozpadam.

Herkules Poirot spytał:

- Kto panu polecił Morleya?

Blunt ściągnął brwi koncentrując się.

- Chwileczkę... Bolało mnie... Ktoś mi mówił, że Morley przy Queen Charlotte Street jest dentystą, do którego powinienem pójść, ale... ale chyba nigdy w życiu nie przypomnę sobie, kto mi to poradził. Bardzo mi przykro.

- Jeśli jednak przypomni pan sobie, to proszę nas zawiadomić - powiedział Poirot.

Alistair Blunt spojrział na niego uważnie.

- Oczywiście, że to zrobię - rzekł. - Ale dlaczego? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Mam pewne podejrzenie, że to może mieć wielkie znaczenie - stwierdził Poirot.

Kiedy wychodzili, przed domem zatrzymał się samochód. Był to mały samochód sportowy, z gatunku tych, z których można się wydostać jedynie ruchem węża.

Dziewczyna, która wydostała się z samochodu, składała się przede wszystkim z rąk i nóg.

Kiedy ruszyli ulicą, wreszcie stanęła na chodniku i nagle krzyknęła:

- Halo!

Nie sądząc, by to wołanie skierowane było pod ich adresem, nie odwrócili się, ale dziewczyna powtórzyła:

- Halo! Halo, wy tam!

Zatrzymali się i rozejrzeli dookoła pytająco. Dziewczyna podeszła ku nim. To wrażenie rąk i nóg pozostało. Była wysoka, bardzo szczupła, o inteligentnej, żywej twarzy, co łagodziło pewne braki w urodzie. Miała ciemne włosy i była bardzo opalona.

Zwróciła się do Poirota:

- Wiem, kim pan jest... Jest pan detektywem i nazywa się Herkules Poirot! - Miała ciepły i niski głos ze śladem amerykańskiego akcentu.

- Do usług, mademoiselle - odpowiedział Poirot.

Jej oczy spoczęły na towarzyszu Poirota.

- To nadinspektor Japp.

Oczy jej rozszerzyły się. Wydawało się, że jest przestraszona. W głosie zabrzmiało lekkie wahanie.

- Po co panowie tu przyszli!... Czy coś się stało... wujkowi Alistairowi?

- Dlaczego pani tak myśli, mademoiselle? - szybko spytał Poirot.

- Więc nie? To dobrze!

Japp podtrzymał pytanie Poirota.

- Dlaczego przypuszczała pani, że mogło coś się stać panu Bluntowi, panno...?

Przerwał wyczekująco. Dziewczyna odparta odruchowo:

- Olivera. Jane Olivera. - Zaśmiała się bez przekonania. - Detektywi na progu raczej sugerują obecność bomby na strychu, prawda?

- Dzięki Bogu, nic takiego nie przydarzyło się panu Bluntowi. Miło mi to pani zakomunikować, panno Olivera.

Znów spojrzała na Poirota.

- Wezwał pana w jakiejś sprawie?

- To my chcieliśmy się z nim widzieć, panno Olivera - odparł Japp - ponieważ spodziewaliśmy się, że rzuci trochę światła na sprawę samobójstwa, które wydarzyło się dziś rano.

- Samobójstwo? Kto? Gdzie? - pytała szybko.

- Dentysta nazwiskiem Morley, Queen Charlotte Street 58.

- Och! - powiedziała bezbarwnie Jane Olivera.

- Och!... - Patrzyła przed siebie, marszcząc brwi. Nagle rzuciła: - Ależ to absurd! - Odwróciła się szybko na pięcie i bez pożegnania, wyjmując klucz, pobiegła w kierunku drzwi Gothic House.

- Tak! - stwierdził Japp, patrząc w ślad za nią.

- Nadzwyczajne stwierdzenie.

- Interesujące - zauważył łagodnie Poirot.

Japp opanował się, spojrzał na zegarek i machnął ręką na taksówkę.

- Mamy jeszcze trochę czasu, żeby w drodze do "Savoyu" wstąpić do panny Sainsbury Seale.

IX

Panna Sainsbury Seale, siedząc w mrocznej sali hotelu "Glengowrie Court" piła właśnie herbatę. Była zakłopotana pojawieniem się oficera policji w cywilnym ubraniu, ale jak zauważył, podniecenie, jakiego doznała, było jednocześnie przyjemne. Poirot stwierdził ze smutkiem, że nadal nie przyszyła klamerki do buta.

- Doprawdy, panie oficerze - zapiszczała panna Sainsbury Seale, rozglądając się dookoła - doprawdy nie wiem, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać. Wszędzie tłok... Jest właśnie pora herbaty, ale może pan też się napije i... i pański przyjaciel?

- Ja nie, madame - odparł Japp. - To jest monsieur Herkules Poirot.

- Naprawdę? - mówiła panna Sainsbury Seale. - Jest pan pewien, że żaden z panów nie napije się herbaty? Może wobec tego przejdziemy do salonu, chociaż często jest tam pełno... O, widzę tam w kątku, we wnęce. Właśnie zwalniamy stół. Chodźmy tam...

Zaprowadziła ich do odosobnionej kanapy i dwóch krzeseł stojących w zacisznej alkwie. Poirot i Japp szli za nią, a Poirot podniósł i wręczył jej szal i chustkę do nosa, które zgubiła po drodze.

- O, dziękuję, jestem taka roztrzępana. Proszę, panie inspektorze, a może nadinspektorze? Proszę pytać mnie o wszystko, o co pan tylko zechce. To takie przykre. Biedny człowiek... Sądzę, że był czymś przejęty. W jakich strasznych czasach żyjemy!

- Czy wydawał się pani czymś zmartwiony?

- No... - Panna Sainsbury Seale zastanawiała się i ostatecznie powiedziała niechętnie: - No, wie pan, nie mogę powiedzieć, żeby był czymś zmartwiony! Ale, być może, nie zauważyłam tego... nie w tych okolicznościach. Jestem bardzo bojaźliwa, a nawet tchórzliwa... No, rozumie pan! - Panna Sainsbury Seale zachichotała i poprawiła fryzurę podobną do ptasiego gniazda.

- Czy mogłaby nam pani powiedzieć, kto jeszcze był wtedy w poczekalni?

- Chwileczkę... Więc gdy weszłam, był tam tylko jakiś młody człowiek. Wydawało mi się, że bardzo go bolą zęby, ponieważ stale coś do siebie mrucał i wyglądał tak dziko. Przez jakiś czas bezmyślnie przewracał leżące na stole magazyny. Nagle zerwał się i wybiegł. Widocznie dostał ataku bólu.

- Nie wie pani przypadkiem, czy kiedy wybiegł z pokoju, opuścił również dom?

- Niestety, tego nie wiem. Przypuszczam, że nie mógł już dłużej wytrzymać i musiał natychmiast dostać się do dentysty. Chyba to niemożliwe, żeby poszedł do pana Morleya, ponieważ służący wezwał mnie w kilka minut później.

- Czy przed wyjściem z domu wchodziła pani jeszcze do poczekalni?

- Nie. Ponieważ już na górze w gabinecie pana Morleya włożyłam kapelusz i uporządkowałam włosy. Niektórzy - panna Sainsbury Seale kontynuowała swój ulubiony temat - zdejmują kapelusze i zostawiają na dole w poczekalni, ale ja tego nigdy nie robię. Moja przyjaciółka naraziła się kiedyś z tego powodu na spory kłopot. Proszę sobie wyobrazić, że zostawiła swój nowy kapelusz na krześle, a kiedy wróciła na dół, siedziało na nim dziecko! Ruina! Kompletna ruina!

- Katastrofa - zgodził się uprzejmie Poirot.

- Według mnie, winę za to ponosiła wyłącznie matka - mówiła dalej panna Seale autorytatywnie. - Matki powinny pilnować swoich dzieci. Te rozkoszne maleństwa nie robią szkody celowo, ale trzeba je pilnować!

- A więc ten młody człowiek z bolącymi zębami - powiedział Japp - był jedynym pacjentem, którego spotkała pani przy Queen Charlotte Street 58?

- Był tam jeszcze jeden dżentelmen. Widziałam, jak schodził po schodach. Wszedł w chwili, gdy szłam do pana Morleya... O, teraz sobie przypomniałam! Gdy wchodziłam do domu, opuszczał go jakiś szczególny mężczyzna wyglądający na obcokrajowca.

Japp zakaszłał. Poirot powiedział z godnością:

- To byłem ja, madame.

- O, mój Boże! - Panna Sainsbury Seale patrzyła na niego z przerażeniem. - Tak, to był pan. Proszę mi wybaczyć. Tu jest tak ciemno, a ja mam krótki wzrok! - tłumaczyła się speszona. - Tak naprawdę to pochlebiam sobie, że mam wielki dar zapamiętywania twarzy. Ale światło jest tu takie przyćmione... Proszę wybaczyć mi tę niefortunną omyłkę!

Uspokoił ją i Japp spytał:

- Czy pani jest zupełnie pewna, że pan Morley nie wspominał na przykład, że spodziewa się jakiejś kłopotliwej rozmowy, wtedy, przed południem? Czy może coś w tym rodzaju?

- Nie, jestem pewna, że nic takiego nie mówił.

- A może wspomniał o pacjencie nazwiskiem Amberiotis?

- Nie, nie. On naprawdę nic nie mówił... To znaczy mówił, ale tylko to, co zwykle mówi dentysta do pacjenta.

Poirot pomyślał błyskawicznie: "Wypłukać. Proszę otworzyć trochę szerzej. Teraz delikatnie zamknąć."

Japp wreszcie chciał posunąć się krok naprzód. Być może zaistnieje potrzeba, aby panna Sainsbury Seale zeznawała w czasie śledztwa.

Po pierwszych piskach i okrzykach niezadowolenia panna Seale wydawała się tym zainteresowana. W wyniku wstępnego dochodzenia Japp wydobył z panny Sainsbury Seale całą historię jej życia.

Z jej opowieści wynikało, że sześć miesięcy temu, przyjechała z Indii do Anglii. Mieszkała w różnych hotelach i pensjonatach, aż wreszcie wylądowała w hotelu "Glengowrie Court", gdzie czuła się dobrze, ponieważ znalazła domową atmosferę. W Indiach przeważnie mieszkała w Kalkucie, gdzie pracowała na rzecz misji i udzielała lekcji wymowy.

- Najważniejsza jest prawidłowa wymowa. Pan nadinspektor rozumie, o co mi chodzi? - Panna Sainsbury Seale mówiła krygując się. - Jako dziewczyna występowałam na scenie. Och, no wie pan, tylko w małych rólkach. I to na prowincji! Miałam jednak wielkie ambicje. Stały teatr. Potem pojechałam w świat - Szekspir, Bernard Shaw. - Westchnęła. - Kłopotem dla nas, biednych kobiet, jest serce - jesteśmy na jego łasce. Pochopne, impulsywne małżeństwo. Niestety! Potem prawie natychmiast rozstaliśmy się. Oszukał mnie w pożalowania godny sposób. Wróciłam do mojego panieńskiego nazwiska. Pewna moja przyjaciółka dała mi niewielki kapitał, z którym rozpoczęłam prowadzenie szkoły wymowy i pomogłam stworzyć niewielki, dobry zespół dramatyczny. Muszę pokazać panom niektóre recenzje.

Nadinspektor Japp wiedział, jakie w tym tkwi niebezpieczeństwo. Chciał już przerwać, ale panna Sainsbury Seale brnęła dalej:

- ... i jeśliby, przypadkiem, moje nazwisko mogło ukazać się w prasie - jako świadka w śledztwie, oczywiście - to chciałabym być pewna, że wydrukują je poprawnie. Mabelle Sainsbury Seale - Mabelle, literując: M.A.B.E.L.L.E i Seale: S.E.A.L.E. Jeżeli będą uważali za stosowne, to proszę, żeby wspomnieli, że grałam w Jak wam się podoba w teatrze w Oksfordzie...

- Oczywiście, oczywiście... - przerwał delikatnie nadinspektor Japp.

W taksówce westchnął i otarł pot z czoła.

- Jeżeli okaże się to konieczne, będziemy musieli sprawdzić, czy wszystko, co nam opowiadała, było zgodne z prawdą - zauważył. - Chyba że to były kłamstwa... Ale w to akurat nie wierzę!

Poirot pokiwał głową.

- Kłamcy - powiedział - nie są ani tak drobiazgowi, ani tak nielogiczni. Japp kontynuował:

- Obawiałem się, że będzie utrudniała śledztwo... Tak jak większość panien w średnim wieku. Jednak jej przeszłość aktorska może tłumaczyć tę gorliwość. W pewnym sensie byłaby to reklama!

- Ty naprawdę chcesz, aby uczestniczyła w śledztwie? - zdziwił się Poirot.

- Prawdopodobnie nie. To zależy... - Przerwał i dodał: - Ale jestem więcej niż pewny, że to nie było samobójstwo, Poirot.

- A motyw?

- Chwilowo nie możemy jeszcze go znaleźć. Przypuśćmy, że Morley kiedyś uwiódł córkę Amberiotisa?

Poirot milczał. Próbował wyobrazić sobie pana Morleya w roli uwodziciela pięknookiej Greczynki, ale ten obraz stał się żałośnie groteskowy.

Przypomniał Jappowi, jak Reilly mówił, że jego współnik nie zaznał radości życia.

- O, nigdy nie wiadomo, co w trawie piszczy! - powiedział niejasno Japp i dodał z satysfakcją: - Będziemy więcej wiedzieli po rozmowie z tym facetem.

Zapłacili za taksówkę i weszli do hotelu "Savoy".

Japp zapytał o Amberiotisa. Portier spojrział na niego dziwnie.

- Pan Amberiotis? - spytał. - Przykro mi, ale obawiam się, że nie będzie pan mógł się z nim widzieć.

- Mylisz się, mój przyjacielu - rzekł chłodno Japp. Odepchnął portiera na bok i pokazał legitymację służbową.

- Pan mnie nie zrozumiał. Pan Amberiotis nie żyje już od pół godziny!

Poirotowi wydawało się, że jakieś drzwi zamknęły się delikatnie, lecz stanowczo.

PIĄTE, SZÓSTE, DOBIERZ PATYCZKI PROSTE I

Dwadzieścia cztery godziny później Japp zatelefonował do Poirota. W głosie nadinspektora wyczuwało się gorycz.

- Kłapa! Nic z tego nie wyszło!

- Co masz na myśli, drogi przyjacielu?

- Morley rzeczywiście popełnił samobójstwo. Mamy motyw.

- Jaki?

- Mam już orzeczenie lekarskie w sprawie śmierci Amberiotisa. Nie chce przekazywać ci go w urzędowym żargonie, ale, mówiąc potocznie, zmarł na skutek przedawkowania adrenaliny i nowokainy. Spowodowało to atak serca i zgon. Kiedy ten nieszczęśnik mówił wczoraj po południu, że źle się czuje, była to prawda. No i teraz jesteśmy już w domu! Adrenalina i nowokaina wchodzi w skład zastrzyku znieczulającego. Morley popełnił pomyłkę, stosując za dużą dawkę. Amberiotis wyszedł i dentysta uświadomił sobie, co zrobił, nie chcąc ponosić konsekwencji - palnął sobie w łeb!

- Z broni, której nigdy nie posiadał? - powątpiewał Poirot.

- Jednak mógł ją mieć! Krewni nie wiedzą o wszystkim. Byłbyś zaskoczony, dowiadując się o rzeczach, o których oni nie wiedzieli.

- Tak, to prawda.

- No i jesteśmy w domu - powtórzył Japp. - To jest właśnie jedyne, logiczne wyjaśnienie całej naszej sprawy.

- Wiesz co, mój drogi - rzekł Poirot - mnie ono nie przekonuje. To prawda, że pacjenci mogą reagować alergicznie na miejscowe znieczulenie. Uczulenie na nowokainę jest ogólnie znane. Nawet niewielka dawka może wywołać wstrząs. Ale lekarz, który stosuje te leki, normalnie nie przejmuje się aż tak bardzo, aby potem popełnić z tego powodu samobójstwo!

- Tak, mówisz o wypadkach, kiedy podano normalną dawkę. I nie można o to obwiniać poszczególnych lekarzy. Ale w naszej konkretnej sprawie wyraźnie mamy do czynienia z przedawkowaniem. Eksperci nie doszli jeszcze do tego, jaka była wielkość dawki, a to może jeszcze potrwać całą wieczność - stwierdzili na razie, że była to dawka większa niż dopuszczalna. Wynika z tego, że Morley z pewnością popełnił omyłkę.

- Nawet jeżeli to była pomyłka - rzekł Poirot - to przecież nie była to zbrodnia!

- Oczywiście, że nie, ale na pewno nie wyszłoby mu to na dobre w jego karierze zawodowej. Byłby skończony. Nikt nie poszedłby do dentysty, który z powodu roztargnienia zabija swoich pacjentów!

- Przyznaję, że byłoby to dziwne.

- Oczywiście, takie rzeczy zdarzają się lekarzom czy farmaceutom... Można być dokładnym i ostrożnym przez lata, aż nagle, jeden moment nieuwagi i... nieszczęście gotowe. Morley był

człowiekiem wrażliwym. W wypadku lekarza współwinnymi lub winnymi są zwykle farmaceuta lub aptekarz. W przypadku Morleya - tylko on jeden był odpowiedzialny za wszystko.

Poirot zastanawiał się.

- Dlaczego jednak nie pozostawił jakiejś notatki mówiącej o tym, co zrobił? Wyjaśniającej, że nie był w stanie ponieść konsekwencji? Żadnego liściku do siostry.

- Nie, ja to widzę tak: nagle zorientował się, co się stało, zawiodły go nerwy i wybrał najprostsze wyjście z sytuacji.

Poirot milczał.

- Znam cię, stary - rzekł Japp. - Jeśli raz uczepisz się tego, że to jest morderstwo, to chciałbyś, żeby to było morderstwo! Przyznaję, że to ja jestem winien. Tak cię nastawiłem. Przyznaję, że popełniłem pomyłkę. Przyznaję bez bicia.

- Wciąż jeszcze uważam, że może istnieć jakieś inne rozwiązanie - oświadczył Poirot.

- Nie wątpię, że istnieje mnóstwo innych rozwiązań. Myślałem o nich, ale wszystkie są zbyt fantastyczne. Przypuśćmy, że Amberiotis zastrzelił Morleya, poszedł do siebie, poczuł wyrzuty sumienia i popełnił samobójstwo, używając do tego celu lekarstw, które ukradł z gabinetu Morleya. Ty sądzisz, że to ma sens, ja zaś stwierdzam, że jest to całkowicie bez sensu. Dostaliśmy z Yardu dane o Amberiotisie. Są całkiem interesujące. Karierę rozpoczął jako hotelarz w Grecji, potem zaplątał się w politykę. Szpiegował na rzecz Niemiec i Francji, zarobił na tym sporo pieniędzy. Niestety, tą drogą nie dorobił się tak szybko pieniędzy, jakby chciał, i mówi się o nim, że kilka razy próbował szantażu. Niezbyt miły facet, ten nasz Amberiotis! W ubiegłym roku przebywał w Indiach, gdzie, jak się sądzi, bez żenady wydoił jakiegoś miejscowego księcia. Nie można było mu nic udowodnić. Śliski jak węgorz! Wyłania się inna możliwość. Powiedzmy, że z jakiegoś powodu szantażuje Morleya, ten zaś, mając wspaniałą okazję, faszkuje go dawką adrenaliny i nowokainy, wierząc, że uznane to zostanie za nieszczęśliwy wypadek uczulenia na nowokainę. Jednak zaraz po wyjściu pacjenta Morleya napadły wyrzuty sumienia i skończył ze sobą. To jest, oczywiście, możliwe, ale nie mogę jakoś wyobrazić sobie Morleya jako wyrachowanego mordercę. Nie, jestem prawie pewny tego, co powiedziałem na wstępie - to była prawdziwa omyłka, którą popełnił tego ranka, gdy był przepracowany. Zostawmy to wyjaśnienie jako zadowalające, Poirot. Rozmawiałem z szefem i on też jest tego zdania.

- Rozumiem - powiedział Poirot z westchnieniem - rozumiem...

- Wiem, co czujesz, stary - rzekł Japp uprzejmie.

- Jednak nie można mieć tak na zawołanie pięknego, soczystego morderstwa! No, to na razie. Wszystko, co ci mogę jeszcze powiedzieć na moje usprawiedliwienie to "Przepraszam, że sprawiłem ci kłopot!"

Z tymi słowami odłożył słuchawkę.

II

Herkules Poirot usiadł przy swoim okazałym, nowoczesnym biurku. Lubił nowoczesne meble. Ich proste linie i trwałość bardziej mu odpowiadały niż miękkie kształty starszych modeli.

Przed nim leżał arkusz papieru z nagłówkami i komentarzami. W tekście było dużo znaków zapytania.

Pierwszy:

Amberiotis. Szpiegostwo. Czy w tym celu przebywał w Anglii? W minionym roku był w Indiach podczas rozruchów i niepokoików. Mógłby być agentem komunistycznym.

Potem była spacja i następny tekst:

Frank Carter? Morley wyraził się o nim nieprzychylnie. Niedawno zwolniony z pracy. Dlaczego?

Następne nazwisko zaopatrzone było tylko znakiem zapytania.

Howard Raikes?

Poniżej napisana była następująca sentencja:

Ale to absurd

Poirot pochylił głowę z powątpiewaniem.

Za oknem ptaszek niósł w dziobie gałązkę do wicia gniazda. Poirot, ze swoją jajowatą głową przechyloną teraz na jedną stronę, też wydawał się ptakiem.

Nagle drgnął i napisał kolejne nazwisko.

Barnes?

Przerwał i dopisał poniżej:

Gabinet Morleya? Ślad na dywanie. Różne możliwości.

Przez chwilę zastanawiał się nad ostatnim zapisem.

Potem wstał, kazał podać sobie laskę i kapelusz, i wyszedł.

III

Trzy kwadransy później Poirot opuścił stację metra przy Ealing Broadway i po pięciu minutach dotarł do celu - Castlegardens Road 88.

Stał tu mały domek dwurodzinny, od frontu poprzedzony czystym i schludnym ogródkiem, na widok którego Poirot skinął z zachwytem głową.

- Wspaniała symetria - mruknął do siebie.

Pan Barnes był w domu i Poirota zaprowadzono do małej, pedantycznie czystej jadalni. Po chwili wszedł pan Barnes.

Był to niewysoki mężczyzna z bystrymi oczkami i prawie całkowicie łysą głową. Ponad opuszczonymi okularami spojrzał z zaciekawieniem na gościa, potem spuścił wzrok na wizytówkę, którą Poirot uprzednio wręczył pokojówce.

Barnes powiedział wysokim, prawie piskliwym głosem:

- No, no, monsieur Poirot? Naprawdę, bardzo jestem zaszczycony.

- Proszę mi wybaczyć to nagle, niespodziewane najście - powiedział ceremonialnie Poirot.

- To najlepszy sposób - powiedział Barnes - i czas również jest odpowiedni. Kwadrans do siódmej to najlepsza pora, aby zastać kogoś w domu. - Skinął ręką.

- Proszę siadać, monsieur Poirot. Jestem pewny, że ma pan ze mną wiele spraw do omówienia, zapewne chce pan rozmawiać o sprawie z Queen Charlotte Street 58?

- Pańskie przypuszczenie jest słuszne, lecz dlaczego zakłada pan, że przyszedłem w tej sprawie? - zapytał Poirot.

- Drogi panie - odparł pan Barnes - już dość długo jestem emerytowanym urzędnikiem Home Office, ale jeszcze do reszty nie zardzewiałem. Jeśli tkwi w tym jakaś tajemnica, to lepiej nie mieszać w to policji. To tylko ściągą nadmierną uwagę!

- Muszę panu wobec tego zadać jeszcze inne pytanie - powiedział Poirot. - Dlaczego przypuszcza pan, że może w tym tkwić jakaś tajemnica?

- A tak nie jest? - spytał Barnes. - Jeżeli nie jest, to powinno tak być! - Pochylił się i stuknął swoim pince-nez w poręcz fotela. - W Secret Service praca nie polega na łapaniu płotek, tylko grubych ryb na szczycie, ale, aby je złapać, trzeba być ostrożnym i nie alarmować tych małych płotek.

- Wydaje mi się, panie Barnes, że pan wie więcej ode mnie - powiedział Poirot.

- Nie wiem nic więcej ponad to - odparł gospodarz - że można dodać dwa do dwóch.

- A jednym z tych dwóch jest...?

- Amberiotis - odrzekł pan Barnes szybko. - Pan zapomniał, że siedziałem przez kilka minut naprzeciw niego w poczekalni. On mnie nie znał. Zawsze byłem niepozornym i nie rzucającym się w oczy facetem. Czasem to się przydaje. Jednak ja znałem go doskonale i mogłem się domyślić, dlaczego przyjechał do Anglii.

- I cóż to było?

Pan Barnes błysnął żywiej oczami.

- Jesteśmy narodem nieznośnym. Jesteśmy konserwatystami, jak pan wie, i to konserwatystami do szpiku kości. Na wszystko narzekamy, ale tak naprawdę to nie chcemy rozwalić naszego demokratycznego rządu i nie pragniemy nowomodnych eksperymentów. To właśnie stoi kością w gardle wszelkim obcym agitatorom. Całe ich zmartwienie polega na tym - z ich punktu widzenia - że jesteśmy krajem niezwykle niezależnym finansowo, jak obecnie żaden inny kraj w Europie! Zachwiać równowagę Anglii - zachwiać w sposób istotny - można tylko poprzez finanse... i na tym to polega! Jednak nikt nic nie robi 'tak długo, jak długo przy finansowym sterze stoi taki człowiek jak Alistair Blunt.

Pan Barnes przerwał na chwilę, po czym kontynuował:

- Blunt jest tego rodzaju człowiekiem, że w życiu prywatnym zawsze płaci rachunki i nie żyje ponad stan. Obojętnie, czy rocznie zarabia dwa pensy, czy kilka milionów funtów! Jest to właśnie tego rodzaju typ człowieka! I dlatego też uważa, że nie ma powodów, aby kraj nie robił w podobny sposób! Żadnych kosztownych eksperymentów. Żadnych szalonych wydatków na wszelkie możliwe utopie. Oto więc dlaczego... - przerwał na chwilę - oto dlaczego pewni ludzie uważają, że Blunt musi odejść.

- Ach - rzekł Poirot. Pan Barnes skinął głową.

- Tak - powiedział. - Wiem, co mówię. Niektórzy z nich są całkiem porządni - długie włosy, płonące oczy i głowy pełne idei o lepszym świecie. Inni nie są tak porządni, raczej wstrętnei. To brodate, skryte, szcurze plemie, ich angielszczyzna pełna jest obcych akcentów. Są jeszcze inni, w typie Wielkich Tyranów. Jednak wszyscy oni chcą tego samego: Blunt musi odejść!

Odchylił się wraz z krzesłem i opadł z powrotem.

- Wymieść precz stary porządek! Torysów, konserwatystów, tych, którzy nie chcą się poddać oraz nieufnych, twardych biznesmenów. Oto cele, w które mierzą. Być może ci ludzie są w porządku - tego nie wiem - natomiast wiem jedno: należy dać ludziom coś w zamian za zlikwidowany stary porządek, konkretnego, a nie tylko piękne słowa. No, ale o tym nie mówmy. Mamy do czynienia nie z abstrakcyjną teorią, lecz z konkretnymi faktami. Jeżeli usuniemy podpory, runie cały budynek. Blunt stanowi właśnie jedną z podpór istniejącego porządku.

Znów się pochylił.

- Oni stanowczo chcą usunąć Blunta. Tego jestem pewny. Według mnie, wczoraj przed południem prawie już się do niego dobrali. Mogę się mylić, ale przypuszczam, że próbowano tego już przedtem. Mam na myśli metodę.

Przerwał, a następnie powoli i ostrożnie wymienił trzy nazwiska. Niezwykle zdolnego ministra skarbu, postępowego i dalekowzrocznego przemysłowca i obiecującego polityka, który zdobył sobie sympatię społeczeństwa. Pierwszy zmarł na stole operacyjnym, drugi zapadł na ciężką, zbyt późno rozpoznaną chorobę, trzeci zginął pod kołami samochodu.

- To było bardzo proste - mówił dalej pan Barnes. - Anestezjolog partaczy swoją robotę, co się zdarza. W drugim przypadku lekarz domowy ma problemy z postawieniem właściwej diagnozy. W trzecim stroskana matka pędzi samochodem do chorego dziecka, po drodze wypadek. Smutna sprawa - sąd uniewinniają całkowicie!

Przerwał i podjął po chwili:

- Wszystko odbyło się bardzo naturalnie i niebawem poszło w zapomnienie, lecz teraz opowiem panu, co się naprawdę stało z tymi trzema osobami, które były zamieszane w te

wypadki. Anestezjolog otrzymał za darmo do dyspozycji wspaniale wyposażone laboratorium doświadczalne, ten lekarz domowy wycofał się z praktyki, otrzymał jacht i piękną posiadłość w Broads. Matka daje wszystkim swoim dzieciom pierwszorzędne wykształcenie, kucyki w czasie wakacji, piękny dom na prowincji, z pięknym ogrodem i paddockiem.

Pokiwał wolno głową.

- W każdym zawodzie, w każdej sferze, zawsze jest ktoś, kto ulegnie pokusie. Nasz kłopot polega na tym, że Morley nie uległ pokusie, prawda?

- Sądzi pan, że tak było? - spytał Herkules Poirot.

- Tak myślę - odrzekł Barnes. - Chyba rozumie pan, że niełatwo dotrzeć do któregoś z tych wielkich ludzi; są dobrze pilnowani. Na przykład wypadek z samochodem był ryzykowny, takie zadania nie zawsze uwieńczone są sukcesem. Jednak na fotelu dentystycznym ludzie są bezbronni.

Zdjął pince-nez, przetarł i znów założył.

- Taka jest moja teoria! - oświadczył. - Morley nie chciał tego zrobić! Wiedział zbyt wiele, musieli go usunąć.

- Oni? - zapytał niecierpliwie Poirot.

- Kiedy mówię oni, mam na myśli organizację, która za tym stoi. Ale, ma się rozumieć, obecnie działa tylko jedna.

- Konkretnie, kto?

- Mogę tylko zgadywać - powiedział pan Barnes - ale to tylko domysły. Mogę się mylić.

Poirot rzekł cicho:

- Reilly?

- Oczywiście! Tylko on mógł być tą osobą. Prawdopodobnie nigdy nie prosili Morleya, aby robotę wykonał osobiście. Morley miał w ostatniej chwili przekazać Blunta Reilly'emu. Miał nagle poczuć się źle czy coś w tym sensie. To Reilly powinien był to załatwić - i znów nastąpiłby godny ubolewania wypadek: śmierć znanego bankiera. Nieszczęsny, młody i niedoświadczony dentysta byłby tak roztrzęsiony, że z pewnością dostałby niski wymiar kary lub zostałby przez sąd uniewinniony. Później prawdopodobnie rzuciłby praktykę i osiadł gdzieś na prowincji z ładnym rocznym dochodem kilku tysięcy funtów.

Barnes spojrział na Poirota.

- Proszę nie myśleć, że mam zbyt wybujałą fantazję - powiedział. - Takie rzeczy się zdarzają.

- Tak, tak, wiem, że się zdarzają.

Pan Barnes kontynuował, stukając palcem w książkę sensacyjną, która leżała przed nim na stole.

- Czytałem mnóstwo takich szpiegowskich historii. Niektóre są wręcz fantastyczne! Czasem jednak rzeczywistość je przerasta! Zdarzają się piękne awanturnice, podejrzane, ciemne typy z obcym akcentem, międzynarodowe gangi i superoszuści! Rumieniłbym się, gdybym zobaczył to w książce - nikt by w to nie uwierzył ani przez chwilę!

- Jaka jest według pana rola Amberiotisa w tej historii? - zapytał Poirot.

- Nie jestem zupełnie pewien. Myślę, że Amberiotis miał być kozłem ofiarnym. Niejednokrotnie brał udział w podwójnej grze i mogę się domyślać, że został w coś wrobiony. Ale jest to tylko przypuszczenie, oczywiście.

- Zakładając, że pańskie domysły są prawdziwe - rzekł Poirot cicho - co teraz powinno wydarzyć się dalej?

Pan Barnes potarł nos.

- Spróbują go znów dostać - powiedział. - O, tak. Spróbują jeszcze raz. Czasu jest mało. Założę się, że Blunt ma ludzi do ochrony. Muszą teraz specjalnie uważać. To nie będzie człowiek ukryty w krzakach z rewolwerem w ręku. Takie prymitywne zagranie nie wchodzi w rachubę. Trzeba ostrzec go przed zwykłymi ludźmi, przed krewnymi, służbą, ludźmi związanymi z medycyną, sprzedawcami win, którzy będą chcieli zaopatrzyć jego piwnicę i

tym podobnych. Sprzątnięcie Blunta jest gratką dla wielu, a to zadziwiające, co ludzie potrafią zrobić dla pieniędzy, na przykład za cztery tysiące na rok...

- Aż tyle?

- Może nawet więcej...

Poirot milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Od samego początku brałem pod uwagę Reilly'ego.

- Jest Irlandczykiem? Może to IRA?

- Nie jestem pewien. Na dywanie znalazłem ślad, który wskazywał na to, że zwłoki były przesuwane. Jeżeli Morleya zastrzelił któryś z pacjentów, mógł to zrobić w gabinecie lekarskim i nie musiałby ruszać zwłok. Dlatego też od początku podejrzewałem, że zastrzelono go w sąsiednim pokoju, a następnie zwłoki przesunięto do gabinetu. Tak więc sądzę, że to nie pacjent go zastrzelił, ale ktoś z domowników.

- Zręcznie - powiedział pan Barnes z uznaniem. Herkules Poirot podniósł się i wyciągnął rękę.

- Dziękuję - powiedział. - Bardzo mi pan pomógł.

IV

Po drodze do domu Poirot odwiedził hotel "Glengowrie Court".

W wyniku tej wizyty zadzwonił następnego ranka do Jappa.

- Bonjour, mon ami. Będzie dziś przesłuchanie czy nie?

- Tak. Będziesz obecny?

- Nie sądzę.

- Przypuszczam, że nic ciekawego dla ciebie nie zostało.

- Czy wezwałeś już na świadka pannę Sainsbury Seale?

- Piękna Mabelle... Dlaczego nie pisze swego imienia jako Mabel? Takie kobiety wyprowadzają mnie z równowagi! Nie, nie wezwałem jej. To już niepotrzebne.

- Czy kontaktowała się z tobą?

- Nie, a czy powinna?

- Po prostu zastanawiałem się - powiedział Poirot. - Może cię zainteresuje, że panna Sainsbury Seale wyszła z hotelu "Glengowrie Court" przedwczoraj wieczorem i dotąd nie wróciła.

- Co? Prysnęła?

- Zupełnie możliwe.

- Ale dlaczego? Przecież sam wiesz, że była w porządku. Była szczerą i nikogo nie udawała. Depeszowałem do Kalkuty jeszcze przed wykryciem przyczyn śmierci Amberiotisa, inaczej bym się tym nie trudził. Wczoraj wieczorem otrzymałem odpowiedź. Wszystko się zgadza. Znali ją tam od lat i to, co o sobie opowiedziała, jest prawdą. Za wyjątkiem tej mętnej papki o jej niezbyt szczęśliwym małżeństwie z hinduskim studentem, który już przedtem był kilka razy żonaty. Tak więc wróciła do panińskiego nazwiska i podjęła pożyteczną pracę. Współpracuje z misjonarzami, uczy wymowy i pomaga amatorskim zespołom dramatycznym. Mógłbym nazwać ją okropnym babskiem, ale jest poza wszelkimi podejrzeniami o wplątanie się w morderstwo. A teraz oświadczasz mi, że ona związała! Tego nie mogę zrozumieć. - Przerwał na chwilę, po czym dodał z powątpiewaniem: - Może po prostu miała dosyć tego hotelu, bo ja na jej miejscu miałbym.

- Zostawiła bagaż w hotelu. Niczego ze sobą nie zabrała - odparł Poirot.

Japp zaklął.

- Kiedy wyszła?

- Za piętnaście siódma.

- Co o tym mówią w hotelu?

- Są bardzo zmartwieni. Szczególnie kierownictwo wydawało się bardzo przejęte.
- Dlaczego nikt nie zawiadomił policji?
- Ponieważ, mon cher, przypuśćmy, że pewna pani chciała gdzieś zostać na noc poza hotelem (choć, sądząc z jej wyglądu, jej to chyba nie dotyczyło) i usprawiedliwione byłoby jej oburzenie, gdyby po powrocie dowiedziała się, że wzywano w jej sprawie policję. Pani Harrison, kierowniczką, kiedy dowiedziała się o jej zniknięciu, zaczęła dowiadywać się o nią w różnych szpitalach, sądząc, że może wydarzył się jakiś wypadek. Prawie była już zdecydowana wezwać policję, gdy ja się pojawiłem. Moje przybycie wydawało jej się odpowiedzią na modlitwy. Zająłem się wszystkim i wyjaśniłem, że postaram się o pomoc ze strony jakiegoś dyskretnego urzędnika policji.
- A tym dyskretnym urzędnikiem policji jest, jak sądzę, moja skromna osoba?
- Dobrze sądzisz.
- Japp jęknął.
- W porządku, po zakończeniu śledztwa spotkam się z tobą w hotelu "Glengowrie Court".

V

Kiedy czekali na kierowniczkę, Japp pomrukiwał:

- Dlaczego ta kobieta zniknęła?
 - A więc jednak przyznajesz, że to dziwne? Nie mieli jednak czasu na dalsze dociekania. Zjawiała się właścicielka hotelu "Glengowrie Court", pani Harrison. Cały czas mówiła i była bliska płaczu. Martwiła się zniknięciem panny Sainsbury Seale. Co mogło się z nią stać? Szybko zaczęła wyliczać wszystkie możliwe nieszczęścia: utrata pamięci, nagła choroba, krwotok, wypadek omnibusu, napaść rabunkowa... Przerwała, aby zaczerpnąć tchu, i wreszcie wyszeptła:
 - Taka miła kobieta... i wydawała się tutaj taka szczęśliwa.
- Na prośbę Jappa zaprowadziła ich do jej sterylnej sypialni. Wszędzie panowała czystość i porządek. Suknie wisiały w szafie, nocna koszula leżała przygotowana na łóżku. W rogu pokoju stały dwie skromne walizki. Pod toaletką stał rząd butów - niektóre z nich mocne, praktyczne, sznurowane, dwie pary błyszczących butów na niskich obcasach, przybrane skórzanymi kokardami, oraz prawie nowe buty wieczorowe z czarnego aksamitu i para mokasynów. Poirot zauważył, że buty wieczorowe były o numer mniejsze od pozostałych, co mogło wpływać z próżności panny Sainsbury Seale. Zastanawiał się, czy, zanim wyszła, miała czas przyszyć oderwaną klamerkę. Miał nadzieję, że tak. Niedbałość w ubraniu zawsze go denerwowała.
- Japp zajęty był przeglądaniem listów, które leżały w szufladzie nocnego stolika. Herkules Poirot ostrożnie wysunął szufladę komody. Była pełna bielizny. Zamknął ją pośpiesznie z zażenowaniem, mrucząc pod nosem, że panna Sainsbury Seale lubi nosić wełnianą bieliznę, i otworzył następną szufladę, w której znalazł tylko pończochy.
- Znalazłeś coś, Poirot? - spytał Japp.
 - Tanie, błyszczące, jedwabne pończochy, w cenie około dwóch szylingów i jedenastu pensów - odparł ponuro Poirot, dyndając w powietrzu pończochami.
 - Nie wyceniasz rzeczy dla spadkobierców, stary - rzucił Japp. - Ja znalazłem dwa listy z Indii oraz kilka pokwitowań od jakiejś organizacji charytatywnej. Żadnych rachunków. Nasza panna Sainsbury Seale to szacowna osoba.
 - Lecz o bardzo złym guście w sprawach ubioru - powiedział ze smutkiem Poirot.
 - Pewnie myślała, że strojenie się jest sprawą zbyt przyziemną... - Japp spisywał adres z koperty listu sprzed dwóch miesięcy. - Ci ludzie mogą coś o niej wiedzieć. Adresowany do Hampstead. Wygląda na to, że byli dobrymi znajomymi.

W hotelu "Glengowrie Court" nie znaleźli już niczego więcej, poza stwierdzeniem przykrego faktu, że panna Sainsbury Seale, opuszczając go, nie była w żadnym stopniu podniecona lub zaniepokojona i widać było wyraźnie, że zamierzała wrócić, aby spotkać się w holu ze swoją przyjaciółką, panią Bolitho, ponieważ oświadczyła: "Po obiedzie nauczę cię pasjansa, o którym tyle ci opowiadałam".

Próci tego w hotelu "Glengowrie Court", panował zwyczaj informowania w jadalni o nieobecności na posiłkach. Panna Sainsbury Seale nie przekazała takiej informacji. Wobec tego wydawało się, że miała zamiar wrócić na obiad, który podawano między godziną siódmą trzydzieści a ósmą trzydzieści.

Jednak nie wróciła. Poszła w kierunku Cromwell Road i zniknęła.

Japp wraz z Poirotem udali się pod adres, który figurował na liście wysłanym z West Hampstead.

Odnaleźli tam miły i sympatyczny dom, który zamieszkiwała liczna rodzina Adamsów. Wiele lat mieszkali w Indiach i z dużą sympatią wyrażali się o panie Sainsbury Seale. Niestety, w niczym nie mogli pomóc.

Nie widzieli jej od miesiąca, to znaczy od czasu, gdy wrócili z wielkanocnego urlopu. Mieszkała wtedy w hotelu niedaleko Russell Square. Pani Adams dała Poirotowi adres tego hotelu i adres jakichś innych przyjaciół panny Sainsbury Seale z Indii, którzy teraz mieszkali w Streatham.

Jednak w obu tych miejscach spotkał ich zawód. W hotelu pamiętano ją słabo, była spokojna i mieszkała za granicą. Ludzie w Streatham też nie wniesli nic nowego. Nie widzieli jej od lutego.

Pozostała więc tylko możliwość, że uległa wypadkowi, ale i to okazało się nieprawdziwe. Żaden ze szpitali nie przyjął ofiary wypadku, która odpowiadałaby opisowi.

Panna Sainsbury Seale rozplynęła się w przestrzeni.

VI

Następnego ranka Poirot udał się do hotelu "Holborn Palace" i zapytał o Howarda Raikesa. Nie byłby wcale zaskoczony, gdyby usłyszał, że pan Raikes również wyszedł pewnego wieczoru i więcej nie wrócił.

Jednak pan Howard Raikes nigdzie nie zniknął i siedział w hotelu "Holborn Palace" przy śniadaniu.

Wydawało się, że widok Poirota przy jego stole sprawił mu wątpliwą przyjemność.

Chociaż nie wyglądał już tak morderczo jak wtedy, gdy Poirot ujrzał go po raz pierwszy, jednak pozostało mu ponure spojrzenie. Teraz uporczywie wpatrywał się w niepożądanego gościa.

- Co, u diabła?

Herkules Poirot przysunął krzesło od sąsiedniego stolika.

- Pan pozwoli?

- A mam inne wyjście! Siadaj pan i czuj się jak u siebie w domu! - odrzekł pan Raikes.

Poirot z uśmiechem skorzystał z zaproszenia. Pan Raikes powiedział niegrzecznie:

- No, czego pan chce?

- Przypomina mnie pan sobie, panie Raikes?

- Nigdy w życiu pana nie widziałem.

- Myli się pan. Nie dawniej jak trzy dni temu przez pięć minut znajdowaliśmy się w tym samym pokoju.

- Nie pamiętam, kogo spotykam na takim czy innym cholernym przyjęciu.

- To nie było przyjęcie - odparł Poirot. - To było w poczekalni u dentysty.

W oczach Raikesa mignęło kilka błysków zaniepokojenia, ale zaraz przygasły. Jego zachowanie uległo zmianie. Teraz nie był już taki niecierpliwy. Stał się nagle czujny. Przeszył wzrokiem Poirota i rzucił krótko:

- I co?

Poirot, zanim odpowiedział, przez chwilę przypatrywał mu się uważnie. Uświadomił sobie z całkowitą pewnością, że ten młody człowiek jest niebezpieczny. Chuda, czujna, twarz, agresywny podbródek, oczy fanatyka. Była to twarz, którą kobiety mogłyby uważać za pociągającą. Ogólnie jednak nie przedstawiał pociągającego widoku; był brudny, niechlujnie ubrany, jadł niedbale i żarłocznie, co dla Poirota była znamienne.

Poirot podsumował go w myślach: "To wilk z ideałami..."

- Co pan, u diabła, sobie myśli, nachodząc mnie w ten sposób? - rzucił szorstko Raikes.

- Czy moja wizyta jest dla pana niemiła? -. Nawet nie wiem, kim pan jest?

- Bardzo przepraszam.

Poirot zręcznie wyjął bilet wizytowy i szybko przesunął go po stole.

Na chudej twarzy Raikesa znów odbiły się emocje, których Poirot nie mógł zdefiniować. Nie był to strach, raczej odruch agresji. Nieoczekiwanie wpadł w gniew.

- Ach, to pan? - odrzucił wizytówkę. - Słyszałem o panu.

- Zna mnie wielu ludzi - powiedział skromnie Poirot.

- Jest pan prywatnym szpiclem, prawda? Z gatunku tych drogich. Najmują was ludzie, dla których pieniądze nie mają znaczenia i którzy chcą ratować swoją nędzną skórę!

- Jeżeli nie wypije pan kawy - zauważył Poirot - to będzie zupełnie zimna.

Powiedział to z uprzejmą stanowczością. Raikes wbił w niego wzrok.

- Niech mi pan powie, jakiego rodzaju jest pan robakiem?

- Kawa w tym kraju jest i tak bardzo zła... - kontynuował Poirot.

- Zgadzam się z panem! - rzucił z zapałem Raikes.

- ...a jeżeli jest zimna, to praktycznie nie do picia - dokończył Poirot.

Młody człowiek nachylił się do Poirota.

- O co panu chodzi? Co to za pomysł, aby tu przychodzić?

Poirot wzruszył ramionami.

- Chciałem po prostu widzieć się z panem.

- O, czyżby? - zapytał sceptycznie pan Raikes.

- Jeżeli chodzi o forszę - zmrużył oczy - to trafił pan pod niewłaściwy adres! Nie należę do ludzi, którzy mogą sobie kupić to, na co mają ochotę. Lepiej niech pan wraca do tego, kto panu płaci.

Poirot westchnął.

- Nikt mi za nic nie zapłacił... Jeszcze.

- Pan mi to mówi! - rzekł Raikes.

- To prawda - powiedział Poirot. - Tracę mnóstwo mojego cennego czasu bez wynagrodzenia. Chcę po prostu zaspokoić swoją ciekawość.

- I pewnie właśnie dlatego był pan tamtego dnia u tego przekłętą dentysty? - spytał Raikes.

Poirot zaprzeczył ruchem głowy.

- Pan przypuszczalnie wówczas nie spostrzegł w poczekalni mojej skromnej osoby z tej prostej przyczyny, że czekający w takim miejscu myślą tylko o swoich zębach.

- A więc i pan tam po to przyszedł? - spytał z pogardliwym niedowierzaniem Raikes. - Czekał pan, aby dentysta obejrzał pański ząb?

- Oczywiście.

- Proszę mi wybaczyć, ale ja w to nie wierzę.

- Czy w takim razie wolno mi spytać, panie Raikes, co pan tam robił?

Pan Raikes nagle zaśmiał się i rzekł:

- Teraz pana mam! No cóż, ja też czekałem na to, aby dentysta obejrzał moje zęby.

- A więc zapewne bolał pana ząb? - ' Zgadza się.
- Ale równocześnie wyszedł pan od dentysty, zanim pana zbadał?
- A jeśli nawet? To moja sprawa.

Przerwał i po chwili dodał agresywnym tonem:

- Och, co, u diabła, znaczy to całe przepytывanie? Był pan tam, aby pilnować tej swojej grubej ryby, prawda? Nic mu się nie stało. Nic się nie stało temu pańskiemu drogocennemu Alistairowi Bluntowi. Nic pan na mnie nie ma.
- Dokąd pan poszedł po swym nagłym wyjściu z poczekalni?
- Wyszedłem z budynku, oczywiście.
- Ach! - Poirot spojrział w sufit. - Ale nikt nie widział, jak pan wychodził, panie Raikes.
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Może. Pamiętajmy, że niedługo potem ktoś w tym domu stracił życie.

Raikes rzucił niedbale:

- Myśli pan o tym dentyście?

Poirot odparł twardo:

- Tak, miałem na myśli tego dentystę.
- Próbuje pan przyczepić się do mnie? - Zdenerwował się pan Raikes. - Co jest grane? Dobrze, ale to się panu nie uda. Przeczytałem właśnie sprawozdanie z wczorajszego przesłuchania. Ten nieszczęśnik popełnił samobójstwo, bo popełnił błąd w miejscowym znieczuleniu i jeden z jego pacjentów zmarł.

Poirot niewzruszenie ciągnął dalej:

- Czy może pan udowodnić, kiedy opuścił pan dom? I czy jest ktoś, kto mógłby potwierdzić, gdzie pan był pomiędzy godziną dwunastą a pierwszą w południe?

Oczy Raikesa zwęziły się.

- Więc jednak próbuje pan zwalić to na mnie? Przypuszczam, że to Blunt pana napuścił.

Poirot westchnął i rzekł:

- Proszę mi wybaczyć, ale wygląda na to, że ma pan obsesję: uporczywie powtarza pan nazwisko Alistaira Blunta. Nie jestem i nigdy nie byłem przez niego zatrudniony. Nie obchodzi mnie jego bezpieczeństwo, lecz śmierć człowieka, który był dobrym fachowcem i wykonywał swój zawód bez zarzutu.

Raikes potrząsnął głową.

- Żałuję - powiedział - ale nie wierzę panu. Pan jest na pewno prywatnym szpiclem Blunta. - Twarz mu pociemniała, kiedy pochylił się nad stołem. - Ale pan go nie ocali, wie pan. On musi odejść - on i wszystko, co reprezentuje! Wali się stary, skorumpowany system finansowy, my wprowadzimy nowy ład społeczny, zniszczymy tę przeklętą, pajęczą sieć bankierów, która oplata cały świat. Muszą zniknąć. Osobiście nie mam nic przeciwko Bluntowi, lecz on należy do ludzi, których nienawidzę. To zadufana w sobie miernota. Należy do gatunku tych, których można usunąć tylko dynamitem. Twierdzi, że "nie wolno rozbijać fundamentów cywilizacji". A według pana, nie można? Poczekamy, zobaczymy! Blunt jest przeszkodą dla postępu i dlatego musi zostać usunięty. W dzisiejszym świecie nie ma miejsca dla ludzi pokroju Blunta... ludzi, którzy kurczowo trzymają się przeszłości... ludzi, którzy nadal chcą żyć tak jak ich ojcowie i dziadowie! Ma pan ich pełno w Anglii - zaskorupiałe, zawzięte staruchy... Zużyte, wytarte symbole upadłej epoki. I, na Boga, oni muszą odejść! Teraz zaczyna się nowy świat! Rozumie pan... Nowy świat!

Poirot westchnął i wstał.

- Widzę, panie Raikes, że jest pan idealistą.
- I cóż z tego?
- Zbyt wielkim idealistą, aby martwić się z powodu śmierci dentysty.

Pan Raikes odparł pogardliwie:

- Jakże ma znaczenie śmierć marnego dentysty?

- Może to dla pana nic nie znaczy - odparł Poirot. - Ale znaczy dla mnie. Tym się właśnie różnimy.

VII

Po przyjeździe do domu Poirot dowiedział się od George'a, że czeka na niego jakaś dama.

- Ona jest... hmm, trochę zdenerwowana, sir - powiedział George.

Ponieważ nie podała nazwiska, więc Poirot mógł swobodnie zgadywać. Mylił się jednak w przewidywaniach, gdyż młodą kobietą, która zerwała się z kanapy na jego powitanie, była sekretarka Morleya, panna Gladys Nevill.

- O, drogi monsieur Poirot, jest mi tak przykro, że pana niepokoję i doprawdy nie wiem, skąd wzięłam tyle odwagi, aby tu przyjść... Boję się, że pomyśli pan, iż jestem zbyt śmiała... Równocześnie nie chciałabym zabierać zbyt wiele czasu tak zajętemu człowiekowi jak pan... bo wiem, że pański czas jest bardzo cenny. Ale, doprawdy, jestem taka nieszczęśliwa... I zapewne pomyśli pan, że to tylko strata czasu...

Znając dobrze Anglików, Poirot zaproponował natychmiast filiżankę herbaty. Reakcja panny Nevill była taka, jakiej się spodziewał.

- Ależ, naturalnie, monsieur Poirot, to bardzo miło z pańskiej strony. Wprawdzie nie minęło dużo czasu od śniadania, ale filiżanka herbaty nigdy nie zaszkodzi, prawda?

Poirot, przystosowując się do sytuacji, zgodził się kłamiwie, George otrzymał polecenie i w cudownie krótkim czasie Poirot ze swoim gościem siedzieli nad tacą z filiżankami gorącej herbaty.

- Muszę się usprawiedliwić - powiedziała panna Nevill, odzyskując pod wpływem napoju zwykłą pewność siebie - ale tak naprawdę bardzo się przejęłam tym wczorajszym śledztwem.

- Wcale się temu nie dziwię - zgodził się uprzejmie Poirot.

- Pod moim adresem nie było żadnych pytań. Czulałam jednak, że ktoś powinien pójść z panną Morley. Był tam oczywiście pan Reilly... ale ja byłam przekonana, że to powinna być kobieta. Poza tym panna Morley nie lubi Reilly'ego. Pomyślałam więc, że powinnam spełnić mój obowiązek i pójść tam.

- To było bardzo uprzejme z pani strony - zgodził się zachęcająco Poirot.

- Nie o to chodzi, ja po prostu czulałam, że powinnam tak zrobić. Widzi pan, pracowałam u pana Morleya trzy lata... i teraz doznałam takiego szoku... i, oczywiście, to przesłuchanie pogorszyło jeszcze sytuację.

- Obawiam się, że musiało. Panna Nevill powiedziała poważnie.

- Ale to wszystko się nie zgadza, monsieur Poirot. To wszystko naprawdę się nie zgadza.

- Co się nie zgadza, mademoiselle?

- Po prostu tak się to nie mogło stać... Nie w ten sposób, w jaki oni to tłumaczyli... Myślę o przedawkowaniu środka znieczulającego.

- Sądzi pani, że nie?

- Jestem tego pewna. Czasem pacjenci odczuwają jakieś sensacje, ale tylko dlatego, że serce mają chore. Ponadto jestem pewna, że przedawkowanie zdarza się bardzo rzadko. Widzi pan, lekarze nabywają pewnego odruchu i działają absolutnie mechanicznie. Normalna dawka znieczulenia stosowana jest całkowicie automatycznie.

Poirot skinął głową z aprobatą.

- Ja też tak myślę.

- Widzi pan, tu wszystko jest znormalizowane. Nie tak jak u farmaceuty produkującego w różnym czasie różne dawki lub zwiększającego dozowanie, kiedy pomyłka może wkraść się w chwili nieuwagi. To samo lekarz, który musi wypisywać wielką ilość recept. Lecz u dentysty sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Poirot spytał:

- Czy mogłaby pani osobiście przekazać te uwagi na rozprawie u koronera?

Gladys Nevill potrząsnęła głową. Niezdecydowanie splatała palce. Wreszcie wyrzuciła z siebie:

- Widzi pan... - przerwała na chwilę - ...nie chciałabym wszystkiego pogorszyć. Oczywiście, ja wiem, że Morley nie zrobiłby tego, ale ktoś mógłby pomyśleć, że... że zrobił to celowo.

Poirot skinął głową. Gladys Nevill mówiła dalej:

- Dlatego też przyszłam do pana, monsieur Poirot. Z panem mogę porozmawiać nieoficjalnie. Sądzę, że ktoś powinien wiedzieć, jak... Jak nieprzekonywające jest to wszystko!

- Nikt tego nie chce wiedzieć - odrzekł Poirot.

Spojrzała na niego zdumiona.

Poirot powiedział:

- Chciałbym jeszcze dowiedzieć się czegoś więcej o telegramie, który spowodował tego dnia pani wyjazd.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć, monsieur Poirot. To wszystko wydaje mi się takie dziwne. Musiał go wysłać ktoś, kto wszystko wiedział o mnie i o ciotce... Gdzie mieszka, w ogóle wszystko.

- Tak, istotnie wydaje się, że musiał być wysłany przez jednego z pani bliskich przyjaciół lub przez kogoś, kto mieszka w "tym samym domu i wie o pani wszystko.

- Żaden z moich przyjaciół nie zrobiłby tego, monsieur Poirot.

- A poza tym nikt nie przychodzi pani do głowy? Dziewczyna zawahała się, następnie powiedziała wolno:

- W pierwszej chwili, kiedy dowiedziałam się, że pan Morley się zastrzelił, pomyślałam, że to on sam wysłał ten telegram.

- Myśli pani, że zrobił to dlatego, aby pani tam nie było?

Dziewczyna przytaknęła.

- Niestety, jednak ta hipoteza wydaje się zbyt nieprawdopodobna, nawet gdyby nosił się z zamiarem popełnienia tego ranka samobójstwa. Tak, to naprawdę bardzo dziwne. Frank - to mój przyjaciel, jak pan wie - całkowicie odpada. Oskarżał mnie, że udałam się na spotkanie z kimś innym, jakby przypuszczał, że mogę coś takiego zrobić.

- A jest ktoś jeszcze?

Panna Nevill zarumieniła się.

- Nie, oczywiście, że nie ma. Ale ostatnio Frank tak się zmienił, stał się ponury i podejrzliwy. Wszystko dlatego, że stracił pracę i nie mógł dostać innej. Bezczytność źle wpływa na mężczyznę. Bardzo się martwiłam o Franka.

- Czy był zdenerwowany, kiedy stwierdził, że wyjechała pani tego dnia?

- Tak, widzi pan, przyszedł mi powiedzieć, że dostał nową pracę... wspaniałą pracę... za dziesięć funtów tygodniowo. Nie mógł się doczekać, a chciał, żebym się dowiedziała natychmiast. Poza tym, przypuszczam, że chciał również, aby dowiedział się o tym pan Morley, ponieważ czuł się dotknięty jego wrogim nastawieniem do niego i podejrzewał pana Morley'a o to, że próbuje wpłynąć na nasze stosunki.

- A czy to była prawda?

- O tak, w pewnym sensie tak było! Oczywiście, Frank stracił już mnóstwo dobrych posad i nie był, jak to się mówi, solidny! Teraz jednak miało się to zmienić. Myślę, że można wiele osiągnąć, wpływając na kogoś, prawda monsieur Poirot? Jeżeli mężczyzna czuje, że kobieta wiele się po nim spodziewa, próbuje dorównać stworzonemu przez nią ideałowi. Poirot westchnął. Nie próbował spierać się z tym twierdzeniem. Znał setki kobiet przedstawiających ten sam argument z taką samą ślepą wiarą w zbawczą siłę kobiecej miłości. Cynicznie zakładał, że mogło to być prawdą raz na tysiąc.

- Chciałbym spotkać się z pani przyjacielem - powiedział tylko.

- Ja również chciałabym go panu przedstawić, monsieur Poirot. Ale teraz jedynym wolnym dniem dla niego jest niedziela. Przez cały tydzień przebywa na wsi...
- Aha, to ta nowa praca. A jakież to jest zajęcie?
- No, tego dokładnie nie wiem. Wydaje mi się, że jest jakby sekretarzem, albo pracuje gdzieś w rządowej administracji. Wysyłam listy na jego londyński adres, a potem są one przesyłane dalej.
- Czy to nie jest trochę dziwne?
- Ja też tak myślałam, ale Frank wyjaśnił mi, że obecnie często tak się praktykuje. Poirot przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.
- Jutro jest właśnie niedziela, prawda? - powiedział ostrożnie. - Może moglibyście zrobić mi przyjemność i zjeść ze mną lunch w "Logan Corner House"? Chciałbym z wami przedyskutować tę przykrą sprawę.
- Dziękuję panu, monsieur Poirot. Jestem pewna, że z wielką przyjemnością zjemy z panem lunch.

VIII

Frank Carter był przystojnym, młodym człowiekiem średniego wzrostu. Ubrany był z tanią elegancją. Mówił szybko i płynnie. Jego blisko siebie osadzone oczy w chwilach zakłopotania stawały się niespokojne. Był usposobiony podejrzliwie, nieomal wrogo.

- Nie miałem pojęcia, że będziemy mieli przyjemność zjeść z panem lunch, monsieur Poirot. Gladys nie uprzedziła mnie o tym.

Mówiąc to, rzucił jej karcące spojrzenie.

- Ustaliliśmy to dopiero wczoraj - wyjaśnił Poirot z uśmiechem. - Panna Nevill jest wstrząśnięta okolicznościami śmierci pana Morleya i sądzę, że jeżeli połączymy nasze wysiłki...

Frank Carter przerwał niegrzecznie:

- Śmierć Morleya? Mam już dosyć gadania o tej sprawie. Czy nie możesz o tym wreszcie zapomnieć, Gladys? Nie widziałem w nim nic takiego wspaniałego.

- Ależ Frank! Myślę, że nie powinienes tak mówić. Przecież zostawił mi sto funtów. Wczoraj wieczorem dostałam list w tej sprawie.

- To w porządku - przyznał niechętnie Frank. - A dlaczego nie miał tego zrobić? Przecież pracowałaś dla niego jak Murzyn... i kto napychał jego pękatą kabzę? No więc, zrobił to!

- No dobrze, ale on... on bardzo dobrze mi płacił.

- Według mnie, nie tak znów dobrze! Gladys, moja mała, jesteś zbyt skromna, pozwalasz, żeby cię wykorzystywano. Ja go dobrze rozgryzłem. Wiesz przecież tak samo dobrze jak ja, że nakłaniał cię do tego, abyś się mnie pozbyła.

- On tego nie rozumiał.

- Rozumiał wszystko bardzo dobrze. Teraz nie żyje, ale gdyby żył, to wiedz, że powiedziałbym mu parę słów prawdy.

- Czy odwiedził go pan w dniu jego śmierci? - spytał ostrożnie Poirot.

Frank Carter rzucił ze złością:

- Kto to powiedział?

- A zatem był pan tam czy nie?

- Jeżeli tak, to co z tego? Chciałem się widzieć z panną Nevill.

- Ale powiedziano panu, że ona wyjechała.

- Tak, i to właśnie wydało mi się dość podejrzane. Powiedziałem temu rudemu idiocie, że zaczekam, aby zobaczyć się z Morleyem osobiście. Ta sprawa podburzania Gladys przeciwko mnie ciągnęła się już zbyt długo. Chciałem oznajmić Morleyowi, że nie jestem bezrobotnym

nicponiem, że dostałem teraz dobrze płatne zajęcie i że nadszedł czas, aby Gladys wręczyła mi wymówienie i pomyślała o wyprawie.

- Jednak ostatecznie nie powiedział mi pan tego?

- Nie, gdyż znudziło mnie czekanie w tym ponurym grobowcu i wyszedłem.

- O której godzinie pan wyszedł?

- Nie przypominam sobie.

- A zatem, o której godzinie pan przyszedł?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że krótko po dwunastej.

- I czekał pan pół godziny... krócej czy dłużej?

- Nie wiem. Nie należę do ludzi, którzy wiecznie patrzą na zegarek.

- Czy wtedy oprócz pana w poczekalni był jeszcze ktoś?

- Kiedy wychodziłem, był tam jakiś gruby facet, ale wkrótce wyszedł. Potem byłem już sam.

- A zatem musiał pan wyjść przed dwunastą trzydzieści, ponieważ o tej godzinie przyszła pacjentka.

- Być może. Mówiłem już panu, że to miejsce działało mi na nerwy.

Poirot patrzył na niego w zamyśleniu.

Ten krzykacz był niespokojny... i to, co mówił, nie brzmiało zbyt prawdziwie. A może ten jego niepokój spowodowany był tylko zdenerwowaniem?

Poirot powiedział niemal przyjaźnie:

- Panna Nevill mówiła mi, że miał pan wielkie szczęście i znalazł bardzo dobrą pracę.

- Dobrze mi płacą.

- Mówiła mi, że dziesięć funtów tygodniowo.

- Zgadza się. Jeszcze nie zardzewiałem, prawda? Jak chcę, to mogę pokazać, na co mnie stać.

- Przechwalał się.

- Tak, istotnie. I ta praca nie jest zbyt męcząca? Frank Carter odparł krótko:

- Niezbyt.

- Ale interesująca?

- O tak, bardzo interesująca. A mówiąc już o pracy, to zawsze byłem ciekaw, jak właściwie pracują prywatni detektywi. Myślę, że w dzisiejszych czasach, niestety, nie ma spraw dla Sherlocka Holmesa. Chyba większość spraw dotyczy rozwodów?

- Ja nie zajmuję się rozwodami.

- Doprawdy? Nie rozumiem więc, z czego pan żyje?

- Daję sobie jakoś radę, przyjacielu, daję sobie radę.

- Jednak jest pan na szczycie, jeśli chodzi o pański zawód, monsieur Poirot? - wtrąciła Gladys. - Pan Morley zwykle tak mówił. Przypuszczam, że pracuje pan dla wywiadu, może dla jakiegoś księcia lub nawet rodziny królewskiej.

Poirot uśmiechnął się.

- Pochlebia mi pani - powiedział.

IX

Poirot, tonąc w myślach, wracał do domu pustymi ulicami. Ledwo wszedł, chwycił słuchawkę i zatelefonował do Jappa.

- Wybacz, że cię niepokoję, drogi przyjacielu, ale chciałbym wiedzieć, czy odkryłeś, kto wysłał ten telegram do Gladys Nevill?

- Z uporem ciągle wracasz do tego tematu? Ale, rzeczywiście, zbadaliśmy to. Ten telegram... był w pewnym sensie sprytny. Ciotka mieszka w Richbourne, które leży w Somerset, natomiast telegram nadano w Richbarn, jak wiesz, z przedmieścia Londynu.

Poirot zauważył z uznaniem:

- Istotnie sprytnie... Tak, to było sprytnie. Jeżeli odbierający telegram spojrzy na miejsce nadania, to Richbarn może wystarczająco wyglądać jak Richbourne.

Przerwał na chwilę.

- Wiesz, o czym myślę, Japp?

- O czym?

- Że to wszystko jest dobrze przez kogoś przemyślane.

- A Herkules Poirot chce, żeby to było morderstwo, więc to musi być morderstwo.

- Jak wyjaśnisz ten telegram?

- Zbieg okoliczności. Ktoś chciał zrobić dziewczynie kawał.

- Dlaczego?

- O mój Boże, Poirot! Nie wiesz, po co ludzie robią czasem kawały? Dowcip, żarty... żart w złym guście, i to wszystko.

- I właśnie ktoś miał ochotę na żart w dniu, w którym Morley pomylił dawkę leku?

- Mógł się pomylić z powodu tego telegramu. Ponieważ panna Nevill wyjechała, Morley był bardziej zajęty niż zwykle i w konsekwencji mógł łatwiej popełnić błąd.

- To mnie ciągle jeszcze, nie przekonuje.

- Wybacz, ale nie rozumiem, do czego zmierzasz? Jeżeli ktoś celowo wysłał pannę Nevill, to był nim prawdopodobnie sam Morley. W takim przypadku śmierć Amberiotisa była zaplanowana i nie był to wypadek.

Poirot milczał.

- Rozumiesz? - spytał Japp.

- Amberiotis mógł zostać zamordowany w jakiś inny sposób - stwierdził Poirot.

- Niestety nie. Nikt nie odwiedzał go w "Savoyu". Zjadł lunch w swoim pokoju. Lekarze stwierdzili, że przyczyną śmierci było coś, co zostało wyraźnie wstrzyknięte, a nie coś, co zostało zjedzone. W żołądku niczego nie wykryto. Ta sprawa jest jasna.

- W każdym razie my tak sądzimy.

- W każdym razie A.C. jest zadowolony.

- A czy twój szef jest również zadowolony z powodu zniknięcia naszej damy?

- Myślisz o panie Seale? Nie, nad tą sprawą jeszcze pracujemy. Ta kobieta musi gdzieś być. Niemożliwe, aby ktoś zniknął bez wieści, spokojnie spacerując ulicą.

- Jednak wydaje się, że tak właśnie się stało.

- Chwileczkę. Przecież gdzieś się wreszcie odnajdzie, żywa lub martwa, chociaż nie przypuszczam, żeby była martwa.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ do tej pory znaleźliby już jej ciało.

- Och, Japp, czy ciała zawsze tak szybko się znajdują?

- Przypuszczam, że według ciebie została zamordowana, a ciało znajdziemy pokrojone na kawałki w kamieniołomach, tak jak w przypadku pani Ruxton?

- Przede wszystkim, mon ami, to ty masz takie zaginione osoby, których dotychczas jeszcze nie możesz odnaleźć.

- Bardzo rzadko, stary. Istotnie, dużo kobiet znika, lecz zazwyczaj szybko je odnajdujemy. W dziewięciu wypadkach na dziesięć w grę wchodzi stary, dobry seks. Wówczas odnajdujemy je gdzieś z mężczyznami. Myślę jednak, że to raczej naszej Mabel nie dotyczy, prawda?

- Nigdy nie wiadomo - ostrożnie zauważył Poirot. - Jednak i ja sądzę, że to nieprawdopodobne. Jesteś pewien, że ją odnajdziecie?

- Z całą pewnością. Opublikowaliśmy już rysopis w prasie i podaliśmy w radiu.

- Hm... - mruknął Poirot. - Już wyobrażam sobie skutek.

- Nie martw się, staruszk. Znajdziemy twoją zaginioną piękność. Całą i zdrową, razem z jej wełnianą bielizną.

Z tymi słowami odwiesił słuchawkę.

Do pokoju wszedł, jak zwykle cicho, George. Postawił na małym stoliku parująca filiżankę gorącej czekolady i kilka biszkoptów.

- Czy potrzeba jeszcze czegoś, sir?

- Jestem w wielkim kłopotcie, George.

- Naprawdę, sir, przykro mi to słyszeć. Herkules Poirot wypił trochę czekolady i w zamyśleniu mieszał ją w filiżance.

George, pełen szacunku, uważnie obserwując Poirota czekał na jakiś znak. Była to jedna z tych chwil, w których zazwyczaj Poirot lubił dyskutować ze służącym o swoich sprawach. Twierdził zawsze, że komentarze George'a są mu bardzo pomocne.

- Zapewne dowiedziałeś się już, George, o śmierci mojego dentysty?

- Pana Morleya, sir? Tak, sir. To bardzo przykre. Jak zrozumiałem, popełnił samobójstwo.

- Tak się przyjmuje. Jeżeli jednak nie zastrzelił się sam, to ktoś go zamordował.

- Tak, sir.

- Pytanie brzmi, jeśli został zamordowany, to kto go zabił?

- Właśnie, sir.

- Jest tylko pewna liczba osób, George, które mogły to zrobić. Myślę o tych, którzy faktycznie wówczas byli lub mogli być w domu.

- Właśnie, sir.

- Tymi ludźmi są: kucharka i pokojówka obie sympatyczne, i jest wysoce nieprawdopodobne, aby któraś z nich mogła zrobić coś takiego. Również nie wchodzi w rachubę oddana siostra. Nie można jednak pominąć faktu, że to ona dziedziczy majątek brata. Dalej mamy zdolnego i pracowitego wspólnika, u którego nie znajdujemy motywów. Jest jeszcze ten cymbał, służący, miłośnik tanich kryminałów, i wreszcie Grek o cokolwiek wątpliwej przeszłości.

George chrząknął.

- Ci cudzoziemcy, sir...

- Istotnie, całkowicie się z tobą zgadzam. Na tego Greka należy zwrócić uwagę. Ale widzisz, George, Grek też nie żyje i wszystko wskazuje na to, że zamordował go Morley. Czy dokonał tego rozmyślnie, czy też w wyniku nieszczęśliwej pomyłki, tego nie możemy być pewni.

- Może, sir, jeden zamordował drugiego. Przypuszczam, że planowali zabić się wzajemnie, chociaż żaden z nich nie był świadomy zamiarów tego drugiego.

Herkules Poirot mruknął z aprobatą: - Bardzo pomysłowe, George. Dentysta morduje nieszczęsnego pacjenta, który siedzi w jego fotelu, nie zdając sobie sprawy, że jego ofiara w tym samym momencie zastanawia się, kiedy wyjąć pistolet. Mogło tak być, ale mnie wydaje się to zupełnie nieprawdopodobne. Jednak nie doszliśmy jeszcze do końca naszej listy. Są jeszcze dwie osoby, które prawdopodobnie były w tym czasie w domu Morleya. Każdy pacjent przed Amberiotisem był widziany w chwili, gdy opuszczał dom, oprócz jednego, a był nim młody Amerykanin. Opuścił on poczekalnię mniej więcej dwadzieścia minut przed dwunastą, lecz faktycznie nikt nie widział, jak wychodził z domu. Musimy więc uważać go za podejrzanego. Innym możliwym podejrzanym jest Frank Carter, który nie był pacjentem. Przyszedł krótko po dwunastej i chciał się widzieć z Morleyem. Nikt również nie widział, jak wychodził z domu. Takie, mój drogi George'u, są fakty. Co o nich sądzisz?

- O której godzinie popełniono morderstwo, sir?

- Jeżeli zamordował go Amberiotis, to musiał dokonać tego pomiędzy dwunastą a dwunastą dwadzieścia pięć. Jeżeli ktoś inny, uczynił to po dwunastej dwadzieścia pięć. Inaczej bowiem Amberiotis zauważyłby zwłoki.

Spojrzał zachęcająco na George'a.

- A teraz, mój drogi George'u, powiedz, co sądzisz o tej sprawie?

George zamyślił się i powiedział:

- Mam wrażenie, sir...

- Tak, George?

- Że będzie pan musiał sobie poszukać nowego dentysty, aby w przyszłości leczył pańskie zęby, sir.

- Przeszedłeś sam siebie, George! - zdumiał się Poirot. - Tego aspektu sprawy nie wziąłem jeszcze pod uwagę!

George opuścił pokój wyraźnie zadowolony z siebie.

Herkules Poirot popijał czekoladę i rozmyślał o nakreślonych właśnie faktach. Odczuwał satysfakcję, że wszystko było tak, jak to przedstawił. Z kręgu osób, które wymienił, działała tylko jedna ręka i nieważne było, kto ją do tego czynu popchnął.

Uniósł brwi, doszedłszy do wniosku, że lista jednak nie jest kompletna. Opuścił jedno nazwisko.

Nikt nie mógł zostać pominięty - nawet, gdyby to był ktoś zupełnie nieprawdopodobny.

W czasie popełnienia morderstwa w domu była jeszcze jedna osoba.

Napisał:

Pan Barnes.

George zaanonsował:

- Jakaś pani prosi pana do telefonu, sir. Tydzień temu Poirot mylnie odgadł, kto się chce z nim skontaktować, teraz poznał bez trudu.

- Monsieur Herkules Poirot?

- Przy telefonie.

- Mówi Jane Olivera.

- Słucham, panno Olivera.

- Czy mogę pana prosić, aby przyszedł pan do Gothic House? Czuję, że jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

- Naturalnie. Która godzina pani odpowiada?

- Wpół do siódmej.

- Dobrze.

Zawahała się na chwilę, na moment znikł autokratyczny ton w jej głosie.

- Ja... spodziewam się, że nie przeszkadzam panu w pracy?

- Absolutnie. Spodziewałem się pani telefonu. Odłożył słuchawkę i odszedł od telefonu uśmiechając się. Zastanawiał się, jaką znajdzie wymówkę na to zaproszenie.

Po przybyciu do Gothic House został zaprowadzony prosto do olbrzymiej biblioteki, której okna wychodziły na rzekę. Przy biurku siedział Alistair Blunt, z roztargnieniem bawiąc się nożem do otwierania listów. Miał wygląd człowieka, któremu za bardzo dopiekle żeńska strona rodziny.

Jane Olivera stała oparta o gzyms kominka. W chwili gdy Poirot wszedł do pokoju, tęga kobieta w średnim wieku mówiła rozdrażnionym głosem:

- ...i, oczywiście, Alistair, myślę, że moje uczucia powinny być wzięte pod uwagę w tej sprawie.

- Tak, Julio, oczywiście, oczywiście - mówił uspokajająco Blunt, podnosząc się na przywitanie Poirota.

- Jeżeli chcecie mówić o tej makabrycznej sprawie, to ja wychodzę! - dodała ta dostojna jejmość.

- I ja bym na twoim miejscu tak zrobiła, mamó - powiedziała panna Olivera.

Ale pani Olivera opuściła już pokój, łaskawie nie zwracając uwagi na Poirota.

- To uprzejme z pańskiej strony, że pan przyszedł - rzekł Alistair Blunt. - Myślę, że pan już zna pannę Olivera? To ona właśnie zaprosiła tu pana...

Jane szybko przerwała:

- Chodzi o tę zaginioną kobietę, o której tyle pisały gazety, o pannę Something Seale.

- Sainsbury Seale? Tak?

- To takie pompatyczne nazwisko, że trudno je zapamiętać. Ja mam mówić, czy ty zaczniesz, wujku?

- Mów ty, to twoja historia, kochanie.

Jane jeszcze raz odwróciła się do Poirota.

- Być może jest to zupełnie bez znaczenia, ale sądziłam, że powinien pan o tym wiedzieć

- Tak?

- Było to w dniu, kiedy wujek Alistair udał się do dentysty. Nie mówię o tym niedawnym dniu, ale mniej więcej trzy miesiące temu. Pojechałam z nim rollsem na Queen Charlotte Street. Potem miałam spotkać się z przyjaciółmi w Regent Park i wrócić po niego. Zatrzymaliśmy się pod numerem 58 i, w chwili gdy wujek wysiadał, z domu pod tym numerem wyszła jakaś kobieta w średnim wieku, o pretensjonalnej fryzurze i ubrana raczej oryginalnie. Podbiegła prosto do wujka i powiedziała (tu głos Jane zmienił się i zaskrzeczał sugestywnie): - "O, panie Blunt, pewnie mnie pan nic pamięta!" Oczywiście, zaraz dostrzegłam na twarzy wujka, że absolutnie nic sobie nie przypomina... Alistair Blunt westchnął.

- Ja nigdy nie pamiętam. Ludzie zawsze zaczynają od tego...

- Przybrał szczególny wyraz twarzy - kontynuowała Jane - który dobrze znam. Było to coś w rodzaju uprzejmego udawania, na które nie dałoby się nabrać nawet dziecko. Potem powiedział bez przekonania: "Och, tak, oczywiście". Ta straszna kobieta mówiła dalej: "Byłam wielką przyjaciółką pana żony!"

- To też zwykle mówią - uzupełnił Alistair Blunt głosem jeszcze bardziej przygnębnym. Potem; uśmiechnął się żałośnie.

- To zawsze kończy się w taki sam sposób. Chcą, żebym dał na to i owo jakiś datek. Tym razem wykupiłem się pięcioma funtami na jakąś Misję Zenana czy coś takiego. Tanio.

- Czy ona rzeczywiście знаła pańską żonę?

- Sądzę, że tak, ponieważ ona też interesowała się tą Misją Zenana. A jeżeli tak było, to musiały spotkać się gdzieś w Indiach. Byliśmy tam około dziesięciu lat temu. Ale, oczywiście, nie była to żadna wielka przyjaciółka mojej żony. Inaczej musiałbym ją znać. Prawdopodobnie spotkały się raz na jakimś przyjęciu.

- Nie wierzę, aby kiedykolwiek spotkała ciocię Rebeccę - powiedziała Jane. - Myślę, że to był tylko pretekst, żeby się do ciebie dostać.

Alistair Blunt odparł pobłaźliwie:

- Tak, to całkiem możliwe. Jane powiedziała:

- Wydaje mi się, że to dość dziwna metoda odnawiania znajomości, prawda, wujku?

Alistair Blunt odrzekł tak samo tolerancyjnie:

- Ona tylko chciała, żebym dał jakiś datek.

- Czy później próbowała to jakoś kontynuować? - spytał Poirot.

Blunt potrząsnął głową.

- Nigdy już o niej więcej nie myślałem. Nie pamiętałem nawet jej nazwiska. Dopiero Jane zauważyła je w gazecie.

Powiedziała trochę niepewnie:

- Myślałam, że monsieur Poirot powinien o tym wiedzieć!

- Dziękuję pani, mademoiselle - rzekł uprzejmie Poirot i dodał: - Nie chcę panu zajmować więcej czasu, panie Blunt. Jest pan z pewnością bardzo zapracowany.

Jane wtrąciła szybko.

- Wyjdę razem z panem.

Herkules Poirot uśmiechnął się do siebie pod wąsem. Na parterze Jane zatrzymała się nagle i powiedziała:

- Chodźmy tutaj!

Weszli do małego pokoju tuż obok holu. Odwróciła się twarzą do niego.

- Co miał pan na myśli, mówiąc przez telefon, że spodziewał się, iż do niego zadzwonię?
Poirot uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Tylko to, co powiedziałem, mademoiselle. Spodziewałem się tego telefonu... i pani zadzwoniła.

- Chce pan przez to powiedzieć, że wiedział pan, iż będę telefonowała w sprawie tej Sainsbury Seale?

Poirot potrząsnął przecząco głową.

- To był pretekst. Z pewnością znalazłaby pani inny, gdyby to było potrzebne.

- A dlaczego, u diabła, miałabym do pana dzwonić?

- A dlaczego chciała mi pani przekazać tę drobną informację o panie Sainsbury Seale? Mnie, a nie Scotland Yardowi? Przecież informacje tego rodzaju przekazuje się zwykle policji.

- Więc dobrze, panie Wiem Wszystko, ale ile dokładnie pan wie?

- Wiem, że interesuje się pani moją osobą od chwili, gdy usłyszała pani o mojej wizycie, którą złożyłem w hotelu "Holborn Palace" parę dni temu.

Poirot zauważył, że zbladła do tego stopnia, iż go to zdumiało. Nie uwierzyłby, że tak bardzo opalona skóra może przybrać taki zielonkawy odcień.

- Sprowadziła mnie pani tutaj, aby coś ze mnie wyciągnąć - kontynuował cicho i spokojnie. - Chyba się nie mylę, prawda? Chciała się pani dowiedzieć czegoś o Howardzie Raikesie.

- A kto to w ogóle jest? - zapytała, ale nie wypadło to przekonująco.

- Nie musi pani mnie podpytywać, mademoiselle - odparł Poirot. - Mogę pani powiedzieć wszystko, co wiem... albo raczej, co zgaduję. Tego dnia, kiedy byliśmy tu z nadinspektorem Jappem, była pani zaskoczona widząc nas, a nawet zaniepokojona. Sądziła pani, że coś przydarzyło się wujowi. Dlaczego?

- Widzi pan, on jest tego rodzaju człowiekiem, że zawsze coś może mu się zdarzyć. Dostał kiedyś bombę w przesyłce pocztowej; było to po udzieleniu pożyczki Hercosłowacji. Ponadto otrzymuje wiele listów z pogrózkami.

- Nadinspektor Japp - mówił dalej Poirot - powiedział pani, że zastrzelono dentystę nazwiskiem Morley. Czy przypomina pani sobie swoją reakcję na tę wiadomość? Otóż wykrzyknęła pani wtedy: "Ależ to niemożliwe!"

Jane zagryzła usta i powiedziała:

- Ja? To raczej absurdalne z mojej strony, prawda?

- To była ciekawa uwaga, mademoiselle. Wskazywała na to, że wie pani o istnieniu pana Morleya, i że raczej spodziewała się pani jakiegoś wydarzenia - niekoniecznie, aby wydarzyło się coś jemu - ale możliwe, że chodziło tu o jakieś wydarzenie w jego domu.

- Lubi pan wyobrażać sobie różne historie, prawda? Poirot, nie zwracając na to uwagi, ciągnął dalej:

- Pani spodziewała się, a raczej obawiała, że coś może wydarzyć się w domu Morleya. Obawiała się pani, że to coś mogło się przytrafić pani wujkowi. Jednak jeśli tak było, to wtedy musiała pani wiedzieć o czymś, o czym my nie wiedzieliśmy. Zastanawiałem się nad wszystkimi, którzy byli w tym dniu w domu Morleya i znalazłem wreszcie jedną osobę, która mogła mieć powiązania z panią. Tą osobą był młody Amerykanin - Howard Raikes.

- To brzmi jak powieść w odcinkach. A jaki jest ten następny, wstrząsający odcinek?

- Poszedłem zobaczyć się z panem Raikesem. To niebezpieczny, ale zarazem pociągający młody człowiek...

Poirot przerwał dwuznacznie. Jane powiedziała w zamyśleniu:

- Jest taki, prawda? - Uśmiechnęła się. - Więc dobrze! Wygrał pan! Byłam bardzo przerażona. Nachyliła się w jego stronę.

- Właśnie o tym chciałam z panem pomówić, monsieur Poirot. Nie należy pan do ludzi, których można wodzić za nos. Wolę raczej o tym mówić sama, niż żeby pan za tym węszył... Kocham tego człowieka, kocham Howarda Raikesa. Szaleję za nim. Matka jest temu

przeciwna i usiłuje trzymać mnie od niego z daleka. Częściowo z tego powodu, a częściowo też dlatego, że ma nadzieję, iż wujek Alistair mógłby polubić mnie wystarczająco, aby zostawić mi swoje pieniądze po śmierci.

Mówiła dalej:

- Moja matka jest jego siostrzenicą poprzez małżeństwo. Jej matka była siostrą Rebecki Arnholt. Blunt jest więc moim dziadkiem stryjecznym. Tylko że on nie ma bliższych krewnych i moja matka nie widzi powodu, dla którego nie mielibyśmy wszystkiego po nim odziedziczyć. Dlatego też śmiało do niego, ile się tylko da. Widzi pan, jestem z panem zupełnie szczerą, monsieur Poirot. Teraz pan wie, do jakich ludzi należymy. Ścisłe mówiąc, sami mamy dość pieniędzy. Zgodnie z przekonaniem Howarda tak dużo, że aż wstyd - ale równocześnie nie należymy do tej samej sfery co wuj Alistair.

Przerwała i uderzyła ze złością ręką w poręcz fotela.

- Jak mam to wyrazić, żeby mnie pan dobrze zrozumiał? Zasady, zgodnie z którymi zostałam wychowana i w które wierzyłam, są dla Howarda obrzydliwe i on chce je zniszczyć. Ale czasem, rozumie pan, czasem czułam to samo co on. Lubię wujka Alistaira, jednak niekiedy działa mi na nerwy. On jest taki sztywny jak prawdziwy Anglik, taki ostrożny i... konserwatywny. Sama zaczęłam odnosić wrażenie, że tacy ludzie powinni zniknąć, ponieważ są hamulcem postępu. Że dopiero bez nich będziemy mogli coś osiągnąć!

- Zatem została pani wyznawczynią ideologii Raikesa?

- Zostałam i nie zostałam. Howard jest... Jest bardziej szalony niż jego zwolennicy. Myślę o ludziach, którzy... którzy zgadzają się z Howardem, ale tylko do pewnego stopnia. Chętnie spróbowaliby wcielić w życie idee Howarda, gdyby wuj Alistair i jego zwolennicy zgodzili się na to. Ale oni tego nigdy nie zrobią! Siedzą cicho, kiwają głowami i mówią: "Nie możemy tego nigdy ryzykować". Albo "To nie jest uzasadnione ekonomicznie". Lub: "Musimy brać pod uwagę odpowiedzialność". Czy wreszcie: "Spójrzcie na bieg historii". Ja jednak sądzę, że nie trzeba patrzeć na bieg historii. To jest oglądanie się wstecz. Należy zawsze patrzeć naprzód.

Poirot powiedział uprzejmie:

- Widać tam jakąś atrakcyjną wizję? Spojrzała na niego karcąco.

- Pan również tak mówi!

- Być może dlatego, że jestem stary. Starzy ludzie mają marzenia - tylko marzenia, rozumie pani?

Przerwał, następnie zapytał oficjalnym tonem:

- Dlaczego Howard Raikes udał się na to spotkanie na Queen Charlotte Street?

- Ponieważ to ja chciałam, aby spotkał się tam z wujem Alistairem i nie mogłam tego urządzić inaczej. On nienawidzi wujka, tak bardzo go... Miałam więc nadzieję, że gdy się spotkają, to... To przekona się, że wuj jest miłym i bezpośrednim człowiekiem i... i może zmieni o nim zdanie. Nie mogłam zaaranżować inaczej tego spotkania, ponieważ moja matka zawsze wszystko psuła.

- Jednak po zaaranżowaniu tego spotkania przestraszyła się pani?

Oczy dziewczyny rozszerzyły się i pociemniały.

- Tak - powiedziała. - Ponieważ... Ponieważ Howard czasami jest nieopanowany. On... On...

Herkules Poirot przerwał:

- On chce wszystko przyspieszyć. Chce wytepić, Jane Olivera krzyknęła:

- Nie! Niech pan nie kończy!

SIÓDME, ÓSME, UŁÓŻ JE PROSTO

I

Czas płynął. Minał już ponad miesiąc od śmierci Morleya, a o pannie Sainsbury Scale wciąż nic było żadnych wieści.

Japp stawał się na tym punkcie coraz bardziej rozdrażniony.

- Niech to diabli, Poirot! Przecież ta kobieta musi gdzieś być!

- Niewątpliwie, mon cher.

- Obojętnie, żywa czy martwa. Jeżeli nie żyje, to gdzie jest ciało? Przypuśćmy na przykład, że popełniła samobójstwo...

- Następne samobójstwo?

- Nie zaczynaj znowu, Poirot. Ty ciągle jesteś przekonany, że Morley został zamordowany, a ja twierdze, że to było samobójstwo.

- Czy doszedłeś do tego, czyj to był pistolet?

- Nie, to jakiś zagraniczny wyrób.

- To jednak coś sugeruje, prawda?

- Nie to, co myślisz. Morley przebywał za granicą. Jeździł razem z siostrą na wycieczki. Każdy, kto mieszka na Wyspach Brytyjskich, jeździ na jakieś zamorskie wycieczki. Mógł kupić go za granicą. Wielu ludzi lubi mieć broń, kiedy są za granicą. Lubią wyobrazić sobie, że pędzą niebezpieczne życie. Przerwał i dodał po chwili:

- Ale nie zmieniajmy tematu, Poirot. Mówiłem, że jeżeli - zwróć uwagę, że mówię tylko jeżeli - ta przekłeta baba popełniła samobójstwo, jeżeli powiedzmy utopiła się, to woda powinna wyrzucić ciało na brzeg. Jeżeli została zamordowana, to samo.

- Nie wtedy, gdyby do ciała przywiązano jakiś ciężar przed wrzuceniem do Tamizy.

- I wrzucono je z jakiejś piwnicy w Limehouse, jak sądzę? Mówisz tak, jak w jakimś dreszczowcu napisanym przez babę.

- Wiem, wiem. Sam się wstydzę, mówiąc takie rzeczy!

- A w dodatku została wykończona przez jakiś gang międzynarodowych oszustów?

Poirot westchnął i rzekł:

- Niedawno dowiedziałem się, że takie rzeczy zdarzają się naprawdę.

- Kto ci to powiedział?

- Pan Reginald Barnes z Castlegardens Road, z Ealing.

- Tak, on może coś o tym wiedzieć - powiedział Japp niepewnie.- Stykał się z cudzoziemcami, kiedy pracował w Home Office.

- Ale ty się z tym nie zgadzasz?

- To nie moja branża. Nie przeczę, że zdarzają się takie rzeczy, ale są to raczej sprawy wyjątkowe.

Przez chwilę panowało milczenie; Poirot podkręcał wąsa. Wreszcie Japp powiedział:

- Mamy trochę nowych informacji. Przypłynęła z Indii na tym samym statku co Amberiotis. Płynęła drugą klasą, a on pierwszą. Nie sądziłem, aby w tym coś było, jednak pewien kelner z "Savoyu" ma wrażenie, że widział ich razem na lunchu, mniej więcej na tydzień przed jego śmiercią.

- A zatem mógł istnieć między nimi jakiś związek?

- Może... ale nie przypuszczam, żeby to było prawdopodobne. Nie mogę sobie wyobrazić, aby taka misjonarka mogła być zamieszana w jakieś podejrzone sprawy.

- Czy Amberiotis był zamieszany w jakieś podejrzone sprawy, jak to określiłeś?

- Tak. Kręcił z naszymi przyjaciółmi z centralnej Europy. Takie szpiegowskie awantury.

- Jesteś tego pewny?

- Tak. On sam nie wykonywał żadnej brudnej roboty i nie bylibyśmy w stanie go ruszyć. Zajmował się organizacją i przekazywaniem raportów. - Japp przerwał i po chwili ciągnął dalej: - To wszystko jednak nie pomaga nam w sprawie Sainsbury Seale. Ona nie mogła być zamieszana w szpiegowskie awantury.

- O ile pamiętam, mieszkała w Indiach. W ostatnim roku panował tam niepokój.

- Amberiotis i wspinała panna Sainsbury Seale - jakoś nie mogę skojarzyć ich w jednym zespole.

- Czy wiesz, że nasza panna Sainsbury Seale była bliską przyjaciółką zmarłej żony Alistaira Blunta?

- Kto to powiedział? Nie wierzę. To nie ta sama strefa.

- Ona tak mówiła.

- Komu?

- Panu Alistairowi Bluntowi.

- O, takie bzdury... On na pewno jest do tego przyzwyczajony. Sądzisz, że Amberiotis chciał użyć jej w ten sposób? To by się nie udało. Blunt pozbyłby się jej dając datek. Na pewno nie zaprosiłby jej na weekend czy coś w tym rodzaju. Nie jest taki lekkomyślny.

Była to bezsporna prawda, z którą Poirot musiał się zgodzić.

Po chwili Japp podsumował sprawę Sainsbury Seale:

- Przypuśćmy, że jej ciało zostało wrzucone przez jakiegoś szalonego naukowca do zbiornika napelnionego kwasem - jest to rozwiązanie często stosowane w powieściach! Jednak daję słowo, że to zwykłe, babskie gadanie. Jeśli nie żyje, została po cichu zakopana.

- Tak, ale gdzie?

- Właśnie. Zniknęła w Londynie. Nikt tu nie ma odpowiedniego ogrodu. Samotna, kurza farma - oto miejsce, jakiego mi potrzeba!

"Ogród!" W umyśle Poirota błysnął nagle czysty, schludny ogródek w Ealing z jego geometrycznymi klombami. Jak fantastyczna wydawała się myśl, że ciało tej kobiety zostało tam pochowane! "Nie bądź nedorzeczny" - powiedział do siebie.

- A jeżeli ona żyje - kontynuował Japp - to gdzie się podziała? Minał już miesiąc, jej opis zamieszczono w gazetach i rozesłano po całą Anglii...

- I nikt jej nie widział?

- Ależ oczywiście, praktycznie wszyscy ją widzieli! Nie masz pojęcia, ile wyblakłych kobiet w średnim wieku nosi kostiumy z dzianiny koloru oliwkowego. Widziano ją na wrzosowiskach Yorkshire, w hotelach Liverpoolu, w pensjonatach Devon i na plaży w Ramsgate! Moi ludzie stracili dużo czasu, cierpliwie sprawdzając te wszystkie doniesienia, jednak dotąd niczego nie zdziałali, oprócz tego, że zdenerwowali mnóstwo godnych szacunku dam w średnim wieku.

Poirot cmoknął ze współczuciem.

- A jednak - mówił dalej Japp - ona jest osobą całkowicie realną. Czasem można natknąć się na kogoś, kto udaje, że jest kimś innym, kogoś, kto przyjeżdża gdzieś i udaje, na przykład pannę Spinks - podczas gdy żadna panna Spinks nie istnieje. Ale ta kobieta jest autentyczna - ona miała przeszłość i pochodzenie!. Wiemy o niej wszystko, począwszy od dzieciństwa! Prowadziła zupełnie normalny tryb życia i... nagle znikła jak kamień w wodzie!

- Musi być jakiś powód tego zniknięcia - stwierdził Poirot.

- Ona nie zastrzeliła Morleya, jeśli o to ci chodzi. Amberiotis widział go żywego, gdy ona już wyszła, a my sprawdziliśmy każdy jej ruch po wyjściu z domu przy Queen Charlotte Street.

Poirot powiedział niecierpliwie:

- Nawet przez moment nie sugeruję, że zastrzeliła Morleya. Oczywiście, że nie! Niemniej...

Japp przerwał:

- Jeżeli nie mylisz się w sprawie Morleya, wówczas jest prawdopodobne, że mógł jej coś powiedzieć, coś, co nie podejrzewała, że ma jakieś znaczenie, ale co było kluczem do wykrycia jego mordercy. W takim wypadku ona mogłaby zostać usunięta z premedytacją.

- To wszystko wciąga do tej sprawy jakąś organizację, jakiś wielki koncern, co nie pasuje do śmierci spokojnego dentysty z Queen Charlotte Street - stwierdził Poirot.

- Więc nie wierz w to wszystko, o czym ci mówił Reginald Barnes! To śmieszny, stary facet, w głowie mu tylko szpiedzy i komuniści.

Japp wstał.

- Dasz mi znać, kiedy będziesz miał coś nowego? - zapytał Poirot.

Kiedy Japp wyszedł, Poirot usiadł przy stole i zmarszczył brwi.

Miał nieodparte uczucie, że na coś czeka. Tylko na co?

Przypomniał sobie, że niedawno, też siedząc przy stole, skreślił na papierze kilka na pozór nie związanych ze sobą faktów i kolekcję nazwisk. Za oknem latał ptaszek z gałązką w dziobku.

I on także dobierał odpowiednie patyczki... "Piąte, szóste, dobierz patyczki proste..."

Miał swoje patyczki - teraz było już ich sporo. Miał je w swoim logicznym umyśle odpowiednio posegregowane, ale jak dotąd nie próbował ułożyć ich w odpowiednim porządku. To będzie następny krok, teraz trzeba je równo i prosto ułożyć.

Co go powstrzymywało? Znał odpowiedź na to pytanie. Czekał na coś.

Coś nieuniknionego, coś, co się musi wydarzyć, następne ogniwo w łańcuchu. Kiedy nadejdzie, wtedy... wtedy uczyni kolejny krok.

II

Tydzień potem, późnym wieczorem, nadeszło wezwanie.

W słuchawce telefonicznej usłyszał szorstki głos Jappa:

- Czy to ty, Poirot? Znaleźliśmy ją! Lepiej zaraz tu przyjedź. King Leopold Mansions, Battersea Park. Mieszkanie numer czterdzieści pięć.

W kwadrans później Poirot wysiadł z taksówki przed King Leopold Mansions.

Był to duży budynek czynszowy z mieszkaniami wychodzącymi na Battersea Park. Mieszkanie numer czterdzieści pięć znajdowało się na drugim piętrze. Drzwi otworzył osobiście Japp.

Na jego twarzy malowało się ponure skupienie.

- Wejdz - rzekł. - Nie jest to szczególnie przyjemne, ale przypuszczałem, że zechcesz zobaczyć.

Poirot spytał krótko:

- Nie żyje?

- Ty byś określił, że jest absolutnie martwa! Poirot podniósł głowę na znajomy dźwięk dochodzący od drzwi umieszczonych po prawej stronie.

- Tam jest portier - wyjaśnił Japp. - Wymiotuje do zlewu. Musiałem go tu ściągnąć, aby przeprowadzić identyfikację zwłok.

Skierował się wzdłuż korytarza, a Poirot podążył za nim, krzywiąc nos.

- Niezbyt przyjemne - rzekł Japp. - Ale czego się spodziewałeś? Nie żyje już ponad miesiąc.

Pokój, do którego weszli, był niewielką rupieciarnią i składzikiem bagaży. Na środku stała wielka metalowa skrzynia, w jakiej przechowuje się futra. Wieko było otwarte.

Poirot podszedł bliżej i zajrzał do środka.

Najpierw ujrzał stopę i zniszczony but z ozdobną klamerką. Zapamiętał tę klamerkę, gdy pierwszy raz zetknął się z panną Sainsbury Seale. Jego wzrok powędrował dalej. Dojrzał zieloną, wełnianą marynarkę, spódnicę, aż wreszcie zatrzymał się na głowie.

Poirot wydał nieartykułowany okrzyk.

- Tak - powiedział Japp - to naprawdę przerażające. Twarz była zmasakrowana nie do poznania. Doszedł do tego proces rozkładu i nic dziwnego, że obaj mężczyźni ze zmienionymi twarzami odwrócili się ze zgrozą.

- No tak - powiedział Japp - w ciągu naszych pracowitych dni zdarzają się takie rzeczy. Czasami nasza praca jest niewątpliwie obrzydliwa. W przyległym pokoju znajdziesz trochę brandy. Dobrze ci zrobi.

Salon, do którego teraz weszli, umeblowany był elegancko i nowocześnie, z dużą ilością chromowanych mebli obitych beżowym materiałem w geometryczne wzory.

Poirot odszukał karafkę i nalał sobie brandy. Gdy wypił, stwierdził:

- Okropne! A teraz opowiedz mi, mój drogi, wszystko o tej sprawie.

Japp odrzekł:

- To mieszkanie należy do pani Chapman. Jak ustaliłem, jest to dość zamożna, elegancka blondynka, w wieku około czterdziestu lat. Płaci regularnie rachunki, czasem lubi pograć w brydża z sąsiadami, ale raczej żyje samotnie. Bezdzienna. Jej mąż, Albert Chapman, podróżuje w jakiś sprawach handlowych.

- Sainsbury Seale przyszła do niej wieczorem tego samego dnia, w którym przeprowadziliśmy z nią rozmowę. Było to około siódmej piętnaście. Przyszła tu prawdopodobnie prosto z hotelu "Glengowrie Court". Portier poinformował mnie, że przedtem już raz tu była. Była to więc, jak widzisz, normalna wizyta u przyjaciółki. Portier zaprowadził pannę Sainsbury Seale do windy. Ostatni raz widział ją, jak stała na wycieracze przed drzwiami tego mieszkania i naciskała dzwonek.

- Dobrze to wszystko zapamiętał, mimo upływu czasu! - skomentował Poirot.

- Niestety, potem miał jakieś kłopoty żołądkowe i poszedł do szpitala, a w tym czasie zastępował go ktoś inny. Dopiero tydzień temu przypadkowo przeczytał w starej gazecie o "poszukiwanej kobiecie" i powiedział do żony: "Wygląda na to, że to jest to stare czupiradło, które przyszło do pani Chapman na drugie piętro. Miała zielony, wełniany kostium i buty z klamerkami". Potem dodał po jakiejś godzinie: "Jakoś tak nazywała się, co brzmiało «jak something». O, do licha, to było - panna Something czy jakoś tak podobnie i potem Seale!"

- Następnie - kontynuował Japp - w jakieś cztery dni później, kiedy wreszcie pozbył się swojej naturalnej nieufności do policji, udał się tam i podzielił z nimi swoimi spostrzeżeniami.

My oczywiście, nie sądziliśmy, że to do czegoś doprowadzi. Nie masz pojęcia, ile mieliśmy takich fałszywych alarmów. Posłałem jednak sierżanta Beddoesa - tego bystrego, młodego człowieka. Ukończył zbyt ekskluzywne szkoły, ale to nie jego wina. Teraz to modne. Beddoes miał przecucie, że wreszcie na coś trafiliśmy. Pierwsza rzecz, która nas zastanowiła, to fakt, że nie widziano już od miesiąca pani Chapman. Wyjechała, nie podając adresu. Było to trochę dziwne. Właściwie wszystko, czego dowiedział się o pani Chapman, było dziwne. Od portiera dowiedział się, że on nie widział, jak pani Sainsbury Seale wychodziła. W tym jednak nie było nic niezwykłego. Mogła przecież zejść po schodach i opuścić dom, nie będąc zauważona przez portiera. Jeżeli chodzi o panią Chapman, to portierowi wydaje się, że wyjechała dość nagle. Następnego ranka na drzwiach wisiała kartka: "MLEKA NIE TRZEBA. POWIEDZ NELLIE, ŻE WYIECHAŁAM".

Nellie to dochodząca służąca, która u niej pracowała. Pani Chapman już przedtem wyjeżdżała niespodziewanie dwa razy i dziewczynie nie wydawało się to dziwne. Niemniej dziwny był fakt, że nie zadzwoniła po portiera, aby pomógł jej znieść bagaże i przywołał taksówkę.

W każdym razie Beddoes zdecydował się odwiedzić to mieszkanie. Otrzymaliśmy nakaz rewizji i klucz od administratora. Nie znaleźliśmy nic ciekawego z wyjątkiem łazienki. Wyraźnie było widać, że została pospiesznie sprzątnięta. Na linoleum pozostał jednak mały ślad krwi. Znaleźliśmy go w narożniku, gdzie przeoczono go podczas zmywania podłogi. Następnym problemem było odnalezienie ciała. Pani Chapman nie mogła wyjść z bagażem, nie będąc zauważona przez portiera. Wobec tego ciało musiało znajdować się jeszcze w mieszkaniu! Znaleźliśmy tę skrzynię na futra, która, jak wiesz, jest hermetyczna! To było dobre miejsce. Klucze były w szufladzie toaletki. Otwieramy więc skrzynię i... znajdujemy w niej naszą zaginioną! Wszystko jak należy.

- A co z panią Chapman? - zapytał Poirot.

- Istotnie, co z nią? Co z Sylwią (ma na imię Sylwia), gdzie ona jest? Jedno jest pewne. Sylwia lub jej przyjaciele zamordowali naszą damę i wsadzili do skrzyni.

Poirot skinął głową i spytał:

- Ale dlaczego zmasakrowali jej twarz? To okropne.
- Dlaczego tak zrobili - można tylko zgadywać. Być może jest to akt zemsty. A może starali się w ten sposób ukryć tożsamość tej kobiety?

Poirot skrzywił się i rzekł:

- Ale przecie? to w niczym nic przeszkodziło w jej identyfikacji.
- Nie, ponieważ otrzymaliśmy dokładny opis, w co była ubrana w chwili zniknięcia. Poza tym w skrzyni znaleźliśmy torebkę, a w środku stare listy adresowane do hotelu przy Russell Square.

Poirot nagle wyprostował się.

- Ależ to... To nie ma sensu!
- Tak, to naprawdę nie ma sensu. Przypuszczam, że to było przeoczenie.
- Istotnie, to mogło być przeoczenie. Chociaż... Poirot wstał i zapytał:
- Zbadałeś już całe mieszkanie?
- Dość dokładnie. Nie ma tu nic, co mogłoby rozjaśnić nasze mroki.
- Chciałbym jeszcze obejrzeć sypialnię pani Chapman.
- Dobrze, chodźmy.

W sypialni nie było żadnych śladów pośpiesznego wyjazdu. Panował ład i porządek. W łóżku nikt nie spał, choć było przygotowane do snu. Wszystko pokryła gruba warstwa kurzu.

- Dotychczas nie znaleźliśmy żadnych odcisków palców. Tylko kilka na naczyniach kuchennych, jednak przypuszczam, że pozostawiła je służąca pani Chapman - wyjaśnił Japp.
- To oznacza, że po popełnieniu morderstwa dokładnie wytarto kurz?
- Tak

Wzrok Poirota błądził po pokoju. Sypialnia, tak jak i salon, były umeblowane nowocześnie. Pomyślał, że mieszkał tu ktoś średnio zamożny. Wszystkie przedmioty były kosztowne, lecz nie zanadto kosztowne. Okazałe, lecz nie pierwszej jakości. Dominował kolor różowy. Przyjrzał się wbudowanej szafie i zaczął przeglądać ubrania - eleganckie ubrania, ale znów nie pierwszego gatunku. Potem skierował wzrok na buty. Były to głównie modne obecnie sandały niektóre na grubej korkowej podeszwie. Podniósł jeden, zanotował fakt, że pani Chapman nosiła piątkę, i odłożył go na miejsce. W innej szafie znalazł stos upchniętych futer. Japp zauważył jego spojrzenie i wyjaśnił:

- Wyjęte ze skrzyni. Poirot skinął głową.

Chwycił pierwsze futro i stwierdził ze zdumieniem: "Skóry w najlepszym gatunku". Weszli do łazienki.

Tu rzucał się w oczy szeroki asortyment kosmetyków. Poirot obejrzał je z zainteresowaniem. Puder, róż, krem, balsam do ciała, dwie butelki płynu do układania i farbowania włosów.

- Stąd właśnie wnioskuję, że nie była naturalną, platynową blondynką - powiedział Japp.
- Po czterdziestce, mon ami - mruknął Poirot - włosy wielu kobiet zaczynają siwieć, ale nasza pani Chapman nie poddawała się prawom natury.
- A zatem prawdopodobnie stosowała farby do włosów i obecnie dla odmiany może być ruda.
- Ciekawe...

- Co cię niepokoi, Poirot? - spytał Japp. - Cóż to takiego?

- Ależ tak, jestem zaniepokojony. Jestem poważnie zaniepokojony. Widzisz, mój drogi, stanąłem przed problemem, którego nie potrafię wyjaśnić.

Zdecydowanym krokiem skierował się do rupieciarni na kufry.

Chwycił bucik na nodze nieżyjącej kobiety, z trudem go zdjął, przyjrzał się klamerce. Była przyszyta niedbale - od ręki.

Herkules Poirot westchnął i rzekł:

- Chyba mi się śni!

Japp zapytał zaciekawiony:

- Co znów kombinujesz, Poirot? Chcesz to jeszcze bardziej zagmatwać?

- Dokładnie tak.
- Przecież to zwykły lakierek z klamerką. Coś ci się w nim nie zgadza? - spytał Japp.
- Nic... absolutnie nic - odparł Poirot. - Ale, mimo wszystko... nie rozumiem tego.

III

Pani Merton zajmowała mieszkanie numer osiemdziesiąt dwa w King Leopold Mansions. Była, według informacji portiera, najbliższą przyjaciółką pani Chapman. Poirot i Japp udali się pod numer osiemdziesiąt dwa.

Pani Merton była gadatliwą kobietą z rozbieganymi, czarnymi oczkami i wymyślną fryzurą. Nie potrzebowali zmuszać jej do mówienia. Była gotowa dostosować się do dramatycznej sytuacji.

- Sylwia Chapman... O, tak. Oczywiście nie znam jej dobrze, nie byliśmy zbyt bliskim przyjaciółkami, jak się to określa. Grałyśmy kilka razy przypadkowo w brydża, byłyśmy razem w kinie i, oczywiście, czasem chodziliśmy na zakupy. Ale, na litość boską, proszę mi powiedzieć, czy ona żyje.

Japp uspokoił ją.

- To dobrze. Z ulgą to słyszę! Ale właśnie ten listonosz był cały podniecony znalezieniem trupa w jakimś mieszkaniu, a czy można uwierzyć w połowę tego, co się słyszy? Ja nigdy nie wierzę.

Japp zadał następne pytanie.

- Nie, nie widziałam się z panią Chapman... od czasu, kiedy umówiliśmy się, że pójdziemy na film z Ginger Rogers i Fredem Astaire'em. Wówczas nie mówiła mi, że chce gdzieś wyjechać.

Pani Merton nigdy nie słyszała o pannie Sainsbury Seale. Pani Chapman nigdy nie wymieniała przy niej tego nazwiska.

- A jednak, proszę pana, to nazwisko jest mi znane. Wydaje mi się, że wyraźnie skądś je znam. Ostatnio gdzieś je widziałam.

- W ostatnim tygodniu zamieszczono je we wszystkich gazetach - wyjaśnił sucho Japp.

- Oczywiście! To ta zaginiona kobieta, prawda? Przypuszcza pan, że pani Chapman mogła ją znać? Nie, jestem pewna, że Sylwia nigdy o niej nie wspominała.

- Czy może nam pani powiedzieć coś o panu Chapmanie?

Na twarzy pani Merton odmalował się wyraz zaciekawienia.

- O ile wiem, podróżował w sprawach handlowych. Tak sędzę z opowiadań pani Chapman. Podróżował za granicę w sprawach swojej firmy - jak mi się wydaje, chodziło o broń. Jeździł po całej Europie.

- Czy kiedyś go pani spotkała?

- Nie, nigdy. Bywał w domu rzadko, a kiedy przyjeżdżał, wówczas oboje nie przyjmowali nikogo. Zupełnie naturalne!

- Czy pani Chapman miała krewnych lub przyjaciół?

- Nic nie wiem o jej przyjaciółach. I nie sędzę, aby miała jakichkolwiek krewnych. Nigdy o nich nie mówiła.

- Była kiedyś w Indiach?

- Jeżeli była, to ja nic o tym nie wiem.

Pani Merton przerwała i po chwili wybuchnęła:

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego panowie zadają mi te wszystkie pytania? Wiem, że panowie przyszli ze Scotland Yardu, ale musi być przecież jakiś specjalny powód.

- No cóż, pani Merton, i tak musi się pani o tym dowiedzieć. W mieszkaniu pani Chapman znaleziono zwłoki.

- Cooo...? - Przez moment pani Merton przypominała psa o oczach wielkości spodeczków.

- Zwłoki! Chyba nie pana Chapmana? Może to jakiś obcokrajowiec?

Japp odparł:

- To nie jest mężczyzna... To kobieta.

- Kobieta... - Pani Merton wydawała się jeszcze bardziej zaskoczona.

Poirot wtrącił łagodnie:

- Dlaczego sądziła pani, że to mógłby być mężczyzna?

- Och, nie wiem. Ale to wydawało mi się bardziej prawdopodobne.

- Dlaczego? Czy w zwyczajach pani Chapman było przyjmowanie mężczyzn?

- Och, nie... Oczywiście, że nie. - Pani Merton była poruszona. - Absolutnie nie miałam czegoś takiego na myśli. Sylwia Chapman absolutnie nie należała do tego typu kobiet. To dlatego, że... pan Chapman... Myślę, że...

Przerwała.

- Wydaje mi się, madame, że pani wie coś więcej, niż nam powiedziała - rzekł Poirot.

Pani Merton odparła niepewnie:

- Doprawdy nie wiem, co powinnam zrobić. Chcę przez to powiedzieć, że nie chciałabym zdradzić zaufania i naturalnie nigdy nie powtórzyłabym tego, co mi Sylwia powiedziała, za wyjątkiem kilku zaufanych osób, o których wiedziałam, że będą naprawdę dyskretne... - Pani Merton przerwała dla zaczerpnięcia tchu. Japp skorzystał z tego i powiedział:

- Co pani Chapman powiedziała pani?

Pani Merton pochylała się i powiedziała ściszym głosem:

- Pewnego dnia wymknęło jej się. Widziałyśmy film... o Secret Service i pani Chapman powiedziała mi, że ten, kto go zrobił, niewiele wiedział o tych sprawach. Potem wyjaśniła mi w wielkiej tajemnicy, że pan Chapman, jak zrozumiałam, pracuje w Secret Service. Ale kazała mi przysiąc, że zatrzymam to w tajemnicy. To, że pan Chapman jest w Secret Service, było powodem, iż tak często wyjeżdżał za granicę. Firma, dla której pracował, była tylko parawanem. Panią Chapman bardzo niepokoił fakt, że nie może do niego pisać i że kiedy jest poza domem, nie może od niego otrzymywać listów. No i, oczywiście, to wszystko było strasznie niebezpieczne!

IV

Wrócili na dół, pod numer czterdzieści dwa. Japp rzucił z przejęciem:

- Cienie Phillipa Oppenheima, Valentine'a Williama i Williama le Queux. Ja chyba oszaleję!

Czekający na nich bystry młodzieniec, sierżant Beddoes, powiedział z szacunkiem:

- Niestety, sir, nie udało mi się wydobyć nic istotnego do służącej. Wydaje się, że pani Chapman dość często zmieniała służbę. Ta pracowała u niej tylko miesiąc lub dwa. Ona mówi, że pani Chapman to miła kobieta, lubiąca słuchać radia i ładnie się wyrażająca. Według opinii dziewczyny, pan Chapman był flirtiarzem, ale pani Chapman nie podejrzewała tego. Czasami otrzymywała zagraniczne listy - kilka z Niemiec, dwa z Ameryki, jeden z Włoch i jeden z Rosji. Młodzieniec, z którym dziewczyna się przyjaźni, zbiera znaczki pocztowe, a pani Chapman miała zwyczaj dawać jej znaczki po otrzymaniu listu.

- Czy znaleziono coś w papierach pani Chapman?

- Absolutnie nic, sir. Nie trzymała wielu dokumentów w domu. Kilka rachunków i kwitów - wszystkie miejscowe. Ponadto kilka starych programów teatralnych, kilka wyciętych z gazet przepisów kucharskich i ulotkę o Misji Zenana.

- Można bez trudu domyślić się, kto tu przyniósł tę ulotkę. Nie wydaje się, by popełniła zbrodnię, prawda? Jednak z drugiej strony wydaje się, że to zbrodnia. W każdym razie brała w niej udział. Czy tego wieczoru widziano tu jakiegoś obcego mężczyznę?

- Portier nie przypomina sobie nikogo - ale nie przypuszczam, aby mógł cokolwiek zapamiętać; ten blok ma wiele mieszkań, ludzie stale wchodzą i wychodzą. Mógł tylko ustalić

datę przybycia panny Sainsbury Seale, ponieważ następnego dnia poszedł do szpitala, a tego wieczoru czuł się już źle.

- Może ktoś w innym mieszkaniu słyszał coś niezwykłego?

Młody człowiek potrząsnął głową.

- Zbadałem mieszkanie powyżej i mieszkanie położone piętro niżej. Nikt nie pamięta, żeby słyszał coś niezwykłego. Sądzę, że obaj sąsiedzi mieli włączone radia.

Z łazienki wyszedł chirurg, który właśnie umył ręce.

- Bardzo nieapetyczne zwłoki - powiedział wesoło. - Zabierzcie ją, gdy tylko będziecie gotowi, a wtedy będę mógł przystąpić do właściwej roboty.

- Może pan powiedzieć, jaka była przyczyna śmierci?

- Nie można nic powiedzieć przed dokonaniem autopsji. Twarz jest całkowicie zniekształcona, ale mogę stwierdzić, że dokonano tego dopiero po śmierci. Dokładne dane będę miał dopiero po przywiezieniu jej do kostnicy. Obecnie mogę tylko powiedzieć, że była to kobieta w średnim wieku, zupełnie zdrowa, włosy ufarbowane na blond z siwymi odroślami. Jeżeli na ciele nie będzie żadnych znaków szczególnych, wówczas trudno będzie z całą pewnością ustalić jej tożsamość. Ach, panowie już wiedzą, kim ona jest? To wspaniale! Co? To ta zaginiona kobieta, o którą było tyle zamieszania? No tak, tylko że ja nigdy nie czytam gazet. Chyba że rozwiązuję krzyżówki.

- I co z tego rozgłaszania wyszło! - mruknął gorzko Japp, gdy lekarz wyszedł.

Poirot pochylił się nad biurkiem i podniósł mały, brązowy notes z adresami.

Niez mordowany Beddoes dodał:

- Nie ma tam nic specjalnie interesującego. Sami fryzjerzy, modystki i tym podobne. Wynotowałem wszystkie prywatne nazwiska i adresy.

Poirot otworzył notes na literze D.

"Dr Davis, Prince Albert Road 17, Drake i Pomponetti - Handel Rybami". A poniżej: "Dentysta. Morley, Queen Charlotte Street 58".

W oczach Poirota zabłysło zielone światło.

- Teraz nie będzie trudności w zidentyfikowaniu zwłok - powiedział.

Japp spojrzał z zaciekawionym.

- Z pewnością... nie wyobrażasz sobie...? Poirot odparł dobitnie:

- Chcę być pewny.

V

Panna Morley wyjechała na wieś. Domek, w którym zamieszkała, stał niedaleko Hertford.

Przywitała Poirota przyjaźnie. Od śmierci brata poruszała się bardziej sztywno, jej twarz stała się jeszcze bardziej ponura, a jej stosunek do życia stał się nieustępliwy. Była gorzko oburzona poderwaniem, w wyniku śledztwa dobrej opinii o jej bracie i jego pracy zawodowej. Poirot - miała podstawy, aby w to wierzyć - podzielał jej zdanie, że werdykt rozprawy u koronera był niesłuszny. Po przedstawieniu jej takiego poglądu trochę zmiękła.

Odpowiadała teraz dość chętnie i wyczerpująco na jego pytania. Cała dokumentacja lekarska pana Morleya została starannie uporządkowana przez pannę Nevill i przekazana dentyście, który objął praktykę po Morleyu. Niektórzy pacjenci przenieśli się do Reilly'ego, część przejął następca Morleya, a pozostali udali się do innych dentyistów.

Po udzieleniu tych informacji panna Morley dodała jeszcze:

- A zatem znaleźliście tę zaginioną pacjentkę mojego brata... pannę Sainsbury Seale... i ona także została zamordowana?

To "także" brzmiało trochę wyzywająco. Wyraźnie zaakcentowała to słowo.

- Czy pani brat nigdy prywatnie nie wspominał o panie Sainsbury Seale? - ' zapytał Poirot.

- Nie, nie przypominam sobie jej. Zwykle niewiele rozmawiał ze mną o swojej pracy, czasami tylko wspominał jakiegoś pacjenta, jeżeli na przykład zdarzyło się coś zabawnego, co mogło mnie zainteresować. Był zadowolony, jeśli mógł choćby na chwilę oderwać się od medycyny. Czasem praca bardzo go męczyła.

- Czy wśród pacjentów brata słyszała pani nazwisko pani Chapman?

- Chapman? Nie, nie sędzę. Najlepiej w tej sprawie pomoże panu panna Nevill.

- Bardzo pragnąłbym się z nią spotkać. Gdzie teraz mogę ją znaleźć?

- Jak sędzę, pracuje u jakiegoś dentysty w Ramsgate.

- A zatem, jeszcze nie wyszła za mąż za tego młodego człowieka, za Franka Cartera?

- Nie. I mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Nie lubię tego młodzieńca, monsieur Poirot. Naprawdę nie lubię. Coś z nim jest nie tak. Ciągłe czuję, że on naprawdę nie jest w porządku pod względem moralnym.

- Myśli pani, że to możliwe, aby on mógł zastrzelić pani brata? - zapytał Poirot.

Panna Morley powiedziała wolno:

- Przypuszczam, że byłby do tego zdolny - miał gwałtowny charakter. Jednak nie widzę żadnego motywu... nie miał też żadnej okazji, aby to zrobić. Widzi pan, przecież Henry'emu nie udało się nakłonić Gladys, aby z nim zerwała. Gladys nadal była mu wierna.

- A czy sędzi pani, że mógłby go ktoś przekupić?

- Przekupić? Żeby zamordować mojego brata? Co za szalony pomysł!

W tym momencie ładna, ciemnowłosa dziewczyna przyniosła herbatę. Kiedy wyszła, Poirot rzekł:

- Czy ta dziewczyna służyła u pani w Londynie?

- Agnes? Tak, była pokojówką. Kucharkę odprawiłam, bo nie chciała pojechać ze mną na wieś, więc Agnes spełnia teraz wszystkie czynności. Powoli staje się bardzo dobrą kucharką. Poirot skinął głową.

Dobrze znał służbę i dom przy Queen Charlotte Street 58. Kiedy zdarzyła się tragedia, wszystko dokładnie sprawdzili. Morley wraz z siostrą zajmowali dwa najwyższe piętra. Suterena była zamknięta na cztery spusty, wyłączając wąski pasaż biegnący od ulicy do podwórka położonego z tyłu domu, gdzie znajdowała się osiatkowana klatka mieszcząca windę towarową prowadzącą na ostatnie piętro. Tą drogą różni kupcy dostarczali do domu swoje towary. Wewnątrz klatki znajdowała się również tuba dźwiękowa służąca do porozumiewania się z lokatorami górnych pięter. Jedyne wejście do budynku stanowiły drzwi frontowe, za które był odpowiedzialny Alfred. To pozwoliło policji stwierdzić, że tego ranka nikt nie zauważony nic mógł wejść do domu.

Kucharka i pokojówka służyły u Morleya od kilku lat i wydawało się, że są uczciwe. Chociaż teoretycznie możliwe było, że jedna z nich mogła wkraść się na drugie piętro i zastrzelić swego pana... Jednak nie brano poważnie tej możliwości pod uwagę; Podczas śledztwa żadna z nich nie była zdenerwowana ani wyprowadzona z równowagi. W żaden sposób nie można było ich łączyć ze śmiercią Morleya.

Niemniej, gdy Agnes podawała Poirotowi kapelusz i laskę, spytała go z niezwykle nerwową gwałtownością:

- Czy... czy ma pan jakieś nowe wiadomości o śmierci mojego pana, sir?

Poirot odwrócił się i spojrzał na nią.

- Nic nowego nic wyszło na jaw - powiedział.

- Czy to nadal jest całkiem pewne, że popełnił samobójstwo z powodu omyłki z lekarstwem?

- Tak. Dlaczego pytasz o to?

Agnes miała w ręku fartuszek. Odwróciła głowę i powiedziała niepewnie:

- Pan... w to nie wierzy.

- A ty zgadzasz się z tym czy też może nie zgadzasz się?

- Ja? Ja nic nie wiem, sir. Chciałam się tylko... tylko upewnić.

Herkules Poirot odrzekł jak najuprzejmiej:

- Może sprawi ci ulgę, jak, powiem, że nie ma żadnej wątpliwości, iż to było samobójstwo?

- O tak, sir - szybko zgodziła się Agnes. - Naprawdę sprawiło mi to ulgę.

- Może masz jakiś specjalny powód?

Jej wystraszone oczy spotkały się ze wzrokiem Poirota. Cofnęła się.

- Ja... Ja nic o tym nie wiem, sir. Ja tylko tak pytałam.

"Jednak dlaczego pytała?" - zadał sobie pytanie Poirot, idąc ścieżką w kierunku furtki. Był pewny, że w tym domu istnieje odpowiedź na to pytanie. Ale póki co nawet nie mógł zgadywać.

W każdym razie czuł, że posunął się krok naprzód.

VI

Kiedy Poirot wrócił do domu, czekał na niego niespodziewany gość.

Ponad oparciem krzesła widoczna była łysa głowa, a kiedy gość wstał, ukazała się drobna, schludna sylwetka pana Barnes'a.

Z błyszczącymi jak zwykle oczami zaczął się oschle usprawiedliwiać.

Wyjaśnił, że przyszedł z rewizytą. Herkules Poirot odpowiedział, że bardzo się z tego cieszy.

George otrzymał polecenie przyniesienia kawy, chyba że gość wolałby herbatę albo może whisky z wodą sodową?

- Kawa będzie na pewno wspaniała - rzekł pan Barnes. - Przypuszczam, że pański służący potrafi ją parzyć. Niestety, większość angielskiej służby nie robi tego dobrze.

Wkrótce, po wymianie kilku wstępnych uwag, pan Barnes lekko kaszlnął i rzekł:

- Chcę z panem pomówić szczerze, monsieur Poirot. Przywiodła mnie tutaj czysta ciekawość. Przypuszczam, że jest pan dobrze poinformowany o wszystkich detalach tej raczej ciekawej sprawy. Czytałem w gazetach, że zaginiona panna Sainsbury Seale została odnaleziona i że śledztwo odroczone do czasu ustalenia nowych okoliczności. Stwierdzono, że przyczyną jej śmierci było przedawkowanie medynalu.

- To prawda - zgodził się Poirot.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym Poirot spytał:

- Słyszał pan kiedyś o Albercie Chapmianie, panie Barnes?

- Ach, to mąż tej kobiety, w której mieszkaniu znaleziono zamordowaną pannę Sainsbury Seale? To jakaś nieuchwytna osoba, jak się wydaje.

- Albo raczej nie istniejąca?

- O nie - odparł pan Barnes. - On istnieje. Tak, tak, on istnieje... Albo istniał. Słyszałem, że już nie żyje. Proszę jednak nie brać zbyt poważnie tych plotek.

- Kim on był, panie Barnes?

- Nie sądzę, aby chcieli o tym mówić w śledztwie. Nie, o ile tylko będą mogli tego uniknąć. Będą tylko kręcić się wokół tych podróży związanych z firmą produkującą broń.

- A zatem on służył w Secret Service?

- Oczywiście. Jednak nie powinien był mówić o tym żonie... absolutnie nie powinien. Faktycznie powinien wycofać się z Secret Service w chwili, gdy zawarł związek małżeński. Tak, niestety, musi robić każdy, kto jest jednym z tych utajnionych.

- A Albert Chapman był jednym z takich?

- Tak. Q.X.912. Pod tym kryptonimem był znany. Używanie własnego nazwiska jest niedopuszczalne. Oczywiście nie sądzę, żeby Q.X.912 był specjalnie ważny. Był pożyteczny, ponieważ nie rzucał się zbyt w oczy; miał twarz, której się nie pamięta. Zwykle używano go jako kuriera, działał w Europie. Zapewne orientuje się pan, co robił. Oficjalny list wysłano via nasza ambasada w Rurytanii, a nieoficjalny, jak wyżej, zawierający brudne sprawy od Q.X.912 - to znaczy od pana Alberta Chapmana.

- Zapewne znał dużo cennych informacji?

- Prawdopodobnie nic nie wiedział - odrzekł wesoło pan Barnes. - Jego praca polegała na nieustannym przesiadaniu się z pociągu do pociągu, z samolotu na samolot, ze statku na statek i musiał zawsze mieć odpowiednią historyjkę, dokąd jedzie i dlaczego jedzie.

- I pan słyszał, że on nie żyje?

- Tak, słyszałem o tym - odparł Barnes. - Ale niech pan nie wierzy we wszystko, co pan usłyszy. Ja nigdy nie wierzę.

Poirot przez chwilę patrzył na pana Barnes'a uważnie, wreszcie zapytał:

- Co, według pana, mogło się stać z jego żoną?

- Nic mam pojęcia - rzekł pan Barnes. Patrzył Poirotowi prosto w oczy. - A co pan o tym sądzi?

- Mam pewną myśl... - powiedział Poirot, przerwał i powiedział wolno. - To bardzo zagmatwane.

Pan Barnes mruknął ze współczuciem:

- Coś pana martwi szczególnie? Herkules Poirot odparł wolno:

- Tak. Świadcstwo moich własnych oczu...

VII

Japp wszedł do salonu Poirota i trzasnął kapeluszem o stół tak silnie, że ten aż się cały zatrzęsł.

- Jak, do cholery, wpadłeś na to? - rzucił.

- Mój drogi, nie wiem, o czym mówisz. Japp odparł wolno i dobitnie.

- Co podsunęło ci myśl, że to ciało nie jest ciałem panny Sainsbury Seale?

Poirot spojrział na Jappa z wahaniem, po czym rzekł:

- Zaniepokoiła mnie jej twarz. Dlaczego tak zniekształcono twarz nie żyjącej już kobiety?

- Daję słowo, spodziewam się, że stary Morley jest tam, gdzie już o tym może wiedzieć. Możliwe, że usunięto go; aby nie mógł złożyć zeznań.

- Oczywiście, że byłoby lepiej, gdyby on sam mógł nam wszystko wyjaśnić.

- Musiałem posłużyć się jego następcą, który nazywa się Leatheran. To zdolny człowiek o nienagannych manierach i jego dowody są jednoznaczne.

Następnego dnia gazety przyniosły sensacyjną wiadomość. Martwe ciało, które znaleziono w mieszkaniu przy Battersea i które, jak sądzono, było ciałem panny Sainsbury Seale, zostało wreszcie zidentyfikowane jako ciało pani Chapman.

Pan Leathera - Queen Charlotte Street 58 - bez wahania stwierdził, że to była pani Chapman. Rozpoznał ją po zębach i szczęce, o których dokładne dane znajdowały się w kartotekach Morleya.

Ciało zostało przebrane w rzeczy panny Sainsbury Seale, a w skrzyni umieszczono również jej torebkę... Ale wobec tego, gdzie znajdowała się panna Sainsbury Seale?

DZIEWIĄTE, DZIESIĄTE, KURA TŁUSTA NA ZACHĘTĘ

I

Kiedy wyszli po śledztwie, Japp powiedział wesoło do Poirota:

- Odwaliliśmy kawał pięknej roboty. Daliśmy im sensację!

Poirot skinął głową.

- Ty wpadłeś na to pierwszy - kontynuował Japp - ale i mnie niepokoiło to ciało. Ta masakra twarzy musiała być bardzo niemiłą robotą i dlatego domyśliłem się, że musiał być jakiś, powód, aby to zrobić... I byt tylko jeden z możliwych: utrudnić identyfikację. - Przerwał i dodał uprzejmie. - Ale ja tak szybko nie wpadłem na to, że to była. inna kobieta.

Poirot rzeki z uśmiechem:

- A co do tego, mój przyjacielu, zasadniczy opis obu kobiet ogólnie zgadzał się. Chociaż pani Chapman była elegancka, przystojna, zadbana, modnie ubrana. Natomiast panna Sainsbury Seale była niemodna i nie tknięta kosmetykami. W rzeczywistości jednak były do siebie podobne. Obie były po czterdziestce, obie tego samego wzrostu i tuszy, obie miały siwe włosy ufarbowane na blond:

- Oczywiście, wszystko wydaje się jasne, jeżeli się tak wytłumaczy, jak ty to robisz. Jedno musimy jednak przyznać: nasza cudowna Mabelle spletała nam figła. A byłbym przysięgł, że ona rzeczywiście istniała.

- Ależ, mój drogi, ona rzeczywiście istniała. Przecież znamy jej całą przeszłość.

- Jednak nie wiedzieliśmy, że była zdolna popełnić morderstwo... a teraz wygląda na to, że to zrobiła. To nie Sylwia zamordowała Mabelle, to Mabelle zamordowała Sylwię.

Herkules Poirot pokiwał ze zmartwieniem głową. Nie mógł jakoś pogodzić pojęcia "morderca" z Mabelle Sainsbury Seale, chociaż w uszach ciągle jeszcze brzmiało mu zdanie wypowiedziane przez pana Barnesę: "Trzeba rozejrzeć się wśród ludzi uczciwych..."

Panna Sainsbury Seale należała przecież do ludzi uczciwych.

Rozmyślenia te przerwał Japp, mówiąc z naciskiem:

- Chciałbym dotrzeć do sedna tej całej sprawy, Poirot. Ta kobieta mnie nie wykiwa.

Następnego dnia zatelefonował Japp. Jego głos był podekscytowany.

- Poirot, chcesz usłyszeć nowiny? Wszystko wyjaśnione! Ba!... Po prostu śmiechu warte!

- Pardon? Być może źle cię słyszę. Niezupełnie cię rozumiem...

- To koniec, stary. KONIEC. Możesz zostać w domu i kręcić młynka palcami!

Poirot spytał wyraźnie ze złością;

- Z czym jest koniec?

- Z całą tą cholerną sprawą! Pościg za zbrodniarzem! Ogłoszenia! No, cały ten arsenał różnych środków!

- Nadal nic nie rozumiem.

- A zatem posłuchaj. Słuchaj uważnie, ponieważ nie wolno mi wymieniać nazwisk. Znasz przebieg śledztwa? Wiesz, że przetrząsnęliśmy cały kraj w poszukiwaniu naszej tresowanej rybki?

- Tak, tak, oczywiście. Zaczynam rozumieć.

- Otóż wszystko odwołane. Wyciszone, gęba na kłódkę. Teraz rozumiesz?

- Tak, tak. Ale dlaczego?

- Polecenie z przekłętego Foreign Office.

- Czyż nie jest to niezwykle?

- No cóż, zdarza się od czasu do czasu.

- Ale dlaczego stosują to w przypadku panny... tresowanej rybki?

- To nie chodzi o nią. To sprawa rozgłosu. Ona może naprowadzić na trop pani Ch. Zwłoki. To sprawa największej tajemnicy! Mogę tylko przypuszczać, że chodzi o tego cholernego męża... o pana A.Ch.... Kapujesz?

- Tak, tak. Prawdopodobnie jest gdzieś za granicą w kłopotliwym miejscu i oni nie chcą pokrzyżować mu planów.

- Tttak!

- Co mówisz?

- Wydałem, mon ami, odgłos wyrażający rozdrażnienie.

- Ach tak! Myślałem, że kichnąłeś. Rozdrażnienie, to dobrze powiedziane, ale ja użyłbym ostrzejszego słowa. Usunięcie tej kobiety z naszej sprawy podziało na mnie jak czerwona płachta na byka.

Poirot powiedział bardzo łagodnie:

- Nie uda się jej z tego usunąć.

- Mówiłem ci już, że mamy związane ręce!
 - Wasze ręce są związane... moje nie!
 - Dobry, stary Poirot! A zatem, ty dalej chcesz się tym zajmować?
 - Mais oui*... do śmierci.
 - No, ale nie pozwól, żeby to była twoja śmierć, stary! Jeżeli ta sprawa będzie dalej tak się toczyła, to przypuszczalnie ktoś przyśle ci pocztą tarantulę!
- Odkładając słuchawkę, Poirot mruknął do siebie:
- Dlaczego użyłem tak melodramatycznego zwrotu: do śmierci? Vraiment*, to absurd!

III

List przyszedł w wieczornej poczcie. Pisany był na maszynie, z wyjątkiem podpisu.

Szanowny monsieur Poirot

Byłbym wielce zobowiązany, gdyby zechciał pan jutro mnie odwiedzić. Może będę miał dla pana zajęcie. Proponuję dwunastą trzydzieści w moim domu w Chelsea. Jeżeli nie będzie to panu odpowiadało, to proszę o telefon i uzgodnienie innego terminu z moim sekretarzem. Przepraszam, że tak późno pana zawiadamiam.

Z poważaniem

ALISTAIR BLUNT

Poirot wygładził list i przeczytał go po raz drugi. W tym momencie zadzwonił telefon.

Herkulesa Poirot czasami ponosiła fantazja: był pewny, że wie, jaką wiadomość usłyszy przez telefon.

Teraz był przekonany, że ten telefon będzie miał duże znaczenie. Nie była to pomyłka, nie dzwonił do niego żaden z jego przyjaciół.

Podniósł słuchawkę i powiedział uprzejmie w swoim rodzimym języku:

- Allô? Nieznany głos rzekł:
- Jaki jest pański numer?
- Whitchall 7272.

Nastąpiła przerwa, potem coś szcęknęło i głos mówił dalej:

- Monsieur Poirot? - Był to głos kobiety.
- Tak.

- Monsieur Herkules Poirot?
- Tak.

- Monsieur Poirot, albo już pan otrzymał... albo wkrótce otrzyma pan list.

- Kto mówi?

- Tego nie potrzebuje pan wiedzieć.

- No, dobrze. A więc, madame, w wieczornej poczcie otrzymałem dzisiaj osiem listów i trzy rachunki.

- Wobec tego wie pan, jaki mam list na myśli, Jeżeli będzie pan mądry, monsieur Poirot, to odrzuci pan zlecenie, które zostało panu zaoferowane.

- W tej sprawie, madame, sam zadecyduję.

Głos stał się chłodny.

- Ostrzegam pana, monsieur Poirot. Pańskie mieszanie się w te sprawy nie będzie dłużej tolerowane. Trzymaj się pan od tego z daleka.

- A jeżeli nie będę trzymał się z daleka?

- Poczynimy pewne kroki, aby nie mógł się pan wtrącać i nie sprawiał nam więcej kłopotów...

- To jest groźba, madame!

- Prosimy tylko, aby był pan rozsądny... To dla pańskiego dobra.

- Jest pani bardzo wspaniałomyślna!

- I tak nie zmieni to toku wypadków i tego, co zostało już ustalone. Niech się pan nie miesza w to, co pana nie dotyczy! Czy zrozumiał mnie pan?

- O tak, zrozumiałem. Ale uważam, że śmierć Morleya to moja sprawa.

Głos kobiety stał się szorstki.

- Śmierć Morleya to jedynie drobny incydent. Morley przeszkadzał w realizacji naszych planów.

- Był jednak człowiekiem, madame, i umarł za wcześnie.

- On był bez znaczenia.

Głos Poirota stał się niebezpiecznie spokojny.

- Tu się pani myli...

- To była jego wina. Nie chciał być rozsądny.

- Ja też nie chcę być rozsądny.

- Wobec tego jest pan głupcem.

Coś szcęknęło i rozmowa została przerwana. Poirot rzekł: - Allô? - a następnie odłożył słuchawkę. Nie trudził się nawet ustaleniem, skąd pochodził ten telefon, ponieważ wiedział doskonale, że telefonowano z kabiny publicznego telefonu.

Intrygował i zastanawiał go fakt, że głos, który mówił, był mu skądś znany. Wysiłał pamięć, próbując sobie przypomnieć. Czyżby to był głos panny Sainsbury Seale?

Jeżeli dobrze pamiętał, głos Mabelle Sainsbury Seale był dość wysoki i brzmiał tak, jakby podlegał nieustannej ekscytacji, z przesadnym naciskiem na dobrą dykcję. Głos, który teraz słyszał, nie brzmiał identycznie, ale oczywiście, panna Sainsbury Seale mogła celowo starać się go zmienić. Ostatecznie, była kiedyś aktorką. Prawdopodobnie mogła to uczynić z łatwością. W tym wypadku tembr głosu, który słyszał, był bardzo podobny do tego, jaki pamiętał.

Jednak takie wyjaśnienie nie zadowalało go. Nie, to był głos jakiejś innej, znanej mu kobiety. Ale to nie był głos, który dobrze znał. Był jednak całkowicie pewny, że słyszał go już przedtem.

Dlaczego, zastanawiał się, fatygowano się i grożono mu przez telefon? Czy ci ludzie naprawdę wierzyli, że w ten sposób mogą go zastraszyć? Widocznie tak. Cóż za nędzna psychologia!

IV

Poranna prasa przyniosła kilka sensacyjnych wiadomości:

"Wczoraj wieczorem strzelano do premiera, kiedy z przyjacielem opuszczał dom przy Downing Street 10. Na szczęście kula chybiła. Hindus, który strzelał, został aresztowany".

Po przeczytaniu tej informacji Poirot wziął taksówkę i pojechał do Scotland Yardu, gdzie natychmiast udał się do gabinetu Jappa. Ten powitał go serdecznie.

- Ach, to te nowe wiadomości z gazet przywiodły cię do nas. O ile wiem, żadna z nich nie wspomniała, z jakim to przyjacielem był premier na Downing Street?

- Nie. Kto to był?

- Alistair Blunt.

- Doprawdy?

- A ponadto - kontynuował Japp - mamy podstawy przypuszczać, że kula przeznaczona była dla Blunta, a nie dla premiera. Chyba, że zamachowiec był bardzo słabym strzelcem!

- Kim jest ten zamachowiec?

- To jakiś zwariowany hinduski student. Jak zwykle nie dopieczony. Sądzę, że był tylko narzędziem, a nie inicjatorem zamachu. - Po chwili Japp dodał: - Wyjątkowo dobra robota. W tamtym miejscu stoi zwykle grupka ludzi patrząc się na drzwi numer 10. Kiedy Hindus oddał

strzał, jakiś młody Amerykanin chwycił małego człowieka z brodą. Trzymał go z całych sił i wzywał policję, krzycząc, że złapał zamachowca. Tymczasem ten Hindus spokojnie zaczął się wymykać... ale pochwycił go jeden z naszych ludzi.

- Kim był ten Amerykanin?-zapytał zaciekawiony Poirot.

- Młodzieniec nazwiskiem Raikes. Dlaczego... - przerwał, wpatrując się Poirota. - Co się stało?

Poirot odrzekł:

- Howard Raikes, zamieszkały w hotelu „Holborn Palace”.

- Zgadza się. Który... No oczywiście! To nazwisko od początku wydawało mi się znajome. To on był tym pacjentem, który uciekł z poczekalni w dniu, w którym Morley popełnił samobójstwo.

Przerwał i dodał wolno:

- Stop. Ciągłe powraca ta sprawa. Masz nadal swoje teorie o tej sprawie, Poirot?

Herkules Poirot odparł poważnie:

- Tak. Nadal mam swoje teorie...

V

W Gothic House Poirot został przyjęty przez sekretarza, wysokiego, słabowitego młodzieńca, o nienagannych manierach.

Był uprzejmie przeprasający.

- Jest mi niezmiernie przykro, monsieur Poirot... pan Blunt prosi o wybaczenie. Został wezwany na Downing Street. W rezultacie tego... hmmm... incydentu z ostatniego wieczoru. Telefonowałem do pana, ale niestety, już pan wyszedł.

Młody człowiek mówił szybko dalej:

- Pan Blunt upoważnił mnie, abym spytał pana, czy mógłby pan spędzić weekend w jego posiadłości w Kent. Posiadłość leży w Exsham. Jeżeli wyrazi pan zgodę, to jutro wieczorem przyjedzie po pana samochodem.

Poirot zawahał się.

Młody człowiek dodał przekonująco:

- Pan Blunt naprawdę bardzo chciałby widzieć się z panem.

Herkules Poirot skinął głową i powiedział:

- Dziękuję. Zgadzam się.

- O, to wspaniale. Pan Blunt będzie zachwycony. Jeżeli przyjedzie po pana za piętnaście szósta, to... o, dzień dobry, pani Olivera...

W progu ukazała się matka Jane Olivera. Była bardzo elegancko ubrana, z nisko opuszczonym na czoło kapeluszem na; starannej fryzurze.

- O, pan Selby. Czy pan Blunt dał panu jakieś instrukcje w sprawie krzeseł ogrodowych? Wczoraj wieczorem miałam z nim o tym pomówić, ponieważ wiem, że wybieramy się na weekend i...

Pani Olivera zauważyła Poirota i przerwała:

- Czy zna pan panią Olivera, monsieur Poirot?

- Miałem już przyjemność spotkać panią, madame.

Poirot skłonił się.

Pani Olivera powiedziała niewyraźnie:

- O? Witam pana. Oczywiście, panie Selby, wiem, że Alistair jest zawsze bardzo zajęty i że te drobne, domowe sprawy wydają mu się bez znaczenia...

- Wszystko jest w porządku, proszę pani - wtrącił sprawny pan Selby. - Mówił mi o tym i dzwoniłem już w tej sprawie do firmy Messrs Deevers.

- To świetnie, spadł mi kamień z serca. A teraz, panie Selby, może powie mi pan...

Pani Olivera gdakała. Poirot pomyślał nagle, że gdacze jak kura. Duża, tłusta kura! Pani Olivera, nadal gdacząc, skierowała się majestatycznie w ślad za swoim biustem do drzwi.

- ...i jeżeli jest pan zupełnie pewny, że podczas tego weekendu będziemy zupełnie sami...

Pan Selby zakaszłał.

- Hmm... Monsieur Poirot również jest zaproszony na weekend.

Pani Olivera zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na Poirota z wyraźnym obrzydzeniem.

- Czy to prawda?

- Pan Blunt był tak uprzejmy i zaprosił mnie - rzekł Poirot.

- No cóż, dziwię się... To dość dziwne zaproszenie. Proszę mi wybaczyć, monsieur Poirot, ale pan Blunt wyraźnie mi powiedział, że to będzie wyłącznie spokojny, rodzinny weekend!

Pan Selby wtrącił stanowczo:

- Pan Blunt specjalnie sobie życzy, aby przybył też monsieur Poirot.

- O, czyżby? Mnie o tym nic nie mówił.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanęła w nich Jane.

- Mamo, czy przyjdiesz wreszcie? - powiedziała niecierpliwie. - Spotykamy się na lunchu o pierwszej piętnaście!

- Już idę, Jane. Nie bądź taka niecierpliwa.

- No, ale na litość boską, pospiesz się... Halo, monsieur Poirot!

Uspokoiła się nagle, jej rozdrażnienie uległo zamrożeniu, oczy stały się bardziej ostrożne.

Pani Olivera powiedziała chłodno:

- Monsieur Poirot przyjeżdża do Exsham na weekend.

- O, rozumiem...

Jane Olivera cofnęła się, aby przepuścić matkę, po czym odwróciła się.

- Monsieur Poirot!

Jej głos brzmiał rozkazująco.

Poirot przeszedł przez pokój i zbliżył się do niej.

- Pan przyjeżdża do Exsham? - zapytała cicho. - Dlaczego?

Poirot wzruszył ramionami i rzekł:

- Zgodnie z uprzejmą wolą pani wuja.

- Ale przecież on nie może wiedzieć... on nie może... Kiedy pana zaprosił? To przecież zupełnie niepotrzebne...

- Jane! - Dobiegło wołanie matki.

Jane powiedziała cichym, nalegającym głosem:

- Trzymać się z dala. Proszę nie przyjeżdżać. Wyszła. Poirot usłyszał głosy sprzeczki. Dobiegł go wysoki, narzekający, gdaczący głos pani Olivera:

- Ja naprawdę nie będę tolerowała twojego zachowania, Jane... Muszę zająć się tym, abyś przestała się wtrącać.

- A więc jutro przed szóstą, monsieur Poirot? - rzekł sekretarz.

Poirot odruchowo skinął głową. Stał jak człowiek, który zobaczył upiora. Lecz to nie oczy, lecz uszy spowodowały ten szok. Dwa zdania, które dotarły do jego uszu zza drzwi, były prawie identyczne z tymi, które usłyszał ostatniego wieczoru przez telefon i teraz wiedział, dlaczego tamten głos wydał mu się dziwnie znajomy.

Wyszedł na słońce i potrząsnął głową całkowicie zaskoczony.

Pani Olivera?

Ależ to zupełnie niemożliwe! Nie mogła telefonować do niego pani Olivera! Ta pusta, zimna, tępa, zarozumiała egoistka? Jak on ją nazywał przed chwilą? Duża, tłusta kura? "C'est ridicule*" - mruknął do siebie Herkules Poirot.

Pomyślał, że chyba uszy musiały go zawieść. A jednak...

Krótko przed szóstą zajechał po Poirota rolls.

Pasażerami byli Alistair Blunt i jego sekretarz. Pani Olivera i Jane widocznie pojechały już wcześniej innym samochodem.

Droga była niezbyt interesująca. Blunt mówił mało, przeważnie o swoim ogrodzie i o niedawnej wystawie ogrodniczej.

Poirot pogratulował Bluntowi szczęśliwego uniknięcia śmierci, na co ten odpowiedział:

- Ach, to! Nie sądzę, aby ten człowiek strzelał specjalnie do mnie. W każdym razie biedak nie umiał dobrze celować. To jeden z tych półobłąkanych studentów, oni w istocie są nieszkodliwi. Pewnie wyobrażał sobie, że taki strzał do premiera zmieni historię. To doprawdy patetyczne.

- Czy były jeszcze jakieś inne zamachy na pańskie życie?

- To brzmi całkiem melodramatycznie - rzekł Blunt z nikłym uśmiechem. - Niedawno ktoś przestał mi pocztą bombę. Ale nie była to skuteczna bomba. Pan chyba wie, że istnieją tacy faceci, którzy chcą rządzić światem. Ludzie, którzy nie potrafią nawet skonstruować skutecznie działającej bomby, chcą rządzić światem?

Potrząsnął głową.

- Zawsze to samo - długowłosi, nieprzytomni idealisci - bez krzty praktycznej wiedzy w głowach. Ja nie należę do cwaniaków, ale umiem czytać, pisać i znam arytmetykę. Czy wie pan, co chcę przez to powiedzieć?

- Domyślam się, ale proszę mi to bliżej wyjaśnić.

- No, jeżeli czytam coś, co jest napisane po angielsku - wówczas rozumiem, co to znaczy - pod warunkiem, oczywiście, że nie są to jakieś abstrakcyjne wynurzenia, wzory albo filozofia, tylko napisane jest zwykłym, potocznym językiem. Jednak wielu ludzi tego nie rozumie! Jeżeli chcę coś napisać - po prostu piszę to, co myślę, odkryłem jednak, że wielu ludzi również i tego nie potrafi! A ponadto, jak już zaznaczyłem, znam arytmetykę. Jeżeli na przykład Jones miał osiem bananów, a Brown dostał z tego dziesięć, to ile bananów zostało Jonesowi? Wielu ludzi uważa, że istnieje na to prosta odpowiedź. Nie mogą dopuścić myśli, że po pierwsze, Brown nie mógł dostać dziesięciu bananów, a po drugie, że odpowiedź nie może dotyczyć ilości bananów wyrażonej znakiem dodatnim!

- Może ktoś wolałby, aby odpowiedź zawierała jakąś magiczną sztuczkę?

- Zgadza się. Właśnie takie błędy popełniają politycy. Ale ja zawsze kieruję się zdrowym rozsądkiem. W efekcie, rozumie pan, nie można tego podważyć.

Po chwili dodał z uśmiechem zakłopotania:

- Nie powinienem stale mówić o interesach. To złe przyzwyczajenie. Opuszczając Londyn, powinienem zostawić te wszystkie sprawy za sobą. Już z góry cieszę się, że będę mógł usłyszeć kilka z pańskich przygód, monsieur Poirot. Czytam dużo dreszczowców i powieści kryminalnych. Czy uważa pan, że choć w części przypominają rzeczywistość?

Podczas dalszej podróży rozmowa upłynęła na wspomnianiu przygód Herkulesa Poirot. Alistair Blunt okazał się słuchaczem chciwym detali jak uczniak.

Tę miłą atmosferę przerwał chłód pojawienia się w Exsham, gdzie spoza swego masywnego biustu pani Olivera promieniowała mrozącym niezadowoleniem. Zignorowała Poirota tak dalece, jak to tylko było możliwe, zwracając się jedynie do gospodarza i pana Selby'ego.

Ten ostatni zaprowadził Poirota do jego pokoju.

Dom był przyjemny, chociaż niezbyt duży. Umeblowany ze smakiem, podobnie jak to Poirot stwierdził w londyńskiej posiadłości Blunta. Wszystko tu było kosztowne, lecz proste. Bogactwo wyrażało się jedynie poprzez tę niby-prostotę i spokój. Służba była wspaniała, kucharz Anglik, nie z kontynentu, a wino podane do obiadu wzniesiło u Poirota uczucie jeszcze większego zachwytu. Wspaniała, klarowna zupa, pieczona ryba, comber z jagnięcia z młodym groszkiem, a na deser truskawki z bitą śmietaną.

Poirot był tym wszystkim tak zachwycony, że nawet niezmienny, lodowaty chłód pani Giwera i szorstkie zachowanie jej córki ledwo docierały do jego świadomości. Jane z jakiegoś powodu była wrogo do niego nastawiona. Przez cały czas, aż do końca obiadu, Poirot mętnie zastanawiał się, dlaczego!

Rozejrzawszy się po zgromadzonych przy stole, Blunt spytał z łagodną ciekawością:

- Helena dziś z nami nie je obiadu?

Usta Julii Olivera ściągnęły się w wąską linię.

- Droga Helena - powiedziała - przemęczyła się pracą w ogrodzie. Uważam, że lepiej zrobi, gdy pójdzie odpocząć do łóżka, zamiast trudzić się przebieraniem i przychodzeniem tutaj. Ona całkowicie podzieliła moje zdanie.

- Ach tak, rozumiem. - Blunt spojrział niepewnie, trochę zaskoczony. - Sądziłem, że to trochę rozerwałoby ją w czasie weekendu.

- Helena jest taka skromna i lubi chodzić wcześniej spać - powiedziała stanowczo Julia.

Poirot przyłączył się do pań w salonie, a Blunt pozostał przez kilka minut z sekretarzem. Poirot usłyszał, jak Jane powiedziała do matki:

- Wuj Alistair nie bardzo lubi tego chłodnego sposobu, w jaki traktujesz Helen Montessor, mamo.

- Nonsens - odrzekła twardo pani Olivera. - Alistair jest zbyt beztroski i dobrotliwy, osobiście nic nie mam przeciwko biednym krewnym... i to uprzejme z jego strony, że pozwala jej mieszkać za darmo w tym domku, ale myśl o tym, że siedziałyby z nami przy każdym obiedzie w czasie weekendów to absurd! Ona jest tylko dalszą kuzynką. Sądzę, że nie powinna wykorzystywać Alistaira!

- Ja myślę, że ona jest na swój sposób dumna - powiedziała Jane. - Bardzo dużo pracuje w ogrodzie.

- Uważam, że to stosowne zachowanie - stwierdziła pani Olivera spokojnie. - Szkoci są zawsze bardzo niezależni i za to należy ich szanować.

Usiadła wygodnie na kanapie i, ciągle nie zwracając najmniejszej uwagi na Poirota, dodała:

- Kochanie, przynieś mi "Low Down Review". Jest tam coś o Loisie van Schuyler i jej Przewodniku po Maroku.

W drzwiach pojawił się Alistair Blunt.

- A teraz, monsieur Poirot - rzekł - poproszę pana do mojego gabinetu.

Sanktuarium Alistaira Blunta stanowił długi, niski pokój położony na tyłach domu. Okna wychodziły na ogród. Pokój urządzony był wygodnie i wyposażony w głębokie, miękkie fotele i kanapy, panował w nim miły nieład, czyniący go bardziej swojskim.

(Daremnie jednak sądzić, że przypadło to do gustu Herkulesowi Poirot - on wolał idealną symetrię!)

Po zaoferowaniu gościowi papierosa i zapaleniu fajki, Alistair Blunt natychmiast przeszedł do rzeczy.

- Mogę z całą pewnością stwierdzić - powiedział - że jest wiele rzeczy, z których nie jestem zadowolony. Oczywiście, dotyczy to tej kobiety o nazwisku Sainsbury Seale. Z różnych przyczyn - powodów, które bez wątplenia są uzasadnione - władze odwołały poszukiwania jej. Nie wiem dokładnie, kim jest Albert Chapman ani też czym on się zajmuje, ale cokolwiek by robił, jest to dość ważne i łatwo mógł się znaleźć w przykrew sytuacji. Nie jestem wystarczająco poinformowany, ale premier powiedział, że nie wolno pozwolić na żaden rozgłos i że lepiej, aby cała ta sprawa poszła w zapomnienie. Taki jest oficjalny punkt widzenia i oni wiedzą, co należy robić. Tak więc policja ma ręce związane. - Pochylił się do Poirota. - Ale ja chcę znać prawdę, monsieur Poirot. I pan jest tym człowiekiem, który ją dla mnie odkryje. Pana nie krępują żadne oficjalne więzy.

- Czego pan ode mnie chce, panie Blunt?

- Chcę, aby znalazł pan tę kobietę - Sainsbury Seale.

- Żywą czy umarłą?

Alistair Blunt uniósł brwi.

- Sądzi pan, że możliwe, aby ona nie żyła?

Herkules Poirot przez chwilę milczał, następnie powiedział powoli, ważąc słowa:

- Jeżeli chce pan wiedzieć, co ja o tym sędzę - a będzie to, proszę pamiętać, tylko moje własne zdanie - to przypuszczam, że ona nic żyje...

- Na czym opiera pan swoje przypuszczenia?

Poirot uśmiechnął się i rzekł:

- Być może, że to, co powiem, nie będzie miało dla pana sensu, ale przypuszczenie moje opieram na parze nowych pończoch w szufladzie.

Alistair Blunt spojrział na detektywa z zaciekawieniem.

- Jest pan dziwnym człowiekiem, monsieur Poirot.

- Tak, jestem bardzo dziwny. I, jak to się mówi, jestem metodyczny, dokładny i logiczny. Nigdy nie dopasowuję faktów do teorii, nawet jeżeli to, co odkryję, jest niezwykle!

- Ciągłe myślę o tym wszystkim i dochodzę do wniosku - powiedział Alistair Blunt - że cały ten interes jest piekielnie niezwykle! Wydaje mi się, że ten dentysta, który się zastrzelił, ta pani Chapman wpakowana do własnej skrzyni na futra, ta zmasakrowana twarz - wszystko to jest obrzydliwe! Cholernie obrzydliwe! Nie mogę wyzbyć się myśli, że coś się za tym kryje.

Poirot skinął głową.

Blunt ciągnął dalej:

- I wie pan... im dłużej myślę o tej sprawie, tym bardziej jestem przekonany, że ta kobieta nigdy nie знаła mojej żony. Był to tylko pretekst, aby ze mną rozmawiać. Tylko po co? Na co jej się to mogło przydać? Nie myślę o tym małym datku, nie robiła tego we własnym interesie, tylko stowarzyszenia. A przecież czuję, że... że to wszystko było sprytnie zaplanowane, mam na myśli to przypadkowe spotkanie przed domem. To było zbyt przypadkowe. Podejrzanie przypadkowe! Tylko po co? Ustawicznie zadaję sobie to pytanie... dlaczego?

- Tak, to właściwe pytanie: dlaczego? Ja również zadaję sobie podobne pytanie i nie potrafię na nie odpowiedzieć. Tak, nie znam odpowiedzi.

- Nie ma pan żadnych teorii w tej sprawie?

Poirot z przygnębieniem machnął ręką.

- Moje teorie są całkowicie dziecinne. Może to był podstęp, aby pana komuś wskazać. Ale z drugiej strony to absurdalne, bowiem jest pan znanym człowiekiem i prościej było powiedzieć: "Patrz, to on - ten, który właśnie wszedł tymi drzwiami".

- No dobrze, ale dlaczego ktoś miałby mnie komuś wskazywać? - zapytał Alistair Blunt.

- Panie Blunt, niech pan jeszcze raz wróci myślą do tego ranka, kiedy siedział pan w fotelu dentystycznym. Czy zauważył pan coś niezwykłego w zachowaniu Morleya? Czy przypomina pan sobie coś, co mogłoby naprowadzić nas na rozwiązanie zagadki śmierci dentysty?

Alistair Blunt ściągnął brwi w zamyśleniu. Następnie potrząsnął głową.

- Bardzo mi przykro, ale niczego takiego sobie nie przypominam.

- Jest pan całkiem pewny, że nie wspomniał nazwiska Sainsbury Seale?

- Nie.

- A może mówił coś o innej kobiecie... O pani Chapman?

- Nie... nie... w ogóle nie mówiliśmy o ludziach. Mówiliśmy o różach, o tym, że ogrody potrzebują deszczu, o wakacjach... i to wszystko.

- Czy w czasie, gdy się pan tam znajdował, wchodził ktoś do gabinetu?

- Chwileczkę... nie, myślę, że nie. Pamiętam, że w czasie innej wizyty widziałem tam młodą kobietę, jasnowłosą dziewczynę. Ale wówczas jej tam nie było. Ach tak, przypominam sobie, że wtedy wszedł tam ten drugi dentysta... facet z irlandzkim akcentem.

- Co mówił albo co robił?

- Zadał Morleyowi kilka pytań i wyszedł. Wydaje mi się, że Morley był tym trochę zniecierpliwiony. Był tam tylko minutę czy coś koło tego.

- I nic więcej nie może pan sobie przypomnieć? Nic więcej?

- Nie. Zachowywał się zupełnie normalnie.

Herkules Poirot powiedział w zamyśleniu:

- Mnie również wydawał się zupełnie normalny. Nastąpiła dłuższa przerwa. Następnie Poirot powiedział:

- Czy przypadkowo przypomina pan sobie młodego mężczyznę, który znajdował się w poczekalni na parterze owego dnia, kiedy i pan był u dentysty?

Alistair Blunt zmarszczył brwi.

- Zaraz, zaraz... Tak, był tam jakiś młodzieniec... zachowywał się dosyć niespokojnie. Ale dokładnie nie przypominam go sobie. Dlaczego pan pyta?

- Poznałby go pan, gdyby go pan zobaczył jeszcze raz? Blunt potrząsnął głową.

- Ledwo zwróciłem na niego uwagę.

- Nie próbował z panem rozmawiać?

- Nie. - Blunt patrzył z zainteresowaniem. - Jakie to ma znaczenie? Kim był ten młodzieniec?

- Nazywa się Howard Raikes.

Poirot niecierpliwie czekał na jakąkolwiek reakcję, ale zawiódł się.

- Czy powinienem znać to nazwisko? Spotkałem go gdzieś?

- Nie sądzę, aby go pan spotkał. To przyjaciel pańskiej siostrzenicy, panny Olivera.

- Och, jeden z przyjaciół Jane.

- Jej matka, jak sądzę, nie aprobeuje tej przyjaźni. Alistair Blunt powiedział z roztargnieniem:

- Nie przypuszczam, aby to miało dla Jane jakieś znaczenie.

- Jednak matka potraktowała tę przyjaźń tak poważnie, że sprowadziła córkę ze Stanów, aby trzymać ją z dala od tego młodego człowieka.

- Och! - Na twarzy Blunta pojawił się wyraz zaskoczenia. - Więc to ten facet?

- Tak, a zatem teraz bardziej się pan nim interesuje.

- Istotnie, to facet, którego, jak sądzę, w żaden sposób nie można tolerować. Jest zamieszany w wiele wywrotowych akcji.

- Dowiedziałem się od panny Olivera, że umówił się na spotkanie na Charlotte Street wyłącznie w tym celu, aby się panu przyjrzeć.

- I może spróbować, zdobyć moją akceptację?

- No, niezupełnie... Sądzę, że to raczej on miał pana zaakceptować.

- Co za cholerna bezczelność!

Poirot ukrył śmiech.

- Wydaje mi się, że pan swoją osobą przedstawia wszystko to, czego on właśnie nie aprobeuje.

- Natomiast on z całą pewnością należy do tego rodzaju młodych ludzi, których ja nie mogę zaakceptować! Zamiast uczciwie pracować, trwoni czas na gadanie bredni!

Poirot przez chwilę milczał, po czym rzekł:

- Czy wybaczy mi pan, że zadam teraz niezbyt grzeczne pytanie natury osobistej?

- Niech pan pyta.

- Jakie pan wydał dyspozycje w razie pańskiej śmierci? Blunt spojrzał zaskoczony.

- Dlaczego chce pan to wiedzieć? - spytał ostro.

- Ponieważ istnieje duża możliwość - Poirot wzruszył ramionami - że to może mieć coś wspólnego z tą sprawą.

- Nonsens!

- Być może. Ale może też i nie.

Alistair Blunt powiedział chłodno:

- Sądzę, że pan jest niepotrzebnie melodramatyczny, monsieur Poirot. Nikt nie próbował mnie zamordować...

- A bomba na śniadanie, a strzał na ulicy...?
 - Ach to! Każdy człowiek zajmujący jakieś znaczące miejsce w światowej finansjerze narażony jest na napaści różnego rodzaju szalonych fanatyków!
 - Jednak może znaleźć się ktoś, kto nie będzie ani fanatykiem, ani szaleńcem.
- Blunt wlepił w niego wzrok.
- Do czego pan zmierza?
 - Mówiąc szczerze, chcę wiedzieć, kto skorzystałby na pańskiej śmierci?
- Blunt uśmiechnął się ironicznie.
- Przede wszystkim Szpital św. Edwarda, Szpital Onkologiczny, Królewski Instytut dla Ociemniałych.
 - Ach!
 - Dodatkowo zapisałem pewną sumę mojej siostrzenicy, pani Julii Olivera, i tyle samo jej córce, Jane Olivera, ale pod kuratelą. Ponadto wysoką kwotę zapisałem mojej jedynej żyjącej krewnej, kuzynce drugiego stopnia, Helen Montessor, która znalazła się w oplakanej sytuacji finansowej. Zamieszkuje mały domek stojący na terenie tutejszej posiadłości.
- Po przerwie ciągnął dalej:
- Oczywiście, wszystko to panu mówię w całkowitym zaufaniu, monsieur Poirot.
 - Naturalnie, monsieur, naturalnie.
- Alistair Blunt dodał sarkastycznie:
- Przypuszczam, że nie sugeruje pan, iż Julia albo Jane Olivera czy też Helen Montessor planują zamach na mnie w celu uzyskania spadku?
 - Niczego nie sugeruję... Ja w ogóle niczego nie sugeruję.
- Zdenerwowanie Blunta nieznacznie opadło.
- Czy podejmie się pan wykonania proponowanego przeze mnie zadania? - zapytał Blunt.
 - Mam odnaleźć pannę Sainsbury Seale? Tak, oczywiście, podejmę się.
- Alistair Blunt powiedział serdecznie:
- Porządny z pana gość.

VII

- Opuszczając pokój, Poirot prawie zderzył się za drzwiami ze smukłą panną.
- Proszę mi wybaczyć, mademoiselle - przeprosił. Jane Olivera odsunęła się nieco na bok.
 - Wie pan, co o panu myślę, monsieur Poirot? - spytała.
 - Eh bien... mademoiselle...
- Nie dała mu dokończyć. Jej pytanie w istocie miało wartość raczej retoryczną i wydawało się, że sama miała zamiar na nie odpowiedzieć.
- Jest pan szpiclem... Oto, kim pan jest! Nędznym, podłym, wścibskim szpiclem, który węszy dookoła i sprawia kłopot!
 - Ależ zapewniam panią, mademoiselle...
 - Dokładnie wiem, o co panu chodzi! I teraz wiem, że jest pan pospolitym łgarzem! Dlaczego pan się po prostu do tego nie przyzna? No dobrze, coś panu powiem - niczego pan tu nie znajdzie! Niczego! Tu nie ma niczego do znalezienia! Żaden włos nie spadnie z głowy mego wuja. Jest zupełnie bezpieczny. Zawsze będzie bezpieczny. Bezpieczny, pewny siebie i cieszący się powodzeniem... i piekielnie banalny! Typowy biznesmen - John Bull. Bez krzty wyobraźni lub fantazji.
- Przerwała, a jej zwykle miły głos stał się teraz jadowity i głęboki.
- Brzydzą się pańskim mieszczańskim wyglądem - mówiła. - Ty przekłety, mały detektywie!
- Odwróciła się na pięcie, wirując kosztowną i modną suknią.
- Herkules Poirot pozostał na miejscu z oczami szeroko otwartymi, wysoko uniesionymi brwiami i ręką troskliwie gładzącą wąsy.

Epitet "mieszczański", musiał przyznać, pasował do niego. Jego poglądy były właśnie typowo mieszczańskie, i zawsze takie były, ale teraz to określenie, wypowiedziane przez elegancką Jane Olivera, wywołało u Poirota zawrót głowy.

Stale o tym myśląc, skierował się do salonu.

Pani Olivera stawiała pasjansa.

Spojrzała na niego tak obojętnie, jakby miała przed sobą rozdeptanego chrabąszcza, i zamruczała do siebie niejasno:

- Czerwony walet na czarną królową. Zmrożony Poirot cofnął się. Pomyślał ze smutkiem: "Wydaje się, że nikt mnie tu nie lubi!"

Przez oszklone drzwi wyszedł do ogrodu. Wieczór był czarujący, pełen zapachu kwiatów. Poirot z rozkoszą wdychał ich woń i skierował się ścieżką między dwoma rzędami ziół.

Minął zakręt i dwie ciemne postacie odskoczyły od siebie. Chyba swoją obecnością zakłócił idyllę zakochanych.

Poirot pospiesznie zawrócił i podążył swoim śladem z powrotem.

Nawet tutaj, jak się wydawało, jego obecność była de trop*.

Mijając okna gabinetu Alistaira Blunta dostrzegł, że dyktuje on coś Selby'emu.

Zdawać by się mogło, że tylko jedno miejsce jest przeznaczone dla Herkulesa Poirot.

Skierował kroki do swojego pokoju.

Przez jakiś czas zastanawiał się nad różnymi fantastycznymi aspektami tej sytuacji.

Mylił się czy też nie, wierząc, że głos w telefonie był głosem pani Olivera? Niezawodnie hipoteza ta była absurdalna!

Następnie przypomniał sobie melodramatyczne rewelacje flegmatycznego, małego pana Barnes'a i zaczął spekulować na temat tajemniczych miejsc pobytu pana Q.X.912 alias Alberta Chapmana. Z dozą rozdrażnienia przypomniał sobie niepokój w oczach służącej Agnes...

Zawsze to samo; ludzie zawsze coś ukrywają. Przeważnie nic nie znaczące rzeczy, bez których jednak niemożliwe jest odnalezienie drogi prowadzącej do wykrycia prawdy.

Teraz droga w żaden sposób nie prowadziła do wykrycia prawdy! Najbardziej nie dającą się wytłumaczyć przeszkodą na tej drodze był niezwykle problem zniknięcia panny Sainsbury Seale. Jednak, jeśli fakty, które zebrał Herkules Poirot, były prawdziwe - wówczas nic nie miało sensu!

- Czy to możliwe, żebym się już zaczął starzeć? - westchnął ze zdumieniem Poirot.

JEDENASTE, DWUNASTE, PUŁAPKI PRZEPASTNE

I

Po męczącej nocy Poirot następnego dnia wstał wcześniej. Ponieważ była piękna pogoda, skierował kroki do miejsca, gdzie spacerował minionego wieczoru.

Dróżka wśród ziół przedstawiała piękny widok i chociaż Poirot wolał inny układ kwiatów, bardziej symetryczny, czysty, prawidłowy układ grządek szkarłatnego geranium, taki, jaki widział w Ostendzie - mimo wszystko przyznał, że oddano tu perfekcyjnie ducha angielskiego ogrodu.

Poszedł przez ogród różany, gdzie układ grządek zachwycił go, i krętą ścieżką zbliżył się do alpinarium, minął je i znalazł się w ogrodzonym murem ogrodzie warzywnym.

Dostrzegł tu masywną kobietę ubraną w tweedowy żakiet i spódnicę; miała czarne brwi i krótko obcięte czarne włosy. Zwracając się do ogrodnika, mówiła wolno i dobitnie, z wyraźnym szkockim, akcentem. Ogrodnik, jak zauważył Poirot, nie był zbyt zadowolony z tej rozmowy.

Sarkastyczne nuty w głosie Helen Montessor sprawiły, że Poirot zwinnie skręcił w boczną ścieżkę.

Ogrodnik, który, jak słusznie podejrzewał Poirot, prawdopodobnie dotąd odpoczywał wsparty na łopacie, teraz rozpoczął kopać z zapalem. Poirot podszedł bliżej. Młody mężczyzna odwrócił się i kopał szybko, a Poirot stanął i obserwował go z zainteresowaniem.

- Dzień dobry - rzekł uprzejmie Poirot.

- ...dobry, sir - mruknął mężczyzna, nie przerywając pracy.

Poirot był zdumiony. Z doświadczenia wiedział, że ogrodnicy, chociaż wydają się pełni ochoty do pracy, zagadnięci, przerywają i chętnie wdają się w rozmowę.

Pomyślał, że jego zachowanie wydaje się trochę nienaturalne. Poirot stał przez kilka minut, obserwując pracującego. Czyżby było coś znajomego w ruchach ramion tego człowieka? Czyżbym - pomyślał Poirot - zaczynał myśleć, że głosy i ramiona wydają mi się znajome, podczas gdy tak nie jest? I znów Poirot zadał sobie ze strachem pytanie, podobnie jak wczorajszego wieczoru: "Czyżbym już się starzał?"

W zamyśleniu opuścił ogród warzywny i zatrzymał się, patrząc na grupę bujnych krzewów.

Teraz, jajowata głowa Herkulesa Poirot zajaśniała na tle muru ogrodu warzywnego jak jakiś fantastyczny księżyc.

Jego oczy spoczęły z zainteresowaniem na twarzy młodego ogrodnika, który przerwał kopanie i wycierał rękawem mokre od potu czoło.

- Bardzo ciekawe i bardzo interesujące - mruknął Poirot, dyskretnie chowając głowę. Wszedł zza krzaków i strzasnął ręką gałązki i liście szpecące wygląd jego ubrania.

Tak, to istotnie niezwykle ciekawe i interesujące, że Frank Carter, który niby to ma posadę sekretarza na prowincji, pracuje właśnie jako ogrodnik w służbie Alistaira Blunta.

Zastanawiając się nad tym, Poirot usłyszał dźwięk gongu. Odwrócił się i skierował w stronę domu.

Po drodze natknął się na gospodarza rozmawiającego z panną Montessor, która wynurzyła się z odległych drzwi warzywnego ogrodu.

Jej głos dźwięczał jasno i wyraźnie.

- To uprzejmie z twojej strony, Alistairze. Jednak wolę nie przyjmować żadnych zaproszeń w tym tygodniu, kiedy przebywają tu twoi amerykańscy krewni!

Blunt odrzekł:

- Julia jest trochę nietaktowna, ale ona nie ma zamiaru cię...

Panna Montessor przerwała spokojnie:

- Według mnie, ona jest bezczelna, a ja nie pozwolę się obrażać jakimś Amerykankom... Ani nikomu innemu!

Panna Montessor zawróciła. Poirot podszedł do Blunta, który patrzył pokornym i przestraszonym wzrokiem przed siebie, tak jak wszyscy ci, którzy mają kłopoty z żeńską połową swoich krewnych.

- Kobiety to prawdziwe szatany! - powiedział żałośnie Blunt. - Dzień dobry, monsieur Poirot.

Wspaniały ranek, prawda?

Poszli w kierunku domu.

- Brak mi mojej żony - westchnął Blunt.

W jadalni zwrócił się do groźnej Julii:

- Obawiam się, Julio, że uraziłaś Helen.

Pani Olivera odparła ponuro:

- Szkoci zawsze są przewrażliwieni.

Alistair Blunt wyglądał nieszczęśliwie.

- Zauważyłem, że ma pan młodego ogrodnika - rzekł Poirot. - Przypuszczam, że jest tu od niedawna.

- Tak. Pewnie mówi pan o tym, którego przyjąłem przed trzema tygodniami, kiedy odszedł Burton, mój trzeci ogrodnik.

- Czy przypomina pan sobie, skąd przyszedł?
 - Nie mam pojęcia. Zaangażował go MacAlister. Zapewne ktoś zaproponował mi, abym przyjął go na próbę. Miał dobre rekomendacje. Byłem tym zaskoczony, ponieważ MacAlister twierdzi, że nie jest zbyt dobry. Chce go zwolnić.
 - Jak się nazywa ten nowy ogrodnik?
 - Dunning... Sunbury... czy coś takiego.
 - Czy popełnię wielki nietakt, jeśli zapytam, ile mu pan płaci?
- Alistair Blunt spojrzał rozbawiony.
- Ależ nie. Wydaje mi się, że otrzymuje dwa funty i piętnaście.
 - Nie więcej?
 - Nie, nie więcej... Może nawet mniej.
 - Tak - rzekł Poirot. - To bardzo ciekawe. Blunt spojrzał na niego pytająco, lecz w tym momencie Jane zaszeleściła gazetą, przerywając rozmowę.
 - Wydaje się, że wielu ludzi próbuje ci zaszkodzić, wujku Alistairze!
 - O, widzę, że czytałaś sprawozdanie z debaty w parlamencie. Nie przejmuj się, wszystko jest w porządku. Tylko Archerton... On zawsze walczy z wiatrakami. Ma najbardziej zwariowane pomysły, jeśli chodzi o sprawy finansowe. Gdybyśmy postępowali zgodnie z jego radami, Anglia w ciągu tygodnia byłaby bankrutem.
 - A czy ty nigdy nie chcesz spróbować czegoś nowego? - zapytała Jane.
 - Nie, chyba że wyszłoby to na dobre staremu, moja droga.
 - Ale nigdy nie pomyślałaś, że to mogłoby wyjść na dobre. Zawsze powtarzasz: "To i tak nie będzie działało" - i nigdy nie spróbujesz.
 - Ci, którzy eksperymentują, mogą narobić wiele szkód.
 - Tak, ale jak możesz być zadowolony z obecnego stanu rzeczy! Z całego tego marnotrawstwa, z tej nierówności i niesprawiedliwości. Coś przecież trzeba z tym zrobić!
 - Jakoś, mimo wszystko, dajemy sobie radę w tym kraju, Jane.
- Jane powiedziała ze złością:
- Potrzebujemy nowego nieba i ziemi! A ty tu siedzisz sobie i spokojnie zajadasz cynaderki!
- Wstała i wyszła do ogrodu.
- Alistair patrzył w ślad za nią, trochę zaskoczony i zakłopotany.
- Jane ostatnio bardzo się zmieniła - powiedział. - Skąd ona bierze te pomysły?
 - Nie zwracaj uwagi na to, co mówi Jane - rzekła pani Olivera. - Jane to bardzo głupia dziewczyna. Wiesz, jakie one wszystkie są teraz. Chodzą na ekscentryczne przyjęcia, gdzie młodzieniec stroi się w zabawne krawaty, a potem przynoszą do domu setki nonsensów.
 - Zgadzam się z tobą, ale Jane zawsze była raczej upartą, młodą kobietą.
 - To tylko taka moda, Alistairze, obecnie tego rodzaju rzeczy unoszą się w powietrzu!
 - Tak, oni istotnie bujają w obłokach - zgodził się Blunt. Wydawało się, że jest trochę zaniepokojony.
- Pani Olivera nagle wstała, Poirot otworzył jej drzwi, i, krzywiąc się do siebie, wyszła szybko.
- Wie pan, strasznie tego nie lubię! - powiedział nagle Blunt. - Wszyscy wygłaszają takie nadęte frazesy, pod którymi nic się nie kryje. Wszystko to puste gadanie! Ciągłe muszę z tym walczyć - "Nowe niebo i nowa ziemia". Co to ma znaczyć? Tego nie potrafię wytłumaczyć!
- Upajają się takimi słowami.
- Nagle uśmiechnął się trochę ze smutkiem.
- Widzi pan, ja należę do ostatnich przedstawicieli starej gwardii.
- Poirot spytał z ciekawością:
- Jeżeli zostałyby pan... usunięty, co wtedy może się stać.
 - Gdyby mnie usunięto!! Dziwnie pan to określił! - Jego twarz nagle przybrała ponury wyraz.
 - Powiem panu. Wielu cholernych głupców chciałoby zastosować wiele kosztownych

eksperymentów. Wtedy koniec ze stabilizacją, rozsądkiem i wypłacalnością. W istocie nastąpiłby wtedy koniec takiej Anglii, jaką znamy...

Poirot skinął głową. W zasadzie zgadzał się z opinią bankiera. On także pochwalał pełną wypłacalność. Zaczął teraz rozumieć, na czym naprawdę zależy Bluntowi. Barnes mówił mu już o tym, ale on wtedy zlekceważył jego słowa i nie zwrócił na nie uwagi. A teraz nagle zaczął się bać...

II

- Skończyłem pisać listy - rzekł Blunt, pojawiając się znów wczesnym przedpołudniem. - A teraz, monsieur Poirot, pokażę panu ogród.

Obaj mężczyźni wyszli z domu, a Blunt po drodze opowiadał z przejęciem o swoim hobby.

Skalny ogród z rzadkimi roślinami alpejskimi był jego oczkiem w głowie. Blunt zatrzymał się przed niektórymi, rzadkimi okazami i objaśniał z entuzjazmem.

Herkules Poirot, który właśnie miał na nogach najlepsze lakierki, słuchał cierpliwie, przestępując z nogi na nogę i krzywiąc się. Czuł, jak palące słońce zamienia jego stopy w gigantyczny budyń!

Gospodarz szedł wzdłuż szerokiej grządki, wskazując różne rośliny. Pszczoły brzęczały nad kwiatami, z boku dochodził monotony odgłos nożyc strzygących warzywiny żywopłot.

Wokoło panowała atmosfera sennego spokoju.

Blunt zatrzymał się na końcu grządki i obejrzał za siebie. Szczęk nożyc słychać było z bliska, ale nie widać było strzygącego.

- Spójrz pan na tę perspektywę, Poirot. Goździki brodate udały się w tym roku. Nie przypominam sobie, aby kiedyś były tak wspaniałe jak teraz. Łubiny Russela tworzą razem z nimi cudowny zestaw kolorów.

Trzask! Spokój poranka został brutalnie przerwany hukiem wystrzału. Coś groźnie świsnęło w powietrzu. Blunt odwrócił się, oszołomiony, w kierunku krzaków wawrzynu, skąd snuł się wąty dymek.

Słychać było z tego kierunku okrzyki. W krzakach szamotało się dwóch mężczyzn. Wybijał się wysoki, piskliwy głos Amerykanina.

- Mam cię, ty cholerny łotrze! Rzuć broń! Walczący wynurzyli się z krzaków. Młody ogrodnik, który wczesnym rankiem tak skrzętnie pracował, teraz wił się w silnym uścisku mężczyzny wyższego od niego prawie o głowę.

Poirot natychmiast rozpoznał tego drugiego, którego już przedtem poznał po głosie.

Frank Carter warknął wściekle:

- Zostaw mnie! Mówię ci, że to nie ja! Nigdy bym tego nie zrobił.

- O, czyżby? - mówił Howard Raikes. - Może polowałeś na ptaszki, co?

Przerwał i spojrzał na przybyłych.

- Alistair Blunt? Ten facet właśnie próbował pana zastrzelić. Złapałem go na gorącym uczynku.

Frank Carter krzyczał:

- On łże! Przycinałem żywopłot. Usłyszałem strzał i obok mojej lewej stopy upadła ta broń. Podniosłem ją... to chyba naturalne! A potem ten dzikus skoczył na mnie!

Howard Raikes powiedział ponuro:

- W chwili wystrzału ten pistolet znajdował się w twojej ręce i ty z niego strzelałeś!

Mówiąc to, rzucił pistolet Poirotowi.

- Zobaczymy, co ten szpicel powie o tym! Na szczęście chwyciłem go w porę. Przypuszczam, że można z tej broni oddać jeszcze kilka strzałów.

Poirot zamruczał:

- Zgadza się.

Blunt skrzywił się ze złością i powiedział ostro: - A więc, Dunnon... Dunbury... Jak się nazywasz? Herkules Poirot przerwał, mówiąc:

- Ten człowiek nazywa się Frank Carter.

Carter odwrócił się z wściekłością:

- Wiedziałeś przez cały czas! Próbowaleś cały czas mnie wkopać! Przyjechałeś tu szpiegować mnie. Mówię ci, że to nieprawda. Nigdy do niego nie strzelałem.

Herkules Poirot odpowiedział grzecznie:

- Wobec tego, kto to zrobił? I dodał:

- Jak pan widzi, nie ma tu nikogo poza nami.

III

Ścieżką biegła Jane Olivera. Jej oczy były pełne strachu, włosy rozwiane. Dysząc wyszeptała:

- Howard?

Raikes wyjaśnił:

- Halo, Jane, właśnie ocaliłem życie twemu wujowi.

- Och! - zatrzymała się. - To ty zrobiłeś?

- Pańska interwencja istotnie przysłała w porę, panie... - Blunt zawahał się.

- To Howard Raikes, wujku. Jest moim przyjacielem. Blunt uśmiechnął się i spojrzał na Raikesa.

- Tak? - rzekł. - Więc to pan jest adoratorem Jane? Muszę panu podziękować.

Z szumem lokomotywy na najwyższych obrotach pojawiła się Julia Olivera i wydyszała:

- Słyszałam strzał, Alistairze... Dlaczego... - zwróciła się do Raikesa: - Pan? Jak pan śmiał?

Jane powiedziała lodowato:

- Howard właśnie ocalił wujkowi Alistairowi życie, mamó.

- Co? Ja... Ja...

- Ten człowiek próbował zabić wujka Alistaira i Howard wyrwał mu broń z ręki.

Frank Carter rzucił gwałtownie:

- Wszyscy jesteście cholernymi łgarzami!

Pani Olivera oniemiała.

- Och! - Przez chwilę zbierała siły, a następnie zwróciła się do Blunta: - Drogi Alistairze, jakie to okropne! Dzięki Bogu, jesteś bezpieczny. To musiał być dla ciebie straszny szok. Czuję... czuję, że robi mi się słabo. Wydaje mi się, że... że dobrze by mi zrobiło trochę brandy, prawda?

Blunt odrzekł szybko:

- Oczywiście. Wracamy do domu.

Uczepiła się jego ramienia, ciężko na nim zwisając. Blunt obejrzał się na Poirota i Howarda Raikesa.

- Może pan zająć się tym facetem? - zapytał. - Zatelefonujemy na policje i przekazemy go w ich ręce.

Frank Carter otworzył usta, ale nic nie powiedział. Był śmiertelnie błydy, stał na uginających się nogach. Howard Raikes chwycił go brutalnie.

- Chodź ze mną - rzucił.

Carter mruknął bez przekonania ochryłym głosem:

- To wszystko kłamstwo...

Howard Raikes spojrzał na Poirota.

- Tak mało ma pan do powiedzenia, mimo że jest pan takim znanym szpiclem? Dlaczego teraz się pan nie wymądrza?

- Zastanawiam się, panie Raikes.

- Sądzę, że ma pan nad czym! Twierdzę, że może pan nawet z tego powodu stracić pracę. To przecież nie dzięki panu Alistair Blunt ciągle jeszcze żyje.

- To już pański drugi dobry uczynek tego rodzaju, monsieur Raikes, prawda?

- Co, u diabła, ma pan na myśli?

- Dopiero wczoraj pochwycił pan człowieka, który, jak pan sądził, strzelał do pana Blunta i premiera?

Howard Raikes odrzekł:

- Hm... Tak. Wygląda na to, że weszło mi to w krew.

- Teraz jest jednak pewna różnica... - Herkules Poirot przerwał. - Mężczyzna, którego pan ujął wczoraj, nie był tym, który właśnie wtedy strzelał. Popęłił pan pomyłkę.

Frank Carter wtrącił posepnie:

- Teraz znów się pomylił.

- Uspokój się - rzekł Raikes.

Herkules Poirot mruknął do siebie:

- Ciekawe...

IV

Herkules Poirot, przebierając się do obiadu i starannie wiążąc krawat, skrzywił się, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

Nie był zadowolony - jednak nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego. Przyznawał, że sprawa wydawała się jasna. Frank Carter został złapany na gorącym uczynku. Nie chodziło o to, aby wierzył w oświadczenia lub żeby darzył sympatią Franka Cartera. Carter był, jak to mawiają Anglicy: nie na miejscu. Był szorstkim młodzieńcem, do którego kobiety czują pociąg i z trudem wierzą w jego wyraźnie widoczne, złe cechy.

Wszystko, co opowiadał Carter, miało wiele słabych punktów. Na przykład jego historyjka o tym, jak został zwerbowany przez agentów Secret Service - i że zaoferowano mu wyjątkowo intratną pracę. Miał pracować jako ogrodnik i donosić, co robią i mówią inni ogrodnicy. Taką wersję łatwo zbić - nie było dostatecznych podstaw, aby była prawdziwa.

Była to słaba historyjka i Poirot doszedł do wniosku, że mógł to wymyślić właśnie taki człowiek jak Carter.

Nie było nic na potwierdzenie jego słów. Carter nie mógł dać innego wyjaśnienia, tylko takie, że to nie on strzelał. Bez przerwy powtarzał, że został wrobiony.

Tak, nie można było niczego powiedzieć w jego obronie. Poza tym, że wydawało się jednak dziwne, iż Howard Raikes akurat był obecny aż dwa razy pod rząd w momencie, gdy ktoś mierzył do Alistaira Blunta.

Może jednak nie miało to żadnego znaczenia. Przecież było całkowicie pewne, że Raikes nie strzelał na Downing Street, a teraz jego obecność była zupełnie uzasadniona - chciał być blisko swojej dziewczyny. Tak, jego historia była całkiem prawdopodobna.

Dla Howarda Raikesa była to oczywiście okoliczność szczęśliwa. Kiedy ktoś właśnie ocali cię od kuli, nie możesz mu zabronić bywania w twoim domu! Okażesz co najmniej mu przyjaźń i gościnność. Oczywiście, pani Olivera nie była z tego zadowolona, ale nawet i ona zdawała sobie sprawę, że nie może się temu przeciwstawić.

Niepożądany przyjaciel Jane wcisnął się do tego domu i teraz nie miał zamiaru go opuścić!

Poirot badawczo obserwował go przez cały wieczór.

Grał umiejętnie swoją rolę, nic nie mówił o swoich wywrotowych poglądach i trzymał się z daleka od polityki. Opowiadał zabawne historyjki o autostopie i wędrówkach po ostępach.

"Nie jest już wilkiem - pomyślał Poirot. - Nie, teraz założył owczą skórę. Ale co się pod nią kryje? Kto wie?..."

Przygotowując się do snu, Poirot usłyszał pukanie do drzwi. Zawołał: "Wejść!" i do pokoju wszedł Howard Raikes.

Zaśmiał się, widząc zaskoczenie Poirota.

- Nie spodziewał się pan mnie? Cały wieczór pana obserwowałem. Nie podobał mi się sposób, w jaki pan na mnie patrzył. Był pan taki jakiś zamyślony.

- Dlaczego to pana niepokoi?

- Sam nie wiem, ale niepokoi mnie to. Może znalazł pan coś trudnego do strawienia.

- Eh bien? A jeżeli tak?

- Zdecydowałem zatem, że lepiej to wyjaśnić. Mam -na myśli to, co się wydarzyło wczoraj. Ta historia była w całości spreparowana! Czekałem na wyjście Ich Lordowskich Mości przy Downing Street 10 i ujrzałem, jak Ram Lal do niego strzela. Znałem Rama Lala i wiedziałem, że to dobry chłopak. Trochę pobudliwy, ale obecnie bardzo silnie odczuwa zło, jakie spotkało Indie. Nic się jednak nie stało. Ci cenni sztywniacy nie zostali uszkodzeni - kula minęła ich o całe mile. Zdecydowałem się więc na to małe przedstawienie, w nadziei, że Hindus wydobędzie się z tego cało. Chwyciłem pierwszego lepszego oberwańca, który właśnie stał przy nim i krzyknąłem, że ująłem zamachowca. Przypuszczałem, że w ten sposób Ram Lal wywinie się z tego. Jednak tajniacy byli zbyt dobrzy. Złapali go błyskawicznie. Oto, jak się cała rzecz przedstawia. Rozumie pan?

Herkules Poirot odparł:

- A dzisiaj?

- Dzisiaj było inaczej. Dzisiaj nie było żadnego Rama Lala. Na miejscu był tylko Carter. To on strzelał! Ciągle jeszcze trzymał pistolet w ręku, kiedy go złapałem. Sądzę, że próbowałby strzelić po raz drugi.

- Bardzo się pan troszczy o bezpieczeństwo monsieur Blunta? - spytał Poirot.

Rakies uśmiechnął się czarująco.

- Po tym wszystkim, co powiedziałem wydaje się to panu, dziwne? O tak, ma pan rację, Blunt jest facetem, którego powinno się zabić - w imię Postępu i Humanitaryzmu. Tak właśnie uważam, a jednak, kiedy widzę, że ktoś wyciąga pistolet, staję w jego obronie. Teraz widzi pan, jak nielogiczny jest człowiek. Przecież to idiotyczne, prawda?

- Istnieje ogromna przepaść między teorią a praktyką.

- Też tak twierdziłem! - Pan Raikes wstał z brzegu łóżka, na którym przysiadł w czasie rozmowy. Uśmiechnął się teraz szczerze i poufale.

- Myślałem, że lepiej będzie - powiedział - gdy przyjdę i wyjaśnię to panu.

Wszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

V

"Wybaw mnie, Panie, od człowieka złego, strzeż mnie od gwałtownika!" - śpiewała trochę fałszywie, mocnym głosem pani Olivera.

Herkules wyczuł w śpiewanych przez nią słowach, że wciąż tkwiło w niej nieugięte przekonanie, że Howard Raikes jest złym człowiekiem.

Herkules Poirot towarzyszył swemu gospodarzowi i jego rodzinie w wyprawie do wiejskiego kościoła.

Howard Raikes zapytał trochę ironicznie:

- Pan zawsze chodzi do kościoła, panie Blunt?

Alistair zamruczał coś niewyraźnie o tym, że wszyscy na wsi oczekują tego od niego i że nie może rozczarować miejscowego księdza. Te typowe angielskie sentymenty wyraźnie oszołomiły młodego człowieka, co wywołało u Poirota uśmiech pełen zrozumienia.

Pani Olivera taktownie wtórowała Bluntowi i poleciła Jane, aby również to zrobiła.

"Ostre jak u węża ich języki - śpiewał chór piszczących chłopięcych głosów - a jad żmijowy pod ich wargami".

Tenory i basy wybiły się w górę z przejęciem:

"Od rąk grzesznika ustrzeż mię, Panie, zachowaj mnie od gwałtownika, od tych, co zamyślają z nóg mnie zwalić".

Herkules Poirot próbował włączyć się niezdecydowanym barytonem:

"Pyszni sidło na mnie skrycie zastawiają:

złoczyńcy rozciągają powrozy,
umieszczają pułapki na mojej drodze"*.

Jego usta pozostały otwarte.

Zobaczył to - zobaczył jasno pułapkę, w którą prawie wpadł!

Chytrze zastawione sidła - sieć sznurów - pod jego stopami otwiera się przepaść, tak wymyślnie wykopana, aby mógł w nią wpaść.

Herkules Poirot był jak w transie; otwarte usta, wzrok wbity w przestrzeń. Pozostał tak, zeszywniały, choć najbliższe osoby zaczęły już powoli siadać. Jane chwyciła go za ramię i szepnęła: "Siadamy!"

Herkules Poirot usiadł. Wiekowy, brodaty duchowny zaintonował: "Tak zaczyna się piętnasty rozdział Pierwszej Księgi Samuela" i zaczął czytać.

Poirot nie słyszał jednak o pogromie Amaleka, dokonany przez króla Samuela.

Był oszołomiony - wspaniale oszołomiony wizją faktów, teraz zgrabnie ułożonych na właściwych miejscach.

Był to prawdziwy kalejdoskop - klamerki na butach, pończochy, zniekształcona twarz, prymitywny gust czytelniczy Alfreda, działalność Amberiotisa i rola Morleya; wszystko to zajaśniało nagle, zakręciło się, aby znaleźć właściwe miejsce i zewrzeć w jednolitą, logiczną całość.

Po raz pierwszy Herkules spojrział na sprawę z właściwej strony.

"Bo opór jest jak grzech wróżbiarstwa,
a krnąbrność jak złość bałwochwalstwa.

Ponieważ wzgardziłeś nakazem Pana,
odrzuć cię On jako króla"*.

- I tu kończy się Pierwsza Księga Samuela - drżącym głosem, jednym tchem zakończył duchowny. Herkules Poirot, jak we śnie, chwalił Boga w Te Deum.

TRZYNASTE, CZTERNASTE, DZIEWCZYNY ZALECAJĄ SIĘ

I

- Monsieur Reilly, prawda?

Młody Irlandczyk, zaskoczony, odwrócił się na dźwięk słów wypowiedzianych na wysokości jego łokcia.

Człowiek stojący za nim w biurze okrętowym był niski, nosił wielkie wąsy i miał głowę w kształcie jajka.

- Zapewne nie pamięta mnie pan?

- Pan jest dla siebie niesprawiedliwy, monsieur Poirot. Należy pan do ludzi, których niełatwo się zapomina.

Odwrócił się do urzędnika, który tymczasem cierpliwie czekał za kontuarem.

- Wybiera się pan za granicę na urlop - zamruczał głos przy jego łokciu.

- Nie jadę na urlop. A pan, monsieur Poirot? Mam nadzieję, że nie opuszcza pan naszego kraju?

- Czasami - odparł Herkules Poirot - jeżdżę na krótko do mojej ojczyzny, do Belgii.

- Ja jadę trochę dalej - rzekł Reilly. - Do Ameryki. - A następnie dodał: - I nie sądzę, abym tu kiedykolwiek wrócił.

- Przykro mi to słyszeć, panie Reilly. A zatem zrezygnował pan z praktyki przy Queen Charlotte Street.

- Jeżeli chciałby pan wyrazić się precyzyjniej, to raczej ta praktyka zrezygnowała ze mnie.

- Czyżby? To bardzo smutne.

- Mnie to nie martwi. Jestem szczęśliwym człowiekiem, gdy pomyślę, że zostawię tu wszystkie nie zapłacone długi.

Uśmiechnął się ujmująco.

- Nie należę do ludzi, którzy strzelają do siebie z powodu kłopotów finansowych. Zawsze mówię sobie: zostaw je za sobą i zacznij od początku. Potrafię wykorzystać moje kwalifikacje, a według mnie jestem dobrym fachowcem.

Poirot mruknął:

- Pewnego dnia widziałem się z panną Morley.

- Chyba nie było to dla pana miłe? Tak, myślę, że nie. Nigdy nie widziałem bardziej skwaszonej kobiety. Często się zastanawiałem, jak by ona wyglądała, gdyby była zalana, ale tego chyba nikt nigdy nie zobaczy.

Poirot wtrącił:

- Czy zgadza się pan z werdyktem koronera dotyczącym śmierci Morleya?

- Oczywiście, że nie - odparł zdecydowanie pan Reilly.

- Myśli pan, że on popełnił błąd w zastrzyku?

- Jeżeli, jak twierdzą, Morley wstrzyknął temu Grekowi niewłaściwą dawkę, to musiał być albo pijany, albo zamierzał rzeczywiście zabić tego człowieka - oświadczył Reilly. - Jednak nigdy nie widziałem Morleya pijącego.

- Więc sądzi pan, że zrobił to rozmyślnie?

- Nie nazwałbym tego w ten sposób. Jest to poważne oskarżenie. Prawdę mówiąc, ja w to nie wierzę.

- Jednak musi istnieć jakieś wyjaśnienie.

- Istotnie, musi... ale jeszcze nie przyszło mi ono do głowy.

- Kiedy po raz ostatni widział pan Morleya żywego? - spytał Poirot. - Muszę się zastanowić... Zbyt dużo czasu minęło, żeby mnie o to pytać. To mogło być poprzedniego wieczoru, może za piętnaście siódma.

- Nie widział go pan w dniu morderstwa?

Reilly potrząsnął głową.

- Jest pan tego pewny? - naciskał Poirot.

- Och, tego nie mogę powiedzieć. Jednak nie przypominam sobie...

- Nie poszedł pan, na przykład, do jego pokoju o jedenastej trzydzieści pięć, wtedy gdy miał u siebie pacjenta?

- Tak, ma pan rację. Oczywiście. Była pewna techniczna kwestia, pytałem o narzędzia, które zamówiłem. Telefonowali do mnie w tej sprawie. Byłem tam tylko przez minutę, więc wyleciało mi to z pamięci. W tym czasie Morley miał pacjenta.

Poirot przytaknął i powiedział:

- Jest jeszcze inna sprawa, o którą zawsze chciałem pana zapytać. Pański pacjent, Raikes, zrezygnował z wizyty i uciekł. Co pan robił podczas półgodzinnej przerwy w przyjmowaniu pacjentów?

- To, co zwykle - przygotowałem sobie drinka. Poza tym, jak już panu mówiłem, był ten telefon i wpadłem na minutę do Morleya.

- Dowiedziałem się również - powiedział Poirot - że nie miał pan pacjentów od wpół do pierwszej, to jest po wyjściu Barnes'a. A przy okazji, kiedy wyszedł Barnes?

- Właśnie tuż po wpół do pierwszej.

- A potem. Co pan robił potem?

- To samo, co przedtem. Przygotowałem sobie następnego drinka.

- I znów wpadł pan na chwilkę do Morleya?

Pan Reilly uśmiechnął się.

- Chce pan przez to powiedzieć, że poszedłem go zastrzelić? Kiedyś już panu mówiłem, że ja tego nie zrobiłem. Ale ma pan na to tylko moje oświadczenie.

- Co pan sądzi o pokojówce Agnes? - zapytał Poirot.

Reilly spojrzał ze zdumieniem.

- Teraz zadał pan dość zabawne pytanie.

- Chciałbym jednak, aby pan na nie odpowiedział.

- Mogę panu na nie odpowiedzieć. Nic o niej nie sędzę. Georgina miała służbę na oku - i miała zupełną rację. Ta dziewczyna nigdy nawet na mnie nie spojrzała - nie miała dobrego gustu.

- Czuję - rzekł Herkules Poirot - że ona coś wie. Spojrzał pytająco na Reilly'ego, który uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Niech pan mnie nie pyta - odparł Reilly. - Nic o tym nie wiem. Niestety, nie mogę panu pomóc.

Zabrał bilety, które leżały przed nim, skinął głową i wyszedł z uśmiechem.

Poirot wyjaśnił rozczarowanemu urzędnikowi, że jeszcze nie zdecydował się na wycieczkę morską do północnych stolic.

II

Poirot złożył znów wizytę w Hampstead. Pani Adams była tym jakby trochę zaskoczona. Chociaż został, jak to się mówi, polecony przez nadinspektora Scotland Yardu, uważała go za dziwnego, małego obcokrajowca i nie brała jego pretensjonalności zbyt serio. Jednak, mimo wszystko, była chętna do rozmowy. Po pierwszych, sensacyjnych doniesieniach dotyczących identyfikacji ofiary, sprawa znów nabrała pewnego rozgłosu. Najbardziej sensacyjna okazała się omyłka w rozpoznaniu zwłok; ciało pani Chapman pomyłkowo wzięto za zwłoki panny Sainsbury Seale. To było wszystko, co podano do publicznej wiadomości. Nie został podkreślony fakt, że panna Sainsbury Seale była prawdopodobnie ostatnią osobą, która widziała żywą nieszczęsną panią Chapman. Prasa nie uczyniła żadnej aluzji, że panna Sainsbury Seale mogłaby być poszukiwana przez policję w sprawie morderstwa.

Pani Adams przyjęła z ulgą wiadomość, że odnalezione w tak dramatycznych okolicznościach ciało nie należało do jej przyjaciółki. Wyglądało iż nie miała pojęcia, że można podejrzewać Mabelle Sainsbury Seale.

- Jednak to jej nagłe zniknięcie wydaje się zupełnie niezwykle. Jestem pewna, monsieur Poirot, że ona musiała stracić pamięć.

Poirot odparł, że to bardzo prawdopodobne. Znał już podobne wypadki.

- Tak, przypominam sobie przyjaciółkę mojego kuzyna. Chorowała i miała dużo kłopotów. To spowodowało u niej amnezję. Zdaje się, że tak to się nazywa.

Poirot zgodził się, że to chyba właściwy termin.

Po chwili przerwy spytał, czy pani Adams słyszała kiedykolwiek, aby panna Sainsbury Seal mówiła o pani Chapman?

Nie, pani Adams nie pamięta, żeby jej przyjaciółka wspominała kiedyś to nazwisko. Ale przecież to niemożliwe, aby panna Sainsbury Seale wymieniała nazwiska wszystkich swoich znajomych. Kim była ta pani Chapman? Czy policja ma już jakiś pomysł, kto ją mógł zamordować?

- Niestety, to ciągle jeszcze jest tajemnicą, madame.

- Poirot potrząsnął głową i zapytał panią Adams, kto polecił Morleya, jako dentystę, pannie Sainsbury Seale.

Pani Adams nie mogła na to udzielić odpowiedzi. Sama chodziła do Frencha na Harley Street, a gdyby Mabelle chciała, żeby jej kogoś polecić, to z pewnością skierowałaby ją do pana Frencha.

Możliwe, zauważył Poirot, że to pani Chapman poradziła pannie Sainsbury Seale, aby poszła do Morleya. Panna Adams zgodziła się z tym. Ale czy u dentysty nie wiedzieli, kto ją skierował?

Poirot pytał już o to pannę Nevill, ale i ona niczego nie widziała albo nie przypominała sobie. Natomiast przypomniała sobie panią Chapman, ale nie słyszała, aby wspomniała ona o pannie Sainsbury Seale. Nazwisko to było tak charakterystyczne, że gdyby je słyszała, na pewno by je zapamiętała.

Poirot uparcie trzymał się tematu. Czy pani Adams po raz pierwszy zetknęła się z panną Sainsbury Seale w czasie swego pobytu w Indiach? Pani Adams potwierdziła.

Czy pani Adams, wiedziała, że panna Sainsbury Seale знаła lub kiedykolwiek spotkała w Indiach panią lub pana Blunta?

- O, nie sądzę, monsieur Poirot. Ma pan na myśli tego wielkiego bankiera? Przed kilku laty zatrzymali się u wicekróla i przypuszczam, że gdyby ich tam spotkała, to by mi o tym wspomniała lub pochwaliła się tym. Obawiam się - dodała z lekkim uśmiechem pani Adams - że każdy z nas wspomniałby o spotkaniu wybitnych ludzi. W głębi duszy wszyscy jesteśmy snobami.

- Czy ona w ogóle nigdy nie mówiła o Bluntach... przede wszystkim o pani Blunt?

- Nigdy.

Był piękny, letni dzień i Poirot patrzył pobłażliwym okiem na wdzięczące się do chłopców, chichoczące niańki, podczas gdy w tym czasie pulchne pociechy wykorzystywały ich nieuwagę.

Psy ujadły i goniły się po parku.

Mali chłopcy puszczali na stawie łódki.

Pod najbliższym drzewem siedziała przytulona para...

- Ach! Jeunesse, jeunesse - mruknął Herkules Poirot, przyjemnie wzruszony tym widokiem.

Londyńskie dziewczęta miały chic. Mimo niegustownych sukienek.

Ubolewał jednak nad niedoskonałościami ich budowy. Te powabne postacie wzbudzały w nim bolesne wspomnienia. Gdzie podziały się te bogate krzywizny, te fascynujące linie, tak kiedyś kuszące oczy?

Och, Herkules Poirot pamiętał kobiety... Szczególnie tę jedną kobietę, tę cudowną postać... Rajski Ptak... Wenus...

Która współczesna kobieta mogłaby przyćmić olśniewające piękno hrabiny Very Rossakoff? Prawdziwa rosyjska arystokratka, arystokratka od stóp do głów! A poza tym pamiętał ją jako znakomitą złodziejkę... Jedną z tych autentycznie genialnych kobiet...

Poirot z westchnieniem oderwał myśli od tego cudownie błyszczącego obiektu swych marzeń. Pod drzewami Regent Parku zalecały się nie tylko niańki i im podobne. Była tam również pod lipą dziewczyna w kreacji od Schiaparelliego; młodzieniec, który pochylał ku niej głowę, błagał ją o coś z przejęciem.

Nie ustępuj zbyt szybko! Miał nadzieję, że dziewczyna wie o tym. Cała przyjemność polega na tym, aby gonitwę przedłużyć o tyle, o ile to możliwe...

I tak patrząc na te dwie postacie, nagle zdał sobie sprawę, że wydają mu się znajome.

A więc to Jane Olivera przyszła do Regent Parku, aby spotkać się z młodym amerykańskim rewolucjonistą?

Jego twarz ze smutkiem spochmurniała. Po chwili wahania przeszedł trawnik i podszedł do nich. Zdejmując kapelusz, skłonił się przesadnie i powiedział:

- Bonjour, mademoiselle.

Zauważył, że Jane Olivera nie była niezadowolona z tego spotkania. Natomiast Howard Raikes wyraźnie był rozdrażniony.

- Och, to znowu pan! - warknął.

- Dzień dobry, monsieur Poirot - powitała go Jane.

- Zawsze zjawia się pan tak niespodzianie?

- Jak diabeł z pudełka - rzekł Raikes, nadal mierząc Poirota chłodnym spojrzeniem.

- Nie przeszkadzam? - spytał niewinnie Poirot.

Jane Olivera odpowiedziała uprzejmie:

- Absolutnie nie.

Howard Raikes milczał.

- Znaleźliście państwo miłe miejsce - zauważył Poirot.

- To było miłe miejsce - rzekł Raikes.

- Uspokój się, Howardzie - powiedziała Jane. - Powinieneś nauczyć się lepszych manier!

- A co to są dobre maniery? - parsknął Raikes.

- To jest coś takiego, co pozwoli ci do czegoś dojść - odparła Jane. - Ja sama nie mam żadnych, ale mnie to nie dotyczy, jestem bogata, względnie ładna i mam wpływowych przyjaciół... Nie mam też żadnych z tych nieszczęsnych braków, o których tak otwarcie pisze się w dzisiejszych ogłoszeniach, więc dam sobie radę bez dobrych manier.

- Nie mam nastroju na takie gadanie, Jane - rzucił Raikes. - Chyba lepiej się zmyję.

Wstał i, rzuciwszy nieuprzejme kiwniecie głową w kierunku Poirota, odszedł.

Jane Olivera odprowadziła go wzrokiem, opierając na dłoniach podbródek.

Poirot powiedział z westchnieniem:

- Niestety, przysłowia mówią prawdę. Gdzie dwoje się zaleca, trzeci jest intruzem.

- Zaleca? Co za słowo!

- Ależ tak, jest to właściwe słowo, prawda? Czyż nie zalotami nazywamy adorację młodej kobiety przez mężczyznę przed oświadczynami o jej rękę? Czy, jak to mówią, nie nazywa się to zalotami?

- Pańscy przyjaciele, jak się wydaje, mówią zabawne rzeczy.

Herkules Poirot zacytował łagodnie:

- "Trzynaste, czternaste, dziewczyny zalecają się". Proszę spojrzeć, wszyscy dookoła właśnie to robią. Jane powiedziała ostro:

- Tak... a ja przypuszczalnie również należę do tego tłumu...

Nagle odwróciła się do Poirota.

- Muszę się przed panem usprawiedliwić. Wtedy pomyliłam się. Myślałam, że przyjechał pan do Exsham szpiegować Howarda. Potem wuj Alistair wyjaśnił mi, że zaprosił pana w celu zlecenia wyjaśnienia sprawy tej zaginionej kobiety... Sainsbury Seale. Czy to prawda?

- Całkowita.

- Wobec tego przepraszam pana za to, co powiedziałam tamtego wieczoru, ale na początku wyglądało to inaczej. Myślałam, że zajmuje się pan śledzeniem Howarda i mnie.

- Nawet gdyby była to prawda, mademoiselle, to mimo woli stałem się wspólnym świadkiem tego, jak pan Raikes cudownie ocalił życie pani wuja, rzucając się na napastnika i zapobiegając w ten sposób oddaniu drugiego strzału.

- Pan ma taki zabawny sposób wyrażania się, monsieur Poirot. Nigdy nie wiem, kiedy mówi pan poważnie, a kiedy pan kpi.

Poirot odparł poważnie:

- W tej chwili mówię zupełnie serio, panno Olivera.

Jane powiedziała lekko drżącym głosem:

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy, jakby... Jakby było panu mnie żal?

- Może dlatego, mademoiselle, że wkrótce będę musiał pani zrobić...

- A więc niech pan tego... nie robi!
- Niestety, mademoiselle, jednak muszę...

Przez chwilę patrzyła na niego uważnie, po czym rzekła:

- Czy... czy odnalazł pan tę kobietę?
- Powiedzmy... że wiem, gdzie ona jest.
- Nie żyje?
- Tego nie powiedziałem.
- A więc żyje?
- Tego też nie powiedziałem.

Jane patrzyła na niego poirytowana, wreszcie wybuchnęła:

- No dobrze, jest albo żywa, albo martwa, ale gdzie ona jest?
- Odpowiedź na to pytanie nie jest obecnie taka prosta.
- Sądzę, że lubi pan piętrzyć trudności!
- Czasami tak. o mnie mówią - przyznał Herkules Poirot.

Jane zadrżała.

- Czy to nie zabawne? Taki piękny, gorący dzień, a jednak nagle zrobiło mi się zimno... - Może lepiej będzie, gdy wróci pani do domu, mademoiselle?

Jane wstała. Przez chwilę stała niezdecydowana, a potem powiedziała nagle:

- Howard chce, abym za niego wyszła. Natychmiast. I żeby nikt o tym nie wiedział. On mówi... On mówi, że to jedyny sposób, w jaki to mogę zrobić... Że jestem słaba... - Przerwała, chwyciła ramię Poirota ze zdumiewającą siłą i dodała ku jego zaskoczeniu: - Monsieur Poirot, niech mi pan poradzi, co mam robić?
- Dlaczego mnie pani prosi o radę? Są inni, bardziej pani bliżsi!
- Matka? Na samą tylko myśl o tym rozwaliłaby krzykiem cały dom. Wuj Alistair? On byłby ostrożny i roztropny. "Masz dużo czasu, moja droga. Musisz się upewnić. Ten twój młody człowiek jest trochę dziwny. Nie ma sensu się spieszyć..."

- A pani przyjaciele? - podsunął Poirot.

- Nie mam przyjaciół. Tylko bandę głupców, z którymi piję, tańczę i wymieniam banały! Howard jest jedynym prawdziwym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

- Jednak... dlaczego pani mnie prosi o radę, panno Olivera?

- Ponieważ z pańskiej twarzy wyczytałam - odrzekła Jane - że jest panu z jakiegoś powodu przykro... Jakby wiedział pan, że coś... że... że coś nastąpi...

Przerwała.

- No? - naciskała. - Co pan na to?

Jednak Herkules Poirot potrząsnął tylko w milczeniu głową.

IV

Kiedy Poirot wrócił do domu, George oznajmił:

- Czekaj nadinspektor Japp, sir.

Japp przywitał Poirota szerokim, skruszonym uśmiechem.

- A więc jestem, stary. Czyż nie jesteś cudowny? Jak ty to zrobiłeś? Jak ty to robisz, że ci to wszystko przychodzi do głowy?

- O czym ty mówisz?... Ale, pardon, może się czegoś napijesz? Soku? A może whisky?

- Najlepiej zrobi mi whisky.

W kilka minut później podniósł szklaneczkę i zauważył:

- Zdrowie Herkulesa Poirot, który ma zawsze rację!

- Nie, nie, mon ami.

- Mieliśmy wspaniały przypadek samobójstwa. H.P. powiedział, że to było morderstwo... i niech mnie licho porwie, to jest morderstwo!

- Ach? Więc nareszcie się ze mną zgadzasz?

- Tak, i nikt nie może powiedzieć, że jestem głupio uparty. Nie będę się upierał wobec dowodów. Cały kłopot leżał w tym, że dotychczas nie było żadnych dowodów.

- A teraz są?

- Właśnie przyszedłem cię przeprosić i, jak to się mówi, oddać honor, oraz podać ci je na srebrnym półmisku.

- Jestem oszołomiony, mój drogi.

- Dobrze. A więc uwaga. Ten pistolet, z którego Frank Carter próbował w sobotę zastrzelić Blunta, jest bliźniakiem tego, z którego zastrzelono Morleya.

- Ależ to nadzwyczajne! - wykrzyknął zdumiony Poirot. - Tak. Sprawa wygląda raczej czarno dla pana Franka.

- To jeszcze nie dowód.

- Nie, ale to pozwoliło nam powtórnie rozważyć werdykt o samobójstwie. Pistolet jest pochodzenia zagranicznego i raczej rzadko u nas spotykany!

Herkules milczał. Jego brwi przypominały dwa półksiężycy. Wreszcie powiedział:

- Frank Carter? Nie... na pewno nie!

Japp westchnął z rozpaczą.

- Co się z tobą dzieje, Poirot? Przecież ty pierwszy stwierdziłeś, że Morley został zamordowany i że to nie było samobójstwo. A teraz, kiedy przychodzę ci powiedzieć, że miałeś rację, zaczynasz kręcić nosem, tak jakby ci się to nie podobało.

- Ty naprawdę wierzysz, że Morleya zamordował Frank Carter?

- To najbardziej prawdopodobne. Carter żywił urazę do Morleya... a my przez cały czas wiedzieliśmy o tym. Przyszedł tamtego ranka na Queen Charlotte Street, a potem udawał, że chciał powiedzieć swojej dziewczynie, że ma pracę. Teraz wiemy, że żadnej pracy wtedy nie dostał. Otrzymał ją dopiero po południu. Sam się do tego przyznał. Było to zatem kłamstwo numer jeden. Nie może wyjaśnić, gdzie był po godzinie dwunastej dwadzieścia pięć. Mówił, że szedł przez Marylebone Road, ale jedyne, co mógł udowodnić, to fakt, że pił w pubie o godzinie pierwszej pięć. Barman powiedział, że był w fatalnym stanie, trzęsły mu się ręce, a twarz miał białą jak kreda!

Herkules Poirot westchnął i potrząsnął głową.

- To by się nie zgadzało z moimi teoriami - mruknął.

- A jakie są te twoje teorie?

- To, co mi powiedziałaś, bardzo mnie zaniepokoiło. Bardzo zaniepokoiło. Ponieważ, jeżeli ty masz rację, to...

Uchyliły się drzwi i George z szacunkiem wyszeptał:

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale...

Nie zdążył więcej powiedzieć. Panna Gladys Nevill odepchnęła go na bok i podniecona wtargnęła do pokoju.

- Och, monsieur Poirot...! - wykrzyknęła z płaczem.

- No, będę uciekał... - rzekł Japp i szybko wyszedł z pokoju.

Gladys Nevill skwitowała jego wyjście jadowitym spojrzeniem.

- To był ten... ten straszny nadinspektor Scotland Yardu? To on wymyślił tę całą historię przeciwko biednemu Frankowi.

- Spokojnie, spokojnie, nie wolno się pani denerwować.

- Ale to prawda. Najpierw sugerowali, że próbował zamordować tego Blunta, a teraz jeszcze im tego mało i chcą go oskarżyć o zamordowanie biednego pana Morleya.

Herkules Poirot zakaszał.

- Jak pani wie, byłem w Exsham, kiedy strzelano do Blunta - rzekł.

Gladys Nevill oświadczyła nieco zmieszana, używając zaimków:

- Ale nawet jeśli zrobił to Frank... Jeżeli popełnił taką szaloną rzecz... i jeżeli nawet jest jednym z tych "Imperialnych Koszul", no wie pan... tych wywrotowców, którzy maszerują z chorągwiami i oddają te idiotyczne pozdrowienia, to... Oczywiście, żona pana Blunta była bardzo znaną Żydówką, a to oni właśnie tych biednych ludzi, takich nieszkodliwych jak Frank, doprowadzają do tego, aby myśleli, że mogą zrobić coś wspaniałego i patriotycznego.
 - I właśnie w ten sposób broni się Frank Carter? - spytał Herkules Poirot.
 - Och, nie. Frank przysięga, że tego nie zrobił i że nigdy przedtem nie widział tego pistoletu. Oczywiście, nie rozmawiałam z nim. Nie pozwolono mi. Ale powiedział to swemu obrońcy, a on powtórzył to mnie. Frank twierdzi, że to wszystko jest ukartowane i że chcą go zrobić.
 - A adwokat uważa, że jego klient powinien wymyślić bardziej prawdopodobną historię? - mruknął Poirot.
 - Prawnicy są tacy skomplikowani. Nigdy niczego nie mówią wprost. Jednak martwię się, ponieważ to jest oskarżenie o morderstwo. O, monsieur Poirot, jestem pewna, że Frank nie mógłby zabić pana Morleya. Twierzę, że nie miał żadnego powodu.
 - Jest prawdą - rzekł Poirot - że gdy wtedy przyszedł do Morleya, nie miał jeszcze załatwionej żadnej pracy.
 - Istotnie, monsieur Poirot, ale co to za różnica czy dostał pracę przed, czy po południu?
 - Ale mówił, że specjalnie przyszedł powiedzieć pani o swoim wielkim szczęściu. Teraz wydaje się, że wtedy jeszcze tego szczęścia nie dostał. Po co więc przyszedł?
 - Monsieur Poirot, ten biedny chłopak był przygnębiony, rozstrojony i, prawdę mówiąc, wydawało mi się, że trochę wypił. Biedny Frank zawsze miał słabą głowę. Po kieliszku był przygnębiony i nagle poczuł, że ma ochotę na kłótnię. Przyszedł na Queen Charlotte Street, by wygarnąć Morleyowi. Ponieważ Frank jest normalnie bardzo wrażliwy, zdawał sobie sprawę, że Morley go nie lubi i to go gnębiło.
 - Zamierzał więc wszcząć awanturę w godzinach przyjęć?
 - Tak... Przypuszczam, że miał taki zamiar. Oczywiście, to bardzo niewłaściwe ze strony Franka, że chciał coś podobnego zrobić.
- Poirot patrzył w zamyśleniu na siedzącą przed nim zapłakaną, młodą kobietę.
- Czy wiedziała pani, że Frank miał pistolet... albo dwa pistolety?
 - O, nie, monsieur Poirot! Przysięgam, że nic o tym nie wiedziałam. Nie wierzę też, że to może być prawda.
- Poirot pokiwał wolno głową, zmieszany.
- Monsieur Poirot, proszę nam pomóc! Gdybym tylko czuła, że jest pan po naszej stronie...
 - Nie jestem po niczyjej stronie - rzekł Poirot. - Jestem tylko po stronie prawdy.

V

Po pozbyciu się dziewczyny Poirot zatelefonował do Scotland Yardu. Japp jeszcze nie wrócił, informacji udzielił mu sierżant Beddoes.

Policja nie miała jeszcze dowodu na to, że Frank Carter posiadał pistolet przed napaścią w Exsham.

Poirot odłożył słuchawkę i zamyślił się. Był to punkt dla Cartera. Ale na razie tylko jeden.

Od Beddoesa dowiedział się również kilku dalszych szczegółów o pracy Cartera w Exsham. Upierał się przy swojej historyjce o pracy w Secret Service. Otrzymał zadatek i wysłano go do głównego ogrodnika, pana MacAlistera, aby mu przedstawił swoje umiejętności w zakresie ogrodnictwa.

Otrzymał instrukcje, aby słuchać, co mówią inni ogrodnicy, sondować ich "czerwone" poglądy polityczne i samemu udawać, że jest też "czerwony". Instrukcje dała mu kobieta, która oświadczyła, że ma kryptonim Q.H.56, i która twierdziła, że został jej polecony jako

zdecydowany antykomunista. Rozmawiali w przyciemnionym świetle i nie przypuszcza, aby mógł ją rozpoznać. Była ruda i silnie umalowana.

Poirot jęknął. Poczul powiew afer szpiegowskich z powieści Phillipa Oppenheima.

Miał ochotę skonsultować się na ten temat z panem Barnesem. Według pana Barnes'a takie rzeczy się zdarzały.

W ostatniej poczcie znalazł list, który go jeszcze bardziej zaniepokoił. Była to tania koperta zaadresowana niewyraźnym charakterem pisma. Rozerwał ją i zaczął czytać:

SZANOWNY PANIE,

mam nadzieję, że wybaczy mi pan śmiałość, ale jestem bardzo zmartwiona i nie wiem, co robić. W żadnym wypadku nie chcę mieć do czynienia z policją. Może już przedtem powinnam była powiedzieć to, co wiem. Mówiono mi jednak, że mój pan popełnił samobójstwo, więc nie chciałam, żeby ten chłopiec panny Nevill miał jakieś kłopoty. Nigdy nie wierzyłam, żeby mógł to zrobić. Teraz jednak, kiedy podniósł pistolet na tego bankiera, to może nie jest tak zupełnie w porządku? Pomyślałam więc, że powinnam do Pana napisać. Jest pan przyjacielem mojej pani i wtedy wypytywał mnie Pan tak dokładnie, czy coś wiem. Teraz żałuję, że nie powiedziałam panu wtedy. Mam jednak nadzieję, że nie będę miała do czynienia z policją, bo jej nie lubię i moja mama też jej nie lubi. Ona jest zawsze bardzo zasadnicza.

Z poważaniem

AGNES FLETCHER

Poirot zamruczał:

- Zawsze wiedziałem, że ta sprawa dotyczy pewnego człowieka. Myślałem tylko o niewłaściwym człowieku i to wszystko.

PIĘTNASTE, SZESNASTE, KUCHARKI CIEKAWSKIE

I

Rozmowa z Agnes Fletcher odbyła się w trochę zaniedbanej herbaciarni w Hertford. Agnes, wyzwolona spod krytycznego oka panny Morley, mówiła bez obaw.

Przez pierwszy kwadrans opowiadała o tym, jak wymagającą była zawsze jej matka. Potem, jak ojciec Agnes, właściciel sklepu z alkoholem, nigdy nie miał żadnych zatargów z policją i zawsze zamykał go dokładnie na czas. W istocie wydawało się, że rodzice Agnes byli ogólnie szanowanymi i godnymi naśladowania ludźmi w obrębie Little Darlington, w Gloucestershire, i nikt z jej rodzeństwa (a było ich sześcioro, z czego dwoje zmarło w niemowlęctwie) nigdy nie sprawiało rodzicom najmniejszego kłopotu. I jeżeli teraz Agnes wpłacze się w jakąś aferę z policją, to tatuś i mamusia nie przeżyją tego, ponieważ, jak już przedtem wspomniała, zawsze mogli dumnie nosić głowę i nigdy nie mieli w jakimkolwiek stopniu kłopotów z policją.

Potem powtórzyła wszystko da capo* z różnymi dodatkami i wreszcie, powoli zaczynała się zbliżać do meritum sprawy.

- Nie chciałabym nic na ten temat mówić panie Morley, proszę pana, ponieważ powinnam to była zrobić wcześniej. Ale ja i kucharka stwierdziłyśmy jednak, że to nie nasz interes. Przecież przeczytałyśmy wyraźnie w gazecie, że nasz pan popełnił omyłkę przy podawaniu lekarstwa, a potem zastrzelił się i wszystko wydawało się jasne, prawda, proszę pana?

- Kiedy pani zmieniła zdanie? - Poirot miał nadzieję, że określnymi pytaniami przyspieszy wreszcie wyznania dziewczyny.

Agnes odparła szybko:

- Przeczytałam w gazecie o Franku Carterze, o tym znajomym panny Nevill. Kiedy czytałam o tym, że strzelał do tego dżentelmena, u którego był ogrodnikiem, pomyślałam, że może on ma bzika, ponieważ wiem, że tacy ludzie jak on mają kręćka. Wierzą, że są prześladowani i stale otoczeni wrogami. Niebezpiecznie takich trzymać w domu i trzeba ich zabrać do domu wariatów. I wtedy pomyślałam, że może Frank Carter należy do takich ludzi, ponieważ pamiętam, że stale gadał o panu Morleyu, że on był przeciwko niemu i próbował rozdzielić go z panną Nevill, ale ona nie chciała go słuchać. Emma i ja sądziłyśmy, że miała rację, ponieważ nie można zaprzeczyć, że pan Carter jest przystojny i wygląda jak dżentelmen. Oczywiście żadna z nas nie myślała, że on mógłby coś zrobić panu Morleyowi, chociaż to, co robił, było trochę dziwne. Chyba rozumie pan, co mam na myśli?

Poirot powiedział cierpliwie:

- Co było dziwne?

- Tego przedpołudnia, proszę pana, kiedy zastrzelił się pan Morley, myślałam właśnie, czy zbiorę się na odwagę, żeby zejść na dół po pocztę. Przyszedł listonosz, ale Alfred nie przyniósł jeszcze listów. Zrobiłby to, gdyby były tam listy przeznaczone dla panny Morley lub pana Morleya. Jeżeli jednak były tylko dla Emmy lub dla mnie, to Alfred nie przyniósłby ich wcześniej niż w porze lunchu. Wysłałam więc na podest schodów i spojrzałam w dół. Panna Morley nie lubiła, gdy schodziło się do holu w godzinach pracy pana. Przypuszczałam jednak, że zauważę Alfreda prowadzącego pacjenta i będę mogła zawołać go, gdy będzie wracał. Agnes przerwała, zaczerpnęła tchu i mówiła dalej:

- Wtedy zobaczyłam jego - mam na myśli tego Franka Cartera. Był w połowie schodów, to znaczy naszych schodów, piętro wyżej niż gabinet naszego pana. Stał tam i czekał... czekał i patrzył w dół. Czułam, że jest w tym coś podejrzanego. Wydawało mi się, że bacznie nasłuchuje, rozumie pan, co przez to chcę powiedzieć?

- O której to było godzinie?

- Było to pewnie o wpół do pierwszej, proszę pana. Wtedy właśnie pomyślałam: to przecież Frank Carter, a panna Nevill wyjechała i dziś jej już nie będzie, a on będzie tym rozczarowany. Zastanawiałam się, czy nie powinnam zbiec na dół i zawiadomić go o jej nieobecności, żeby nie czekał, tym bardziej, że ten łobuz Alfred widocznie zapomniał mu o tym powiedzieć. Kiedy tak się wahałam, pan Carter wyraźnie zastanawiał się, co robić. Wreszcie zbiegł szybko w dół i wszedł do korytarzyka prowadzącego do gabinetu pana Morleya. Pomyślałam, że nasz pan nie będzie z tego zadowolony i może być awantura. Wtedy właśnie zawołała mnie Emma i spytała, gdzie się włóczę. Kiedy wróciłam na górę, dowiedziałam się, że nasz pan popełnił samobójstwo. Było to tak okropne, że wszystko wyleciało mi z głowy. Potem, kiedy odszedł już ten inspektor policji, oświadczyłam Emmie, że nic nie powiedziałam o tym, że pan Carter był tego przedpołudnia u naszego pana. Ona spytała mnie, czy był tam rzeczywiście? Potwierdziłam, a ona zdziwiła się, że był, i zauważyła, że może jednak powinnam była o tym powiedzieć. Ja jednak pomyślałam, żeby lepiej się nie spieszyć i ona się z tym zgodziła, ponieważ żadna z nas nie chciała, aby Frank Carter miał kłopoty. Potem, w czasie śledztwa, wyszło na jaw, że nasz pan popełnił omyłkę z lekarstwem, zdał sobie z tego sprawę i zabił się, więc nie było potrzeby nic mówić. Jednak dwa dni temu przeczytałam ten artykuł w gazecie... och, jak ja się tym wtedy przejęłam! Powiedziałam wtedy do siebie: jeżeli jest takim świrem, który myśli, że jest prześladowany i w jasny dzień strzela do ludzi, to może jednak zastrzelił naszego pana!

Jej oczy, pełne niepokoju i strachu, z nadzieją spoczęły na Herkulesie Poirot, który odezwał się najbardziej uspokajającym tonem, na jaki go było stać:

- Możesz być całkiem pewna, Agnes, że mówiąc mi o tym, zrobiłaś bardzo dobrze.

- Ale, widzi pan, przez cały czas powtarzałam sobie, że może powinnam była powiedzieć. Ale znowu, widzi pan, myślałam, że... wmiesz się w to policja i co by mama na to powiedziała? Ona zawsze jest taka wymagająca...

- Tak, tak - przerwał pośpiesznie Poirot.
Miał już dosyć i czuł, że jak na jedno popołudnie wystarczy mu mamusi Agnes.

II

Poirot wstąpił do Scotland Yardu i spytał o Jappa. Zaprowadzono go do gabinetu nadinspektora.

- Chcę się widzieć z Carterem - oświadczył Jappowi, który skrzywił się i, rzuciwszy mu szybkie spojrzenie, spytał:

- Co to znów za nadzwyczajny pomysł?

- Nie chcesz tego dla mnie zrobić?

Japp wzruszył ramionami.

- O, ja nie będę ci przeszkadzał. Byłoby niedobrze, gdybym to zrobił. Kto jest pieszczołkiem naszego ministra? Ty nim jesteś. Kto połowę rządu trzyma w garści, uciszając ich skandale? Ty.

Poirot uciekł myślą do sprawy, którą nazwał "Stajnie Augiasza". Mruknął nie bez zadowolenia:

- Musisz przyznać, że to było pomysłowe, prawda! Mieliśmy wtedy, że tak powiem, dużo wyobraźni.

- Nikt inny, tylko ty mogłeś na to wpaść! Czasem myślę, że ty w ogóle nie masz skrupułów, Poirot!

Twarz Poirota spochmurniała.

- Nieprawda - zaprzeczył.

- No dobrze, Poirot, nie chciałem cię urazić. Czasem jednak jesteś taki zadowolony z tej swojej cholernej pomysłowości. Czego chcesz od Cartera? Chcesz go spytać, czy naprawdę zamordował Morleya?

Poirot, ku zaskoczeniu Jappa, skinął głową i powiedział:

- Przypuszczam, że ty jesteś przekonany, iż on ci to powie?

Japp zaśmiał się. Ale Herkules Poirot pozostał nadal poważny.

- Może mi to powiedzieć... Tak.

Japp spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- No wiesz, znam cię już tyle lat... pewnie ze dwadzieścia, co? W każdym razie coś koło tego. Ciągłe jednak nie zawsze mogę nadażyć za tokiem twoich myśli. Wiem, że masz bzika na punkcie tego Cartera.

Z takiej czy innej przyczyny nie chcesz, aby to on był winny...

Poirot energicznie potrząsnął głową.

- Nie, nie, mylisz się. Jest na odwrót...

- Sądziłem, że może robisz to na konto tej jego dziewczyny... tej blondynki? Czasem jesteś starym, sentymentalnym myszołowem...

Poirot był oburzony.

- Ależ to nie ja jestem sentymentalny! To słabostka Anglików! To Anglicy płaczą nad młodymi zakochanymi, nad umierającymi matkami i poświęcającymi się dziećmi. Ja jestem tylko logiczny. Jeżeli Frank Carter jest mordercą, wówczas z pewnością nie będę tak sentymentalny, aby życzyć sobie jego małżeństwa z tą miłą, lecz banalną dziewczyną, która, o ile go powieszają, zapomni o nim za rok lub dwa i znajdzie sobie kogoś innego.

- Dlaczego w takim razie nie chcesz uwierzyć w to, że on jest winny?

- Ja właśnie chcę w to uwierzyć, że on jest winny!

- Sądziłem, że masz coś takiego, co mniej więcej pozwala ci udowodnić, że on jest niewinny?

Dlaczego w takim- razie nie chcesz tego ujawnić? Powinieneś z nami prowadzić czystą grę, Poirot.

- Ależ nie, mylisz się, gram z wami czysto. Wkrótce będę mógł dać ci nazwisko i adres świadka, który może być dla ciebie bezcenny, po to, abys mógł sformułować oskarżenie. Jego zeznanie powinno zamknąć sprawę przeciwko niemu.

- Ale... Wszystko mi teraz poplątałeś. Dlaczego jesteś taki niecierpliwy i tak nagle chcesz się zobaczyć z Carterem?

- Dla mojej własnej satysfakcji - odparł Poirot.

I więcej nie powiedział już ani słowa.

III

Frank Carter, wynędzniały, blady, ciągle jeszcze objawiający tendencje do hysterii, patrzył na swego niespodziewanego gościa z nie ukrywaną niechęcią i powiedział opryskliwie:

- To ty... ty przeklęty, mały przybłądo? Czego ode mnie chcesz?

- Chciałem się z panem widzieć i porozmawiać

- No więc, widzisz mnie. Ale mówić nie będę. Nie będę mówić bez adwokata. A do tego chyba mam prawo. Temu nie możesz się sprzeciwić. Zanim powiem słowo, chcę, żeby był przy tym adwokat.

- Ależ oczywiście. Może pan posłać po niego, ale sędzę, że lepiej będzie, aby pan tego nie robił.

- Powiedzmy. Pan myśli, że powiem coś, co może mi zaszkodzić?

- Proszę pamiętać, że jesteśmy sami.

- To trochę niezwykle, prawda? Nie wątpię, że pańscy kumple, gliny, podsłuchują.

- Myli się pan. To jest prywatna rozmowa pomiędzy panem i mną.

Frank Carter zaśmiał się. Miał chytrą minę i wyglądał nieprzyjemnie.

- Dość tego! Nie weźmie mnie pan na takie stare kawały!

- Pamięta pan dziewczynę o nazwisku Agnes Fletcher?

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Myślę, że przypomni ją pan sobie, chociaż nigdy nie zwrócił pan na nią uwagi. Była pokojówką w domu przy Queen Charlotte Street 58.

- No i co z tego?

Herkules Poirot powiedział wolno:

- Przed południem, tego dnia, w którym został zastrzelony Morley, ta dziewczyna, patrząc przez balustradę schodów na najwyższym piętrze, widziała pana nadśluchującego i czekającego na schodach. Potem zobaczyła, że poszedł pan w kierunku gabinetu Morleya. Było to mniej więcej dwadzieścia sześć minut po dwunastej.

Frank Carter nagle zadrżał. Na czoło wystąpił mu pot. Oczy stały się bardziej niespokojne i zaczęły nerwowo biegać.

- To kłamstwo! - wykrzyknął dziko. - To cholerne kłamstwo! Pan jej zapłacił... Policja jej za to zapłaciła... aby powiedziała, że mnie tam widziała.

- W tym czasie - kontynuował Herkules Poirot - według pańskiego oświadczenia, opuścił pan dom i szedł przez Marylebone Road.

- To prawda. Ale ta dziewczyna łże. Nie mogła mnie widzieć. To brudna zmowa. Gdyby to była prawda, to dlaczego nie powiedziała o tym przedtem?

Herkules Poirot odparł spokojnie:

- Wspominała o tym swojej przyjaciółce, kucharce. Były zmartwione i zaskoczone, i nie wiedziały, co zrobić. Kiedy zapadł werdykt o samobójstwie, odetchnęły z ulgą i postanowiły, że nie ma potrzeby o tym mówić.

- Nie wierzę w ani jedno słowo! One to wymyśliły! Para brudnych łgarek...

Zaczął ordynarnie kłąć. Herkules Poirot czekał.

Kiedy Carter wreszcie ucichł, Poirot zaczął znów tym samym, spokojnym tonem:

- Gniew i głupie obrażanie się nie pomogą panu. Te dwie dziewczyny złożą zeznania i jest więcej niż pewne, że im uwierzą, ponieważ to, co mają do powiedzenia, jest prawdą. Agnes Fletcher rzeczywiście widziała pana. Pan tam był, na schodach, i właśnie o tej godzinie. Nie wyszedł pan z domu, tylko poszedł pan do gabinetu Morleya.

Przerwał i spytał po chwili:

- Cóż więc tam się wydarzyło?

- To kłamstwo, mówię panu!

Herkules Poirot poczuł się bardzo zmęczony... bardzo stary. Czuł rosnącą niechęć do Franka Cartera. W jego mniemaniu był on oszustem. Kłamcą, łobuzem, typem młodzieńca, bez którego świat mógłby znakomicie się obyć. On, Herkules Poirot, mógłby nie wtrącać się, poczekać i pozwolić temu młodemu człowiekowi obstawać przy swoich kłamstwach, a świat pozbyłby się jeszcze jednego, nieprzyjemnego typu...

- Twierdzą, że jednak powinien pan powiedzieć mi prawdę... - powiedział.

Jasno zdawał sobie ze wszystkiego sprawę. Frank Carter jest głupcem, ale nie aż takim, który nie dostrzega, że upór nie jest najlepszą i najbezpieczniejszą obroną. Jeżeli tylko raz przyzna się, że wchodził do gabinetu o dwunastej dwadzieścia sześć, to wdepnie przez to w poważne kłopoty. Ponieważ później, wszystko, co powie, będzie miało duże szansę być przyjęte za kłamstwo. Niech się na razie upiera przy swoich zaprzeczeniach, a wtedy Herkules Poirot byłby zwolniony ze swego obowiązku. A wówczas jego, Franka Cartera, prawdopodobnie powiesiliby za zamordowanie Henry'ego Morleya, co zapewne byłoby sprawiedliwe.

Frank Carter powiedział znowu:

- To kłamstwo!

Zapanowało milczenie. Herkules Poirot nie wstał i nie wyszedł, chociaż bardzo chciałby to zrobić. Niemniej został.

Pochylił się i powiedział głosem zawierającym całą moc jego silnej osobowości:

- Rozmawiam z panem szczerze. Proszę mi wierzyć. Jeżeli nie zamordował pan Morleya, to jedyna pańska nadzieja leży w powiedzeniu mi szczerzej prawdy o tym, co zdarzyło się tamtego przedpołudnia.

Ta podła, fałszywa twarz patrzyła na niego. Carter wahał się i stał się niespokojny. Zaczął szczypać wargę. Oczy miał dzikie, straszne, rozbiegane, jak u zwierzęcia.

Teraz wszystko się ważyło.

Potem, nagle, pod wpływem silnej osobowości Poirota, której nie mógł pokonać, Frank Carter poddał się.

- Więc dobrze... powiem panu. Niech pana Bóg przeklnie, jeżeli teraz mnie pan zawiedzie! - oświadczył ochryłym głosem. - Wszedłem do... Wszedłem na schody i czekałem tam długo, do czasu, gdy nabrałem pewności, że on jest sam. Czekałem na podeście powyżej gabinetu Morleya. Wszedł jakiś facet i zszedł na dół. To był jakiś gruby facet. Już chciałem wejść, gdy znów jakiś gość wyszedł od Morleya i zbiegł na dół. Wiedziałem, że muszę się pospieszyć. Szybko podszedłem i wśliznąłem się bez pukania do pokoju. Raz wreszcie chciałem się z nim wyklócić. Niech go diabli... Wtrącał się... Nastawiał dziewczynę przeciwko mnie... Do diabła z nim...

Przerwał.

- I co dalej! - Głos Poirota był nadal ponagląjący... zachęcający...

Głos Cartera załamywał się niepewnie.

- On tam leżał... martwy. I to jest prawda! Przysięgam, że to prawda! Leżał tak, jak to opisano w śledztwie. Najpierw nie mogłem uwierzyć. Nachyliłem się nad nim. Z całą pewnością nie żył. Jego ręka była lodowata, a w głowie zobaczyłem dziurę od kuli z otaczającym ją, czarnym skrzepem krwi...

Na to wspomnienie znów pot wystąpił mu na czoło.

- Kiedy to ujrzałem, zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w makabrycznej sytuacji. Zrozumiałem, że teraz wezmą mnie za mordercę. Niczego nie dotykałem, za wyjątkiem jego ręki i kłamki. Kłamkę wytarłem z obu stron chusteczką, wymknąłem się i zbiegłem na dół tak szybko, jak tylko to było możliwe. W holu nie było nikogo, wybiegłem więc co sił z domu. To zrozumiałe, że wyglądałem wtedy dziwnie.

Przerwał. Skierował wystraszony wzrok na Poirota.

- To, co powiedziałem, jest prawdą. Przysięgam, że to prawda... Kiedy tam wszedłem, był już martwy. Musi mi pan uwierzyć!

Poirot wstał i powiedział zmęczonym i smutnym głosem:

- Tak, wierzę panu.

Podszedł do drzwi. Frank Carter krzyknął:

- Oni mnie powieszają!... Murowane, że mnie powieszają, kiedy dowiedzą się, że tam byłem!

- Dzięki temu, że powiedział mi pan prawdę, uchronił się pan od szubienicy - odrzekł Poirot.

- Ja nie jestem takim optymistą. Wszyscy powiedzą...

Poirot przerwał:

- Pańska relacja potwierdziła to, co ja wiedziałem, że jest prawdą. Resztę proszę teraz pozostawić mnie.

Wyszedł. Był bardzo przygnębiony.

IV

Do pana Barnes, do Ealing, dotarł o 6.45 po południu. Pamiętał, że Barnes uważał tę porę dnia za najlepszą.

Pan Barnes pracował właśnie w ogródku.

- Potrzebujemy deszczu, monsieur Poirot - powiedział Barnes na powitanie. Patrzył na gościa z troską. - Nie wygląda pan zbyt dobrze, monsieur Poirot?

- Czasami - odparł Herkules Poirot - nie lubię tego, co muszę zrobić.

Pan Barnes kiwnął głową ze zrozumieniem i powiedział:

- Wiem.

Poirot bezmyślnie rozglądał się dookoła, patrząc na ładny układ klombów.

- Bardzo ładnie rozplanowany ogródek. Wszystko odpowiednio dobrane. Mały, ale logiczny.

- Mając mało miejsca, trzeba je jak najlepiej wykorzystać. Nie można sobie pozwolić na błędy w planowaniu.

Herkules Poirot potwierdził ruchem głowy. Barnes kontynuował:

- Sądzę, że pan już ma swojego człowieka?

- Myśli pan o Franku Carterze?

- Tak. Ale przyznaję, że jestem naprawdę zaskoczony.

- Pan nie sądzi, że to było, jak się mówi, morderstwo z motywów osobistych?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie byłem o tym przekonany. Ponieważ to dotyczyło Amberiotisa i Alistaira Blunta... byłem pewien, że jest to jedna z tych pogmatwanych spraw dotyczących wywiadu i kontrwywiadu.

- Podczas mojej pierwszej wizyty też pan tak twierdził.

- Istotnie. Wtedy byłem tego zupełnie pewien.

Poirot powiedział wolno:

- Ale mylił się pan.

- Tak. Proszę mi tego nie przypominać. Całe zmartwienie w tym, że sugerujemy się własnymi doświadczeniami. Byłem zamieszany w tyle spraw szpiegowskich, że już wszędzie dopatruję się szpiegostwa.

- Widział pan kiedyś, jak się ciągnie kartę? W sztuczkach karcianych nazywa się to podsuwaniem odpowiedniej karty.

- Tak, oczywiście.

- Teraz też tak się stało. Za każdym razem, gdy ktoś myśli, że Morleya zamordowano z pobudek osobistych, szybko podsuwa mu się odpowiednią kartę. Amberiotis, Alistair Blunt, niepewna sytuacja polityczna... kraju. - Wzruszył ramionami. - I to być może pan, panie Barnes, wprowadził mnie w błąd bardziej niż ktokolwiek inny.

- Och, monsieur Poirot, tak mi przykro. Sądziłem, że to prawda.

- Pan działa z pozycji znawcy przedmiotu. Pańskie słowa miały swoją wagę.

- Ależ ja wierzyłem w to, co mówię. To jedyne moje usprawiedliwienie.

Przerwał i westchnął.

- A przez cały czas to był tylko czysto osobisty motyw?

- Tak. Dużo czasu zabrało mi znalezienie przyczyny zbrodni... i raz dopisał mi łut szczęścia.

- Co to było?

- Naprowadził mnie na to fragment rozmowy. Gdybym tylko wtedy był wystarczająco mądry, żeby dostrzec jego znaczenie.

Pan Barnes podrapał się w zamyśleniu łopatką ogrodniczą po nosie, pozostawiając na nim trochę czarnej ziemi.

- To raczej zagadkowe, nie uważa pan? - zapytał. Herkules Poirot wzruszył ramionami i powiedział:

- Być może jest mi trochę przykro, że nie był pan ze mną bardziej szczerzy.

- Ja?

- Tak.

- Drogi przyjacielu... Ja nigdy nie byłem przekonany, że Frank Carter jest winien. Jeżeli się dobrze orientuję, to opuścił dom na długo przed śmiercią Morleya. Podejrzewam, że ustalono, iż nie wyszedł wtedy, kiedy mówił, że to zrobił.

Poirot powiedział:

- Carter był w domu o godzinie dwunastej dwadzieścia sześć i widział mordercę.

- A zatem Carter nie...

- Carter widział mordercę, mówię panu!

Pan Barnes spytał:

- Czy... czy go rozpoznał?

Herkules Poirot powoli zaprzeczył ruchem głowy.

SIEDEMNASTE, OSIEMNASTE, DZIEWCZYNY PRZYJAZNE

I

Następnego dnia Herkules Poirot spędził kilka godzin ze znajomym agentem teatralnym. Po południu pojechał do Oksfordu. Do miasta powrócił następnego dnia, późno. Zanim wyjechał, zatelefonował do Alistaira Blunta i umówił się na spotkanie tego samego wieczoru. O godzinie wpół do dziesiątej wieczorem zjawił się w Gothic House.

Alistair Blunt przyjął go sam w bibliotece. Spojrzał pytająco i powiedział:

- No więc?

Poirot wolno skinął głową.

Blunt spojrzał na niego prawie z niedowierzającym uznaniem.

- Znalazł ją pan?

- Tak, znalazłem.

Usiadł i westchnął Alistair Blunt zapytał:

- Jest pan zmęczony?

- Istotnie, jestem zmęczony. I to, co chcę panu powiedzieć, nie jest przyjemne.

- Czy ona nie żyje? - spytał Blunt.

- To zależy - odparł Poirot wolno - jak się na to spojrzy.

Blunt zmarszczył brwi.

- Drogi panie - rzekł. - Człowiek albo żyje, albo nie żyje. Panna Sainsbury Seale może tylko żyć lub nie.

- Ach, ale któż to jest panna Sainsbury Seale?

- Chyba nie myśli pan, że... że to jakaś istota niematerialna?

- Nie, nie. Ona była materialna. Mieszkała w Kalkucie. Uczyła tam poprawnej wymowy. Ponadto zajmowała się różnymi, pożytecznymi pracami. Wróciła do Anglii na statku "Maharanah", na tym samym, co Amberiotis. Chociaż oboje nie podróżowali tą samą klasą, pomógł jej w transporcie bagaży. W małych sprawach, jak się wydaje, potrafił być uprzejmy. Czasami taka drobna uprzejmość opłaca się w całkiem nieprzewidziany sposób. I tak właśnie było w przypadku Amberiotisa. Spotkał się znów przypadkowo z naszą damą na ulicy w Londynie. Miał szeroki gest, zaprosił ją wspaniałomyślnie na lunch do hotelu "Savoy". Była to dla niej niespodziewana przyjemność, a zarazem niespodziewana korzyść dla pana Amberiotisa. Ponieważ jego uprzejmość nie była obmyślona z premedytacją, nie sądził, że ta wyblakła kobieta w średnim wieku da mu w prezencie coś tak cennego jak kopalnia złota. Niemniej zrobiła to, chociaż sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Nigdy nie grzeszyła nadmierną inteligencją. Miała dobre serce, ale kurzy mózdzek.

- Zatem ona nie zabiła żony Chapmana? - spytał Blunt.

- Trudno mi się zdecydować, jak przedstawić tę sprawę. Sądzę, że zacznę od tego momentu, w którym rozpoczęła się ona dla mnie. Od buta! - powiedział wolno Poirot.

- Od buta? - spytał Blunt zaskoczony. Herkules Poirot skinął głową.

- Tak, od buta z klamerką. Wychodziłem od dentysty i stanąłem na schodach domu przy Queen Charlotte Street 58. W tym momencie przed domem zatrzymała się taksówka. Otworzyły się drzwi i wyłoniła się kobieca stopa. Należę do mężczyzn, którzy zwracają uwagę na kobiece stopy i kostki. To była zgrabna stopa, z ładną kostką, obleczonej w drogą pończochę, ale nie podobał mi się but. Był to nowy, błyszczący lakier z - ogromną, ozdobną klamerką. Ale nie był szykowny...! Wcale nie był szykowny! A kiedy patrzyłem na ten bucik, z taksówki wysiadła kobieta i, szczerze mówiąc, rozczerowałem się; była w średnim wieku, ubrana źle i niegustownie.

- Panna Sainsbury Seale?

- Zgadza się. Wychodząc, zahaczyła butem o drzwi i klamerka oderwała się. Na tym cały incydent się zakończył. Później, tego samego dnia, udałem się do niej na rozmowę razem z nadinspektorem Jappem (mimoходом zauważyłem, że nie przyszyła jeszcze zerwanej klamerki). Tego samego wieczoru panna Sainsbury Seale wyszła z hotelu i zniknęła. Powiedzmy, że to koniec Części pierwszej. Część druga zaczyna się, kiedy nadinspektor Japp wezwał mnie do King Leopold Mansions. Tam, w mieszkaniu, znajduje się skrzynia na futra, a w nim zwłoki. Wchodzę do pokoju, podchodzę do skrzyni i pierwszą rzeczą, jaką widzę, jest znoszony, podniszczony bucik!

- No i co z tego?

- Pan nie docenia tego odkrycia. To był but dobrze już zużyty! Przecież panna Sainsbury Seale przysłała do King Leopold Mansions wieczorem tego samego dnia, w którym zamordowano Morleya. Rano buty były nowe... wieczorem stare. Jak w ciągu jednego dnia nowe buty nagle mogły stać się stare i zużyte. Rozumie pan?

Alistair Blunt odparł bez zainteresowania:

- Mogła mieć dwie identyczne pary.

- Mogła, ale tak nie było. Udaliśmy się z nadinspektorem Jappem do hotelu "Glengowrie Court" i przejrzałem w jej pokoju wszystkie rzeczy. Nie znalazłem tam podobnej pary butów. Może miała jakąś drugą parę starych butów, nie przeczę. Mogła je założyć i wyjść w nich wieczorem. Dlaczego jednak nie znaleźliśmy w hotelu tych nowych? Musi pan przyznać, że to dziwne, prawda?

Blunt uśmiechnął się lekko i rzekł:

- Nie sądzę, aby to było ważne.

- Nie, to nie jest ważne. To wcale nie jest ważne. Jednak ja nie lubię rzeczy, których nie potrafię wyjaśnić. Stałem więc przy tej skrzyni i patrzyłem na but. Klamerka przyszyta była od ręki. Muszę przyznać, że miałem przez chwilę wątpliwości. Powiedziałem do siebie: Herkulesie Poirot, byłeś rano trochę roztargniony. Widziałeś świat przez różowe okulary. Wzięłeś stare buty za nowe!

- Może to było właściwe wyjaśnienie?

- Niestety, nie! Wzrok mnie nie zawiódł. Badałem więc dalej zwłoki tej kobiety i nie byłem zadowolony z tego, co zobaczyłem. Dlaczego twarz była tak strasznie i z premedytacją zniekształcona, że na skutek tego nie można jej było rozpoznać?

Alistair Blunt poruszył się niespokojnie.

- Musimy do tego wracać? Wiemy, że...

Herkules Poirot przerwał stanowczo:

- To niezbędne. Chciałbym, aby towarzyszył mi pan w drodze, która wreszcie doprowadziła mnie do prawdy. Mówiłem zatem dalej do siebie: coś się tu nie zgadza. Leży przede mną martwa kobieta, ubrana tak jak panna Sainsbury Seale (może za wyjątkiem butów), z torebką panny Sainsbury Seale, jednak z twarzą nierozpoznawalną? Dlaczego? Może dlatego, że to nie jest twarz panny Sainsbury Seale? Natychmiast przyszło mi na myśl, że może to jest inna kobieta - kobieta, która zajmowała to mieszkanie. A potem zadałem sobie pytanie: może to właśnie ta kobieta leży tu martwa? Poszedłem więc obejrzeć jej sypialnię. Próbowałem wyobrazić sobie, kim ona mogła być. Z tego, co o niej słyszałem, bardzo różniła się zewnątrz od panny Sainsbury Seale. Elegancka, ubrana pretensjonalnie, dbająca o makijaż. Jednak w zasadzie były do siebie podobne. Włosy, budowa, wiek... Ale jest jedna różnica, pani Chapman nosiła buty numer pięć. Wiedziałem, że panna Sainsbury Seale używała pończoch o numerze dziesięć, co odpowiada butom numer sześć. Pani Chapman miała zatem mniejszą stopę od panny Sainsbury Seale. Wróciłem do zwłok. Jeżeli moja na wpół uformowana hipoteza była słuszna i ciało pani Chapman zostało ubrane w kostium panny Sainsbury Seale, to buty na nogach musiały być za duże! Złapałem za jeden. Nie był luźny! Siedział ciasno. Wyglądało więc na to, że jednak to są zwłoki panny Sainsbury Seale! Pozostał jednak problem, dlaczego zniekształcono twarz? Identyfikację można również przeprowadzić na podstawie torebki, którą można było zniszczyć, a jednak nie zrobiono tego. To była zawiła zagadka. W odruchu desperacji zacząłem przeglądać notes pani Chapman. Jediną osobą, która mogła definitywnie doprowadzić do identyfikacji, był dentysta. Jednak dentystą pani Chapman był również Morley. Morley nie żył, ale identyfikacja była jeszcze możliwa i pan zna jej rezultat. Ciało pani Chapman zidentyfikował przed sądem następca Morleya.

Blunt wiercił się niecierpliwie, ale Poirot nie zwracał na to uwagi i kontynuował:

- Teraz pozostał psychologiczny aspekt sprawy. Jaka właściwie była Mabelle Sainsbury Seale? Na to pytanie były dwie odpowiedzi. Pierwsza, to ta oczywista, potwierdzona jej całym życiem w Indiach i świadectwem jej bliskich przyjaciół. Opisali ją jako sumienną, skrupulatną, trochę głupiutką kobietę. Czy wobec tego była jeszcze inna panna Sainsbury Seale? Widocznie była. Była to kobieta, która jadła lunch z dobrze znanym agentem obcego wywiadu, która zaczepiła pana na ulicy, oświadczając, że należy do zamkniętego kręgu przyjaciół pańskiej żony (stwierdzenie, które z pewnością było nieprawdziwe), kobietą, która opuściła dom dentysty na krótko przed popełnieniem tam morderstwa, kobietą, która złożyła wizytę innej kobiecie wieczorem tego dnia, w którym ta prawdopodobnie została zamordowana, i wreszcie kobietą, która zniknęła, chociaż zdawała sobie sprawę, że będzie jej szukała angielska policja. Czy to wszystko było zgodne z charakterystyką, jaką podali jej przyjaciele? Wydaje się, że nie. Dlatego też, jeżeli panna Sainsbury Seale nie była takim

dobrym i miłym stworzeniem, jak się wydawało, to może była wyrafinowaną morderczynią albo przynajmniej współniczką zbrodni. Miałem jeszcze jedno kryterium... moje osobiste wrażenie. Rozmawiałem przecież z Mabelle Sainsbury Seale. Jakie ona na mnie zrobiła wrażenie? I to właśnie, monsieur Blunt, jest najtrudniejsze pytanie. Wszystko, co mówiła, sposób, w jaki się wyrażała, jej maniery, gesty, wszystko zgadzało się z opisem jej charakteru. Ale również zgadzałyby się to z rolą graną przez zdolną aktorkę. A właśnie Mabelle Sainsbury Seale rozpoczęła karierę jako aktorka.

W pewnym sensie byłem pod silnym wrażeniem rozmowy z panem Barnesem z Ealing, który również był w interesującym nas dniu pacjentem przy Queen Charlotte Street 58. Jego przekonująca teoria brzmiała, że śmierć Morleya i Amberiotisa były przypadkowe, a właściwą ofiarą miał być pan.

- To trochę naciągana teoria - wtrącił Alistair Blunt.

- Czyżby, monsieur Blunt? Czy to nieprawda, że istnieją jeszcze różne grupy ludzi, którzy twierdzą, że powinien pan zostać usunięty, jak byśmy to określili? I że dłużej nie powinien pan wywierać wpływów?

- O tak, to chyba jest prawda - odparł Blunt. - Jednak dlaczego mamy to łączyć ze sprawą śmierci Morleya?

- Ponieważ jest w tym - jak to określić - pewna hojność. Koszty się nie liczą. Życie ludzkie nie ma znaczenia. Tak, jest w tym brak obawy o następstwa i... rozrzutność, co wskazuje na wielkie przestępstwo!

- Zatem nie sądzi pan, że Morley zastrzelił się na skutek popełnienia omyłki?

- Nawet przez chwilę tak nie sądziłem. Nie, Morley został zamordowany, Amberiotis został zamordowany i ta zmasakrowana kobieta została zamordowana. Dlaczego? Dla jakiejś wielkiej korzyści. Według teorii Barnes'a był ktoś, kto próbował przekupić Morleya albo jego współnika, aby usunął właśnie pana.

- Nonsens! - powiedział ostro Blunt.

- Czy to naprawdę nonsens? Powiedzmy, że ktoś ma zamiar kogoś usunąć. Lecz ten, który ma zostać usunięty jest ostrzeżony, przygotowany i trudno się do niego dobrać. Trudno jest zabić taką osobę, bez wzbudzania podejrzeń, a gdzie człowiek jest mniej podejrzliwy, jak nie na fotelu dentystycznym?

- No tak, sądzę, że to prawda. Nigdy nie pomyślałem o tym w ten sposób.

- To jest prawda. Wreszcie, kiedy zdałem sobie z tego sprawę, zaświtał mi w głowie pierwszy błysk prawdy.

- Zatem zaakceptował pan teorię Barnes'a? A tak przy okazji, kim jest ten Barnes?

- Barnes to pacjent Reilly'ego, który był zapisany na godzinę dwunastą. Emerytowany urzędnik Home Office, który mieszka w Ealing. Taki mały człowiek bez znaczenia. Jednak myli się pan, mówiąc, że ja zaakceptowałem jego teorię. Nie, ja tylko przyjąłem jej pryncypia.

- Co pan ma na myśli?

Herkules Poirot odparł:

- Przez cały czas błędziłem po bezdrożach. Czasami nieświadomie, czasami rozmyślnie, a to wszystko po to, aby dojść do prawdy. Przez cały czas wmuszano we mnie coś, co można by nazwać zbrodnią publiczną. To znaczy, że pan, panie Blunt, skupiał na sobie uwagę jako osoba publiczna, będąc bankierem, człowiekiem kontrolującym finanse i jednocześnie podtrzymującym tradycje konserwatywne! Jednak każda osoba publiczna ma też swoje życie prywatne. I to właśnie było moją pomyłką, zapomniałem o życiu prywatnym. Istniały prywatne powody do zabicia Morleya. Miał je na przykład Frank Carter. Mogły więc istnieć również prywatne powody zamordowania pana. Ma pan krewnych, którzy spodziewają się odziedziczyć po panu pieniądze. Są ludzie, którzy kochają i nienawidzą pana jako człowieka, a nie jako oficjalną, urzędową osobę. I oto doszedłem do tego, co ja nazywam podsuniętą kartą. Był to rzekomy atak Franka Cartera na pańską osobę. Jeżeli byłby prawdziwy -

mielibyśmy zatem do czynienia ze zbrodnią natury politycznej. Ale może istniało jakieś inne wyjaśnienie? Otóż mogło być inne wyjaśnienie. W krzakach znalazł się drugi człowiek. Człowiek, który pojawił się nagle i powstrzymał Cartera. Człowiek, który sam łatwo mógł strzelić i podrzucić pistolet pod nogi Cartera, aby ten, z pewnością odruchowo, podniósł go i w ten sposób został ujęty z bronią w ręku...

Rozważałem problem Howarda Raikesa. Raikes był również w domu przy Queen Charlotte Street tego przedpołudnia, kiedy zabito Morleya. Raikes był człowiekiem, który mógł poślubić Jane, a wraz z pańską śmiercią Jane mogła odziedziczyć dość pokaźną sumę, chociaż zaaranżował pan to tak roztropnie, że nie mogłaby dysponować całym majątkiem.

Czy jednak cała ta sprawa była prywatną zbrodnią - zbrodnią, która przyniosła prywatną korzyść lub prywatną satysfakcję? Dlaczego więc myślałem o tym jako o zbrodni politycznej? Dlatego, że nie raz, ale wiele razy sugerowano mi tę myśl i w pewnym sensie wmuszono ją we mnie tak jak podsunęła kartę...

Kiedy na to wpadłem, poczułem, że oświeca mnie pierwszy promień prawdy. Stało się to w chwili, gdy w kościele śpiewaliśmy psalmy. Było tam coś o sidłach z powrozów...

Sidla? Zastawiono je na mnie? Tak, mogło tak być... A jeśli tak, to kto je zastawił? Tylko jedna osoba mogła to zrobić... Ale to nie miało sensu... A może jednak? Czyżbym patrzył na tę sprawę ze złej strony? Pieniądze nie miały znaczenia? Zgadza się! Życie ludzkie się nie liczy? Znowu zgadza się. Ponieważ stawka, o którą grał zbrodniarz, była ogromna...

Jednak jeżeli ta moja nowa, dziwna hipoteza jest prawdziwa, to musi wszystko wyjaśnić. Musi, na przykład, wyjaśnić tajemnicę podwójnej osobowości panny Sainsbury Seale. Musi również rozwiązać zagadkę buta z klamerką. I musi odpowiedzieć na pytanie: Gdzie teraz znajduje się panna Sainsbury Seale?

Eh bien - ta hipoteza wyjaśniła to i jeszcze więcej. Pokazała, że panna Sainsbury Seale była początkiem, środkiem i końcem tej sprawy. Teraz nie dziwię się, że wydawało mi się, iż były dwie Mabelle Sainsbury Seale, bowiem istotnie były dwie Mabelle Sainsbury Seale. Jedna dobra, miła, głupiutka kobieta, za którą tak pewnie ręczyli jej przyjaciele. I była też druga - kobieta, która została zamieszana w dwa morderstwa, która kłamie i tajemniczo zniknęła.

Pamiętajmy, że portier z King Leopold Mansions oświadczył, że panna Sainsbury Seale była tam już przedtem raz...

Rekonstruując tę sprawę, ten pierwszy raz był jedynym razem. Ona nigdy nie opuściła King Leopold Mansions. Inna panna Sainsbury Seale zajęła jej miejsce. Ta inna Mabelle Sainsbury Seale, tak samo ubrana, z parą nowych butów z klamerkami na nogach. Ponieważ tamte były na nią za duże, udała się do hotelu przy Russel Square w czasie, gdy panował tam ruch. Zapakowała ubrania nieżyjącej, zapłaciła za pokój i opuściła hotel. Przeprowadziła się do hotelu "Glengowrie Court". Pamiętajmy, że od tego momentu żaden z jej dawnych przyjaciół nigdy jej już więcej nie widział. Grała rolę Mabelle Sainsbury Seale przez ponad tydzień. Nosila ubrania Mabelle Sainsbury Seale, mówiła jej głosem, musiała jednak kupić parę mniejszych wieczorowych butów. Potem zniknęła; po raz ostatni pojawiła się znowu, wchodząc do King Leopold Mansions wieczorem, w dniu, kiedy zamordowano Morleya.

- Próbuje pan powiedzieć - spytał Alistair Blunt - że to ciało jednak było zwłokami Mabelle Sainsbury Seale?

- Oczywiście, że było! To bardzo pomysłowy, podwójny bluff - zniekształcona twarz miała spowodować wątpliwości co do identyczności zwłok!

- A zeznanie dentysty?

- Ach! Doszliśmy właśnie do tego. Dowodu nie dostarczył dentysta osobiście. Morley nie żył. On nie mógł już dostarczyć żadnego dowodu. A tylko on wiedziałby, kim była zamordowana. Dowód na to był zapisany w jego kartach ewidencyjnych... i te karty zostały sfałszowane. Proszę pamiętać, że obie kobiety były jego pacjentkami. W kartach należało tylko zmienić nazwiska. Herkules Poirot przerwał i dodał po chwili:

- Teraz rozumie pan, co miałem na myśli, odpowiadając na pańskie pytanie, czy ta kobieta żyje. Odpowiedziałem wtedy: "To zależy". Kiedy bowiem powiedział pan "panna Sainsbury Seale", to nie wiedziałem, o której kobiecie pan mówi. Tej, która zniknęła z hotelu "Glengowrie Court", czy o tej, którą naprawdę była Mabelle Sainsbury Seale?

Alistair Blunt powiedział:

- Wiem, monsieur Poirot, że cieszy się pan ogromną sławą. Muszę więc zaakceptować fakt, że ma pan poważne przesłanki przemawiające za tym niezwykłym przypuszczeniem... ponieważ jest to jedynie przypuszczenie. Lecz ja widzę w tym tylko nieprawdopodobną fantazję. Więc mówi pan, że Mabelle Sainsbury Seale została zamordowana z premedytacją i że Morley został zamordowany, aby nie móc zidentyfikować zwłok. Jednak dlaczego? Chciałbym wiedzieć, dlaczego? Przecież to kobieta zupełnie nieszkodliwa, kobieta w średnim wieku, mająca wielu przyjaciół, a równocześnie nie posiadająca wrogów. Dlaczego, na litość boską, uknuto taki przemyślny plan pozbycia się jej?

- Dlaczego? Tak, to dobre pytanie. Dlaczego? Sam pan stwierdził, że Mabelle Sainsbury Seale była nieszkodliwą kobietą, która nie skrzywdziłaby nawet muchy! Dlaczego więc padła ofiarą tak potwornej i brutalnej zbrodni! Powiem więc panu, co ja o tym myślę.

- Tak?

Herkules Poirot nachylił się i rzekł:

- Mabelle Sainsbury Seale została zamordowana, ponieważ miała dobrą pamięć do twarzy.

- Co pan ma na myśli? Herkules Poirot kontynuował:

- Mamy podwójną osobowość. Mamy nieszkodliwą kobietę z Indii i drugą, która doskonale gra rolę tej nieszkodliwej kobiety z Indii. Istnieje jednak jedno wydarzenie, które różni te dwie role. Która to panna Sainsbury Seale rozmawiała z panem przed domem Morleya? O ile pamiętam, oświadczyła, że jest dobrą przyjaciółką pańskiej żony. Teraz, w świetle wyjaśnień jej przyjaciół, oświadczenie takie wydaje się nieprawdziwe. Możemy więc powiedzieć: "To było kłamstwo. Ale prawdziwa panna Sainsbury Seale nie kłamie". Tak więc to ewidentne kłamstwo wypowiedziane było przez oszustkę, dla osiągnięcia jej własnego celu.

Alistair Blunt przytaknął:

- Tak, to rozumowanie jest zupełnie jasne, chociaż nadal nie rozumiem, jaki był cel?

Poirot wyjaśnił:

- Ach, pardon - lecz najpierw spójrzmy na to z innej strony. Powiedzmy, że to jednak była prawda. Powiedzmy, że to była prawdziwa panna Sainsbury Seale. A zatem to jej oświadczenie jednak musiało być prawdą.

- Przypuszczam, że może pan to tak ująć... ale to wydaje się bardzo nieprawdopodobne...

- Oczywiście, że to jest nieprawdopodobne! Biorąc jednak tę drugą hipotezę za fakt... takie oświadczenie musiało być prawdą. A zatem znała ją dobrze. Wobec tego pańska żona musiała być w typie osoby, jaką panna Sainsbury Seale mogła dobrze znać. Była kimś z jej środowiska. Anglo-Hinduska, misjonarka lub, cofając się wstecz - aktorka. A więc nie była to Rebecca Arnholt!

Teraz, monsieur Blunt, rozumie pan, co miałem na myśli, mówiąc o prywatnym i publicznym życiu? Jest pan wielkim bankierem, lecz równocześnie poślubił pan kobietę bogatą. Przed zawarciem tego związku krótko był pan współnikiem w firmie mającej siedzibę pod Oksfordem.

Teraz rozumie pan, że wreszcie zacząłem patrzeć na tę sprawę z właściwego punktu widzenia. Pieniądze nie mają znaczenia? Naturalnie - dla pana. Niezwracanie uwagi na ludzkie życie - to też. Przez dłuższy czas był pan właściwie dyktatorem, a dla dyktatora jego życie staje się przesadnie ważne, a innych - nieważne.

Alistair Blunt rzekł:

- Co pan sugeruje, monsieur Poirot?

Poirot odparł spokojnie:

- Sugeruję, monsieur Blunt, że kiedy pan poślubił Rebecę Arnholt, był pan już żonaty. Zaślepiiony perspektywą nie tyle bogactwa, ile siły i wpływów, ukrył pan ten fakt i z premedytacją popełnił bigamię. Pańska prawdziwa żona poddała się nowej sytuacji.

- A kto był moją prawdziwą żoną?

- Pani Chapman - pod tym nazwiskiem zajmowała mieszkanie w King Leopold Mansions. Była pod ręką, nie więcej niż pięć minut drogi od pańskiego domu przy Chelsea Embankment. Pożyczył pan nazwisko od prawdziwego agenta wywiadu. W ten sposób zawsze mogła twierdzić, że jej mąż zajęty jest pracą wywiadowczą. Pański schemat funkcjonował wspaniale. Nie wzbudzał podejrzeń. W każdym razie jeden fakt nie wzbudza wątpliwości: pańskie małżeństwo z Rebecą Arnholt nigdy nie było legalne i popełnił pan bigamię. Nigdy, po tylu latach, nie śnił pan nawet o grożącym mu niebezpieczeństwie. Nagle nadeszło ono pod postacią nudnej kobiety, która po blisko dwudziestu latach przypomniawszy sobie pana, jako męża jej przyjaciółki. Przypadek sprowadził ją z powrotem do Anglii, przypadek spowodował spotkanie z panem na Queen Charlotte Street. Przypadkowo Jane była wtedy z panem i słyszała, co ta kobieta powiedziała do pana. Gdyby stało się inaczej, nigdy nie wpadłbym na właściwy trop.

- Przecież sam panu o tym powiedziałem, drogi Poirot.

- Nie, to pańska siostrzenica domagała się, aby mi o tym powiedzieć, a pan nie mógł zbyt gwałtownie protestować, ponieważ mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Później, po tym spotkaniu, wydarzył się jeszcze jeden nieszczęśliwy wypadek (z pańskiego punktu widzenia). Mabelle Sainsbury Seale poszła na lunch z Amberiotisem i wypaplała mu o spotkaniu z panem, to znaczy z mężem jej przyjaciółki. "Po tylu latach zestarzał się oczywiście, ale prawie się nie zmienił!" Przyznaję, oczywiście, że odgaduję treść tej rozmowy, ale wierzę, że tak było. Jestem przekonany, że Mabelle Sainsbury Seale nawet przez chwilę nie domyślała się, że pan Blunt, jej przyjaciel, ożenił się i stał się szarą eminencją świata finansjery. A poza tym pańskie nazwisko nie należy do rzadkości. Musimy jednak pamiętać, że Amberiotis, poza tym, że był zaangażowany w szpiegostwo, był też szantażystą. Szantażyści mają nosa do tajemnic. Amberiotis zastanawiał się. Tak łatwo dowiedział się, kim jest ten pan Blunt! Następnie, w co nie wątpię, napisał do pana lub zatelefonował... O tak, to była dla Amberiotisa prawdziwa kopalnia złota...

Poirot przerwał i podjął po chwili:

- Jest tylko jedna skuteczna metoda pozbycia się doświadczonego szantażysty. Uciszyć go. To nie to, co sam sobie błędnie sugerowałem, że Blunt musi odejść. Było wprost przeciwnie, to Amberiotis musiał odejść. Tylko odpowiedź była ta sama! Najłatwiej dostać takiego człowieka wtedy, gdy jest bezbronny, a kiedy człowiek jest bardziej bezbronny, jeśli nie na fotelu dentystycznym?

Poirot znów przerwał. Na jego wargach zaigrał słaby uśmiech.

- Prawda w tej sprawie przekazana była bardzo wcześnie. Boy Alfred czytał powieść kryminalną pod tytułem Śmierć o jedenastej czterdzieści pięć. Ten tytuł powinniśmy przyjąć jako omen, bowiem mniej więcej o tej właśnie godzinie zamordowano Morleya. Pan go zastrzelił, wychodząc z gabinetu. Potem nacisnął pan dzwonek, odkręcił kurki przy umywalce i wyszedł z gabinetu. Obliczył pan to tak, że mógł zejść po schodach w czasie, gdy Alfred usłyszał sygnał na wprowadzenie do windy następnego pacjenta, którym była fałszywa panna Mabelle Sainsbury Seale. Potem otworzył pan drzwi frontowe. Być może wyszedł pan, ale dopiero wtedy, gdy trzasnęły drzwi windy i winda odjechała w górę. Potem natychmiast wśliznął się pan z powrotem do środka i wszedł na schody.

Na podstawie doświadczeń z moich poprzednich wizyt wiem, co Alfred robił, zabierając na górę następnego pacjenta. Pukał do drzwi gabinetu, otwierał je i cofał się, wpuszczając pacjenta do środka. Z gabinetu dochodzi szum wody płynącej z kranów nad umywalką - niezawodnie Morley właśnie myje ręce! Jednak Alfred nie może tego widzieć.

Kiedy tylko Alfred znów zjechał na dół windą, pan wśliznął się z powrotem do gabinetu. Razem ze współniczką przenieśliście zwłoki do sąsiedniego pokoju. Następnie szybko przewertował pan rejestr pacjentów i zgrabnie sfalszował kartę pani Chapman i kartę panny Sainsbury Seale. Potem założył pan biały kitel i być może pańska żona zrobiła panu niezbędną charakteryzację. Jednak nie było to konieczne. Następnym pacjentem miał być Amberiotis i była to jego pierwsza wizyta u Morleya. Ponadto nigdy pana nie widział, a pańskie fotografie rzadko pojawiają się w gazetach. A poza tym, dlaczego miałby coś podejrzewać? Szantażysta nie musiał obawiać się dentysty. Panna Sainsbury Seale schodzi na dół i Alfred ją wyprowadza. Dzwonek wzywa na górę Amberiotisa. Zastaje on dentystę myjącego ręce. Siada na fotelu. Wskazuje bolący ząb. Pan wypowiada zwykłe uwagi na ten temat. Stwierdza pan, że najlepiej znieczulić dziąsło. Nowokaina i adrenalina są pod ręką. Wstrzykuje pan śmiertelną dawkę. Amberiotis nie dostrzega braku wprawy w praktyce dentystycznej i opuszcza gabinet bez śladu podejrzeń.

Wciąża pan ciało Morleya z powrotem do gabinetu. Teraz wszystko musi pan robić sam. Wyciera pan pistolet i wkłada do jego ręki. Ściera pan odciski palców z klamki, aby nie były one ostatnimi. Użyte narzędzia wędrują do sterylizatora. Wychodzi pan z gabinetu, schodzi schodami i w odpowiednim momencie wymyka się z domu. To był najniebezpieczniejszy moment w całej tej akcji.

Wszystko poszło dobrze i powinno było się udać! Dwie osoby, które zagrażały pańskiemu bezpieczeństwu - nie żyją! Trzecia również nie żyje - ale to, z pańskiego punktu widzenia, było nieuniknione. I wszystko tak łatwo wyjaśnić! Samobójstwo Morleya wyjaśniała pomyłka z Amberiotisem. Te dwa morderstwa można było uważać za załatwione. Jeden z tych godnych pożałowania wypadków.

Niestety, niefortunnie dla pana, ja pojawiłem się na scenie. A ja mam wątpliwości. I ja się sprzeciwiam. Nie wszystko idzie tak gładko, jak się pan spodziewał. Teraz trzeba znaleźć drugą linię obrony, a jeśli to konieczne, potrzebny będzie kozioł ofiarny. Uzyskał pan dokładne informacje o domownikach Morleya. Jest wśród nich pewien mężczyzna, Frank Carter, i on się nadaje. A zatem pański wspólnik aranżuje w tajemniczych okolicznościach zatrudnienie go w charakterze ogrodnika. Jeżeli później opowie taką idiotyczną historyjkę, nikt mu nie uwierzy. Następnie zostanie odkryte ciało w skrzyni na futra. Na początku zostanie wzięte za zwłoki panny Sainsbury Seale, potem sięgnie się po dentystyczną kartę ewidencyjną. Wielka sensacja! Wydawało się, że to niepotrzebna komplikacja, ale okazuje się, że jednak była potrzebna. Pan nie może dopuścić, aby cała angielska policja szukała zaginionej pani Chapman. Pozwólmy umrzeć pani Chapman i niech to Mabelle Sainsbury Seale poszukuje policja, ponieważ i tak nigdy jej nie znajdzie. Poza tym, dzięki swoim wpływom, może pan załatwić, aby w końcu zaniechano tych poszukiwań i zamknięto sprawę. Po tym, jak pan to zrobił, koniecznie musiał pan wiedzieć, co ja robię. Posłał pan po mnie, aby mnie skłonić, żebym pilnie dla pana odszukał zaginioną. I stale kontynuuję pan podsuwanie mi odpowiedniej karty. Pański wspólnik zatelefonował do mnie z melodramatycznym ostrzeżeniem - ciągle to samo - szpiegostwo - w publicznym aspekcie. Pańska żona jest dobrą aktorką, lecz każdy głos ma zawsze naturalną tendencję do imitowania jakiegoś drugiego, określonego głosu. Pańska żona imitowała głos pani Olivera. Było to dla mnie w dużym stopniu zagadkowe.

Zostałem zawieszony do Exsham, gdzie odegrano ostatni akt przedstawienia. Jakże łatwo było rzucić nabity pistolet w krzaki wawrzynów tak, aby człowiek, który je przycinał, niechcący spowodował jego wystrzał. Czego potrzeba więcej? A potem pistolet upada mu pod stopy i podnosi go, oszołomiony. Ujęto go na gorącym uczynku z idiotyczną historyjką i z pistoletem, który jest bliźniaczo podobny do tego, z którego zastrzelono Morleya.

- Czy to już wszystko?

- Nie. Dziś po południu aresztowano Helen Montessor.

Alistair Blunt zadrżał, ale zaraz uspokoił się.

- To... właściwie wszystko przekreśla.

- Tak. Prawdziwa Helena Montessor, pańska daleka kuzynka, zmarła siedem lat temu w Kanadzie. Ukrył pan ten fakt i wykorzystał jako pomyślną okoliczność.

Na wargach Alistaira Blunta pojawił się słaby uśmiech. Powiedział lekko, jakby z chłopcym zadowoleniem:

- No wie pan, Gerdę to wszystko podniecało. Chcę, żeby mnie pan dobrze zrozumiał. Jest pan wystarczająco byстрыm facetem. Ożeniłem się z nią bez wiedzy mojej rodziny. W tym czasie grała w teatrze. Moja rodzina bardzo zwracała uwagę na takie rzeczy. Uzgodniliśmy, że będziemy to trzymać w tajemnicy. Gerda nadal pracowała w teatrze, zastępowała tam kogoś. W tym czasie do zespołu należała też Mabelle Sainsbury Seale. Wiedziała o nas. Potem wyjechała za granicę na gościnne występy. Gerda otrzymała od niej kilka razy wiadomość z Indii. Potem przestała pisać, zaplątała się w znajomość z jakimś Hindusem. Była zawsze głupią, łatwowierną dziewczyną.

Teraz chciałbym, aby pan zrozumiał, jak doszło do mojego spotkania i małżeństwa z Rebeccą. Gerda to rozumiała. Mogę to panu wyjaśnić tylko w jedyny sposób - było to dla mnie czymś w rodzaju wejścia do rodziny królewskiej. Miałem szansę ożenić się z królową i grać rolę księcia małżonka, a może nawet króla. Moje małżeństwo z Gerda miało charakter morgantyczny. Kochałem ją i nie chciałem się jej pozbyć. I to wszystko wspaniale działało. Niezmiernie lubiłem Rebeccę, miała wielkie zdolności finansowe, a i ja również je posiadałem. Stanowiliśmy więc zgraną parę. To było niezwykle ekscytujące. Była doskonałym partnerem i wydaje mi się, że dałem jej szczęście. Kiedy umarła, byłem szczerze niepokieszony. Ja i Gerda zaczęliśmy rozkoszować się dreszczem naszych tajemnych spotkań. Mieliśmy mnóstwo wspaniałych pomysłów. Była z natury aktorką. Miała w swoim repertuarze siedem albo osiem ról - pani Chapman była jedną z nich. W Paryżu grała rolę amerykańskiej wdowy. Tam spotkałem ją w czasie mojej podróży służbowej. Często jeździła do Norwegii jako malarka, ja zaś jeździłem tam na ryby. Potem przedstawiłem ją jako moją kuzynkę - Helenę Montessor. Wspaniale nas to bawiło, a zarazem, jak sądzę, bardzo podniecało. Mieliśmy oficjalnie pobrać się po śmierci Rebecki, ale - nie chcieliśmy tego robić. Gerdzie trudno byłoby wtedy żyć moim oficjalnym życiem, i, oczywiście, mogłoby wówczas wyjść na jaw coś z naszej przeszłości, ale sądzę, że ten skryty, nieoficjalny związek był bardziej intrygujący - i to był prawdziwy powód. Chcieliśmy uniknąć apatii i codziennego, małżeńskiego życia.

Blunt przerwał. Po chwili mówił dalej twardym, zmienionym głosem.

- I nagle ta przekłeta, głupia kobieta wszystko popsowała. Rozpoznała mnie po tylu latach! Ponadto opowiedziała o tym Amberiotisowi. Pan rozumie - pan musi zrozumieć - że coś trzeba było zrobić! Nie chodziło tu bowiem tylko o mnie. Nie tylko z egoistycznego punktu widzenia. Gdybym został zrujnowany i skompromitowany, ucierpiałby również ten kraj... mój kraj! ponieważ jednak coś zrobiłem dla Anglii, monsieur Poirot. Pomagałem jej utrzymać stabilizację i wypłacalność. Jest wolna od dyktatorów, od faszyzmu, od komunizmu. Ja w istocie nie dbam o pieniądze, w sensie dosłownym. Ale imponuje mi siła i władza, natomiast nie chcę tyranii. Mamy w Anglii demokrację, prawdziwą demokrację! Możemy narzekać, mówić, co myślimy, możemy śmiać się z naszych polityków. Jesteśmy wolni. To dla mnie wszystko -to była praca całego mojego życia. Jeżeli jednak będę musiał odejść - wie pan, co się wtedy prawdopodobnie stanie. Ja jestem potrzebny, monsieur Poirot. I ten cholerny oszust, łobuz i szantażysta, Grek, miał zamiar zniszczyć wszystko to, co zbudowałem. Coś trzeba było zrobić. Wiedziała też o tym Gerda. Żał mi było panny Sainsbury Seale, ale było to nie do uniknięcia. Musieliśmy ją uciszyć. Nie mogłem liczyć na to, że będzie trzymała język za zębami. Na spotkanie poszła Gerda, zaprosiła ją na herbatę i powiedziała jej, że kiedy przyjdzie, to ma zapytać o panią Chapman, wyjaśniając jej równocześnie, że obecnie

przebywa w mieszkaniu pana Chapmana. Mabelle Sainsbury Seale przyszła, niczego nie podejrzewając. Z niczego nie zdawała sobie sprawy - w herbatce rozpuszczony był medinal. To było zupełnie bezbolesne. Po prostu zasypia się, aby więcej się nie obudzić. Twarz załatwiliśmy później - to była straszna robota, ale wiedzieliśmy, że to konieczne. Pani Chapman miała odejść z tego świata na dobre. Mojej kuzynce, Helen oddałem mój domek na wsi, aby mogła tam zamieszkać. Podjęliśmy decyzję, że po jakimś czasie weźmiemy jednak ślub. Przedtem jednak trzeba było jeszcze usunąć Amberiotisa. Udało się wspaniale, nie podejrzewał, że nie byłem prawdziwym dentystą. Dawałem sobie znakomicie radę ze zwykłymi narzędziami, ale nie zaryzykowałem użycia maszynki do borowania. Na szczęście po zastrzyku nie bardzo wiedział, co wyczyniam wokół jego zęba. Prawdopodobnie dobrze, że tak się stało! Poirot zapytał:

- A pistolety?

- Faktycznie należały do mojego sekretarza, którego kiedyś miałem w Ameryce. Kupił je gdzieś za granicą. Kiedy odszedł, zapomniał je wziąć ze sobą.

Zapadło milczenie i Alistair Blunt spytał:

- Chciałby pan coś jeszcze wiedzieć?

- A co z Morleyem - zapytał Poirot.

- Było mi go bardzo żal...

- Tak, rozumiem...

Znów zapadło milczenie, następnie Blunt powiedział:

- No więc, monsieur Poirot, jak będzie?

Poirot odpowiedział:

- Helena Montessor została już aresztowana...

- Teraz kolej na mnie?

- To właśnie miałem na myśli.

Blunt powiedział łagodnie;

- Jednak to pana nie uszczęśliwia, prawda?

- Nie, absolutnie mnie to nie uszczęśliwia.

- Zabiłem troje ludzi. W zasadzie powinienem zostać za to powieszony. Ale usłyszał pan jednak, co mam na swoją obronę?

- A dokładnie, na czym polega ta pańska obrona?

- Na tym, że wierzę z całego serca i duszy w to, iż jestem niezbędny, aby pracować nad tym trwałym spokojem i dobrobytem tego kraju.

Poirot przyznał:

- Być może... tak.

- Więc zgadza się pan ze mną czy nie?

- Tak, zgadzam się z panem. Zgadzam się, że broni pan rzeczy, które i dla mnie są ważne.

Broni pan zdrowego rozsądku, stabilizacji, równowagi i uczciwych interesów.

Alistair Blunt rzekł cicho:

- Dziękuję.

Następnie dodał:

- A zatem, co dalej?

- Sugeruje pan więc, że... że powinienem wycofać się z tej sprawy?

- Tak.

- A pańska żona?

- Mam duże wpływy. Przetawiam sprawę jako pomyłkę w identyfikacji osoby.

- A jeżeli odmówię?

- Wtedy - rzekł po prostu Blunt - wpadłem.

Po czym dodał:

- Wszystko jest w pańskich rękach, monsieur Poirot. Wszystko zależy od pana. Jednak powiem panu - i nie jest to tylko mój instynkt samozachowawczy - że jestem potrzebny całemu światu. A wie pan dlaczego? Ponieważ jestem uczciwy. I ponieważ kieruję się zdrowym rozsądkiem i nie zamierzam przy tym upiec własnej pieczeni.

Poirot zgodził się. Dziwne, ale wierzył w to, co mówił Alistair Blunt.

- Tak, ale to jest jedna strona medalu. Jest pan właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Posiada pan zdrowy rozsądek, jest pan sprawiedliwy i zrównoważony. Lecz jest jeszcze i ta druga strona. Zostały zamordowane trzy osoby.

- Tak, ale przyjrzyjmy się im! Mabelle Sainsbury Seale - sam pan to stwierdził - kobieta o kurzym mózdzku! Amberiotis - oszust i szantażysta!

- A Morley?

- Mówiłem już przedtem. Było mi z tego powodu bardzo przykro. Jednak, chociaż on był bardzo dobrym dentystą, są jeszcze inni dentyści.

- Tak - rzekł Poirot - są jeszcze inni dentyści. A Frank Carter? Pozwoliliby mu pan umrzeć, bez żalu?

Blunt odparł:

- Dla niego nie mam żadnej litości. On nie jest nic wart. Zupełny zgniłek.

- Ale jest człowiekiem... - powiedział Poirot.

- O tak, wszyscy jesteśmy ludźmi...

- Tak, wszyscy jesteśmy ludźmi. O tym właśnie pan zapomniał. Powiedział pan, że panna Sainsbury Seale była głupim stworzeniem, Amberiotis - złym człowiekiem, Frank Carter - zgniłkiem, a Morley... Morley był tylko dentystą, a przecież są jeszcze inni dentyści. I właśnie w tym punkcie nie zgadzam się z panem. Dla mnie życie tych czworga ludzi jest tak samo ważne jak pańskie.

- Pan się myli.

- Nie, nie myślę się. Jest pan człowiekiem wielkiej, wrodzonej uczciwości i moralności. Zrobił pan tylko jeden fałszywy krok - z pozorów wygląda, że to na pana nie wpłynęło. Nadal publicznie działa pan tak, jakby był pan uczciwy, godny zaufania i szacunku. Jednak umiłowanie siły urosło u pana do przerażających rozmiarów. Poświęcił pan życie czworga ludzi, tak jakby nic nie znaczyli.

- Nie zdaje pan sobie sprawy, Poirot że bezpieczeństwo i szczęście całego narodu zależy ode mnie?

- Ja nie zajmuję się narodami, monsieur. Ja zajmuję się życiem zwykłych ludzi, którym nikt nie ma prawa dysponować.

Poirot wstał.

- A zatem taka jest pańska odpowiedź - rzekł Alistair Blunt.

Poirot potwierdził zmęczonym głosem:

- Tak... Taka jest moja odpowiedź...

Podszedł do drzwi i otworzył je. Weszło dwóch mężczyzn.

II

Herkules Poirot zszedł do czekającej dziewczyny. Twarz jej była blada i zmęczona. Jane Olivera stała przy kominku. Obok niej stał Howard Raikes.

- I co? - spytała.

Poirot powiedział łagodnie:

- Już po wszystkim.

Raikes rzucił szorstko:

- Co pan ma na myśli?

- Alistair Blunt został aresztowany za morderstwo.

- Myślałem, że kupi pana... - rzekł Raikes.
- Nie - zaprzeczyła Jane - ja nigdy tak nie myślałam.

Poirot westchnął i powiedział:

- Świat jest wasz. Nowe Niebo i Nowa Ziemia. W waszym nowym świecie, moje dzieci, pozwólcie, żeby znalazły miejsce wolność i litość... To wszystko, o co was proszę.

DZIEWIĘTNASTE, DWUDZIESTE, MOJE TALERZE SĄ PUSTE

Herkules Poirot wracał pustymi ulicami do domu. Z cienia wynurzyła się jakaś niepozorna postać i podeszła do niego.

- I jak? - spytał pan Barnes.

Poirot wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Jaką przedstawił panu linię obrony? - zapytał pan Barnes.

- Przyznał się do wszystkiego i stwierdził, że jego czyny są usprawiedliwione. Powiedział, że ten kraj go potrzebuje.

- On ma rację - przyznał Barnes i po chwili dodał: - Pan tak nie myśli?

- Tak, zgadzam się z nim.

- No więc...

- Może się mylimy - rzekł Herkules Poirot.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - odparł Barnes. - Istotnie, może się mylimy.

Stali przez chwilę w milczeniu. Barnes zapytał ostrożnie:

- O czym pan teraz myśli? Herkules Poirot zacytował:

- "Ponieważ wzgardziłeś nakazem Panie odrzucił cię On jako króla".

- Hm... Rozumiem... - powiedział pan Barnes. - Samuel, po tej historii z Amalekami. Może to jest właściwe porównanie.

Przeszli kawalek i Barnes powiedział:

- Zejdę tu do metra, monsieur Poirot. Dobranoc... - Przerwał, a następnie dodał zakłopotany: - Jest coś, co chciałbym panu powiedzieć.

- Tak, mon ami?

- Czuję, że jestem panu to winien. Nieumyślnie wprowadziłem pana w błąd. Dotyczy to Alberta Chapmana, agenta Q.X.912.

- Tak?

- To ja jestem Albertem Chapmanem. Dlatego tak się interesowałem tą sprawą. Poza tym, widzi pan, ja nigdy nie byłem żonaty.

Szybko odszedł, chichocząc do siebie. Poirot stał oniemiały. Otworzył szeroko oczy, uniósł brwi i mruknął do siebie:

- "Dziewiętnaste, dwudzieste, moje talerze są puste". I poszedł do domu.

* fr. I cóż?

* fr. Co tam, stary

* fr. Mój drogi

* fr.. W końcu

* fr. To jest to

* fr. Ten biedny

* fr. Szukajcie kobiety

* fr. Tego biednego pana Morleya

* fr. Ależ tak

* fr. Doprawdy

* fr. To śmieszne

* fr. Tu: zbyt uczynna

* Fragmenty Psalmu 140, Biblia Tysiąclecia, Poznań-Warszawa 1980.

* Biblia Tysiąclecia, I Sm, 15, 23.

* wł. Od początku